



ARKADY FIEDLER

RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI

ARKADY FIEDLER

RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI

CZEŚĆ I DO AMAZONKI

1. SENIORITA Z LIZBONY

Z Liverpoolu do brzegów Portugalii jechało nas tylko dziesięciu pasażerów trzeciej klasy statku „Hilary”. Biskaja, zatoka podła, była jak zwykle burzliwa i niezdolna. U brzegów Portugalii morze się uspokoiło, natomiast wsiadło na statek, najpierw w Porto, potem w Lizbonie, przeszło stu pięćdziesięciu niespokojnych i krzykliwych pasażerów.

Między nimi pewna panna. Niezwykłą urodą tak bardzo odbijała od reszty, że wejście jej na statek czyniło wrażenie pochodzenia jakiejś królowej wśród licznej orszaki.

Gdy ją spostrzegł mój sąsiad Grek – zuchwałe chłopisko, nie znające żadnego języka prócz swego ojczystego, a jadące do Boliwii na nieznane przygody – schwycił kurczowo me ramię i patrząc jak błędny w dziewczynę, szeptał mi do ucha jakieś greckie, namiętne zaklęcia.

Rzeczywiście była to nadzwyczajna zjawka. Słońce i całe piękno Portugalii spłynęło chyba w to stworzenie o gorących, czarnych oczach i spragnionych ustach. Śmiechem, wdziękiem i bezczelną zalotnością zdobyła sobie w mig wszystkich mężczyzn. Miała lat osiemnaście i pochodziła z portugalskiej prowincji Estremadura. Jechała do Brazylii z matką, brzydką, milczącą kobieciną.

Rozkoszna dziewczyna zaraz pierwszego dnia podbiła chief-stewarda, który (prócz serca) oddał jej i matce osobną kabinę i poza tym do reszty zgłupiał. Następnego dnia seniorita puściła go w trąbę, i słusznie, bo chief-steward miał inne zadania na statku, a w ogóle był to już mocno podstarzały Anglik. Wtedy właśnie zajechaliśmy na Maderę.

Na Maderze są pięknie zbudowani chłopcy, uprawiający intratny sport. Nurkują obok statku do morza i wychwytyują monety, rzucane im w wodę przez pasażerów.

Panna z Estremadury chciała im także coś rzucić, ale nie miała pieniędzy, więc poprosiła jakiegoś Syryjczyka, przypadkiem obok stojącego. Syryjczyk ochoczo usłużył. Najpierw dał kilka portugalskich póleskudów, potem całe eskudy, a gdy te się wyczerpały, angielskie szylingi. Panna zaczęła szaleć; na dole kotłowało się od szczęśliwych nurków, a Syryjczyk dawał i dawał.

W końcu dziewczyna się zreflektowała, przeprosiła Syryjczyka i podziękowała najmielszym uśmiechem.

– *Oh, les femmes, les femmes!* – zgrzytał Syryjczyk zębami w pół godziny później, gdy się poznaliśmy.

Był to opasły mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i wielkich brylantowych pierścieniach na grubych palcach. Gdy dowiedział się, że zamierzałem przejeżdżać przez

Manaos, oświadczył, że miał tam najlepszy dom publiczny, i radził mi w nim zamieszkać. Miał ten człowiek nadzwyczajną zdolność ubierania wielkich świństw w piękne słowa – wzorem znakomitszych dyplomatów.

Potem nadeszły upalne dni. Ruch dokoła dziewczyny nie ustawał. Starali się o jej względy kolejno Węgier, Anglik, Francuz i dwóch Portugalczyków. Portugalczycy chcieli pewnego dnia poturbować jakiegoś Niemca, który o dziewczynie puścił kilka cynicznych uwag. Oświadczyli, że dziewczyna pochodzi ze starej, szlacheckiej, jakkolwiek zubożałej rodziny portugalskiej, zamieszkałej pod miastem Leiria: znali pannę dobrze i ręczyli za jej nieskazitelność.

Pewnego dnia dziewczyna pojawiła się na pokładzie ze złotym pierścionkiem, дарowanym jej przez Syryjczyka. Speszyło to mocno wielbicieli. Starali się bawić dziewczynę, jak mogli, i pokazywali jej latające ryby, które pojawiły się w gorącej strefie. Ona bawiła się ich naiwnością.

Krótko potem nasza piękność zelektryzowała statek wielkim krzykiem. Zapłakana, z czym jej ogromnie było do twarzy, wołała, że obraził ją ten potwór Syryjczyk, i wzywała wszystkich szlachetnych, silnych mężczyzn do pomszczenia jej honoru. Podniecona do ostateczności, rzuciła do morza pierścione i przysięgała, że zbrodniarza zawiedzie do więzienia

Śmialiśmy się ukradkiem z pięknej furiatki, niestety było kilku, którzy wzięli ją poważnie, a wśród nich – jak Filip z konopi – wyrwał się mój Grek. Wyrznął Syryjczyka w łeb i prawie doszło do rozlewu krwi. Sąd obywatelski, złożony z Portugalczyka, Francuza, Anglika i Polaka (mnie), skazał Greka na przebywanie w kabinie do końca podróży. Natomiast Syryjczyka potępiła opinia statku.

W miarę zbliżania się do ujścia Amazonki, gorąco trapiło nas coraz nieznośniejsze. Puchły nam palce u rąk, twarze czerwieniały, a duszność obezwładniała. Dziewczyna przez dwa dni nie pojawiała się na pokładzie statku, a gdy wreszcie wyszła, jak zwykle pełna temperamentu i zaborczości, zakochane chłopcy zwariowały. Ujrzały bowiem na jej szyi, pod uchem, wyraźny ślad czyjśgo pocałunku. Zawrzało niczym w ulu. Jak złe psy, wielbicielem zaczęli chodzić koło siebie, wzajemnie się podejrzewając, gotowi skoczyć sobie do oczu.

Jak gdyby nie dość zamętu wprowadziła panna podczas całej jazdy, największą niespodziankę zgotowała nam pod sam koniec.

Na kilka godzin przed portem Belern gruchnęła plotka, że dziewczyna zaręczyła się z Syryjczykiem. Rzecz nieprawdopodobna, a jednak okazało się, że prawdziwa. W Para dziewczyna wychodziła pod ramię ze świeżym narzeczoną, uśmiechnięta, cudowna i wiośniana. Patrząc na dziwną parę, na obrzękłego Syryjczyka obok ruchliwej gazeli, mimo woli pomyślałem, kto kogo najpierw zaprowadzi: ona jego do więzienia czy on ją do lupanaru?

I była jeszcze jedna niespodzianka, ale to tylko dla mnie, wyłącznie osobista. Oto gdy para obok mnie przechodziła, dziewczyna przeprosiła na chwilę swego narzeczonego i podskoczyła do mnie. Podając mi rękę „szlachcianka z Estremadury” rzekła z filuternym uśmiechem ojczystą polszczyzną:

– Do widzenia, panie rodaku! Może się kiedy zobaczymy?

Caramba!!!

2. DO AMAZONKI

ZA DWANAŚCIE FUNTÓW

Amazonka w pojęciu przeciętnego Europejczyka otoczona jest nimbem tajemnicy i niedostępności jako coś, co leży bardzo daleko, za siedmioma górami i siedmioma rzekami. Tymczasem wybierając się do Peru stwierdziłem, że Amazonka płynęła tuż, tuż, prawie pod nosem Europy, gdyż – rzecz mało wiadoma – podróż z portów Europy zachodniej, na przykład z Antwerpii lub Londynu do Belem-Para, portu przy ujściu Amazonki, kosztowała w trzeciej klasie tylko dwanaście funtów angielskich, a do Manaos, tj. tysiąc siedemset kilometrów w górę Amazonki, płaciło się zaledwie piętnaście i pół funta.

O miedzę od Belem (ale miedzę na miarę amerykańską) leży Recife (dawniejsze Pernambuco), dokąd podróż z Europy trzecią klasą kosztowała już około trzydziestu funtów. Ale Recife leży na trasie zupełnie innych linii nawigacyjnych, obsługujących wschodnie wybrzeże Ameryki Południowej aż do Buenos Aires.

Czym wytłumaczyć sobie tę olbrzymią rozpiętość cen? Prawdopodobnie tym, że nad Amazonkę mało kto jeździł, natomiast niezliczone, wielotysięczne rzesze wychodźców sypały się dalej na południe, do wszystkich portów od Recife do Buenos Aires. Ci, którzy tam jechali, należeli do największej biedoty europejskiej, lecz ponieważ było ich zawsze tak wielu, musieli grubo przepłacać kompaniom okrętowym.

Kiedyś, płynąc do Ameryki Południowej na statku linii „Royal Mail Company”, zadałem sobie trud obliczenia, ile zysku miał statek z licznych pasażerów trzeciej klasy, a ile zysku z nielicznych pasażerów pierwszej i drugiej klasy łącznie – i doszedłem do zdumiewającego odkrycia, że działa się tu ulegalizowana grabież biednego człowieka: pasażerowie trzeciej klasy nie tylko płacili za luksus pasażerów pierwszej i drugiej klasy i nie tylko płacili na dywidendy akcjonariuszy kompanii, lecz do tego ci biedacy płynęli na statku stłoczeni, w złych warunkach, upokarzających człowieka i urągających jakiegokolwiek higienie.

Więc oto płynąłem z Liverpoolu do Manaos na statku o dźwięcznej nazwie „Hilary”, należącym do angielskiej kompanii „Booth Line”. Dla ścisłości podkreślę, że podróż kosztowała mnie piętnaście i pół funta plus dodatkowe pół funta. Za pierwszą sumę dostałem przejazd, jedno łóżko i wyżywienie przez blisko cztery tygodnie, za dodatkowe pół funta, wsunięte *to the right man, on the right place*, to jest do dłoni pana chief-stewarda, dostałem do wyłącznej dyspozycji kabinę czteropokojową oraz ojcowską opiekę w czasie podróży. Chief-steward był hojniejszy niż jego przełożona linia.

Podawali nam na statku posiłki cztery razy dziennie. Jedzenie było obfite i zdrowe, choć niewyszukane. Dwa razy dziennie – przy dźwiękach muzyki z głośników – ciepłe dania z mięsa lub ryby, ziemniaków, makaronu, ryżu i jarzyn. Od Lizbony wino czerwone wcale niezłe, po prostu angielskie.

Obdarzeni dobrym apetytem mogli żądać nie ograniczonej ilości porcji mięsa lub ryby. Słowem, karmiono nas nie najgorzej.

Leżał przede mną piękny, bogato ilustrowany prospekt pod tytułem: „1000 miles up the Amazon in an Ocean Liner” (Tysiąc mil w górę Amazonki na statku oceanicznym). W tym prospekcie przyrzekała „Booth Line” swym pasażerom wszelkiego rodzaju cuda, spotęgowaną radość życia, szczęśliwe dni wśród modrych wód, wieczorne koncerty i dąsing pod Krzyżem Południa. Przyrzekała dalej dziwy najrozleglejszej puszczy na świecie nad największą tropikalną rzeką, bajkowe noce księżycowe z palmami, osobliwe

zwierzęta, błyszczące motyle, jaskrawe ptaki i orchidee. Czy „Booth Linę” dotrzymywała przyrzeczeń? Ależ tak, dotrzymywała, i liczne fascynujące fotografie, reprodukowane w prospekcie, a pobudzające fantazję, sprawdzały się co do joty.

Tylko jedną sprawę „Booth Linę” zataiła. Mianowicie to, że s/s „Hilary” popełnił wielkie łajdactwo, największe, jakie podobno popełnić może w morskim kodeksie honorowym statek pasażerski, na pół turystyczny.

Otóż w Belem wychodzi na jaw, że „Hilary” wiozł węgiel, który obecnie wyładowywał. Robił to w nocy i trochę wstydliwie, jednak wszyscy pasażerowie o tym się dowiedzieli i teraz wyrażali głośno swe oburzenie. Bywalcy w sprawach morskich twierdzili, że jest to świństwo niebywałe. Od kilku godzin, tj. od przybycia do Belem, należało do dobrego tonu pomstować na statek i na „Booth Linę”.

Chciałem także należeć do bywalców i także pomstować, ale jakoś było mi z tym krucho. Przez iluminator patrzyłem z kabiny na wodę. Księżyc kładł na powierzchni rzeki jasną smugę aż hen, do odległych, zalesionych wysp, ginących w półmroku. Minęły już lata moich księżycowych egzaltacji i teraz patrzyłem na krajobraz spokojnie i trzeźwo, i właśnie na trzeźwo uświadamiałem sobie, że rzeka, oświetlona księżycem, to prawdziwa, najprawdziwsza Amazonka, jakkolwiek nosiła tu miano rzeki Para.

Od lądu dochodził silny, korzenny zapach, właściwy lasom południowoamerykańskim i słychać było przenikliwy odgłos licznych świerszczy. I zapach, i odgłos dobrze były mi znane z dawniejszych podróży do Parany. Na kilka chwil zgrzyt wind okrętowych i huk spadającego węgla przygłuszał wszystko inne, ale potem znów słyszałem świerszcze i tak słyszeć je będę bezustannie, aż do ostatniego dnia pobytu nad Amazonką.

Trudno, w tej chwili nic nikomu nie potrafiłem wziąć za złe – i niech sobie „Hilary” wyładowywał swój węgiel.

3. ROMANTYCZNI PASAŻEROWIE

Albert Hummel, mój sąsiad przy stole, nie był bynajmniej romantyczny. Od sześciu lat handlował żywymi zwierzętami znad Amazonki i trzy razy do roku przewoził mrówkojady, tukany i harpie do Hawru i Hamburga. W drodze powrotnej do Ameryki Południowej trudnił się dla odmiany przemycaniem towarów. Młody, żywy człowiek miał rozległe doświadczenie ze zwierzętami i ciekawie o nich opowiadał, więc słuchałem go chętnie.

W kilka godzin po przybyciu naszego statku do Belem – gdy zapadł już wieczór – wypiliśmy kilka kieliszków rumu w barze „Hilarego”, zwierzał mi się ze swego przemysłowego biznesu. Po chwili milczenia, wlepiając we mnie badawczy wzrok, oświadczył:

– Twarz pana podoba mi się! Wygląda pan na przedsiębiorczego i uczciwego, tak, uczciwego!

– O, dziękuję, dziękuję – odpowiedziałem śmiejąc się. – Tak ładnie nikt mi jeszcze nie powiedział.

– Mam do pana wielkie zaufanie. Dlatego proszę pana o udzielenie mi pomocy.

– Pomocy, jakiej?

– Przy pozbywaniu się trzech walizek z budzikami, które przywiozłem ze sobą.

– I do tego potrzebuje pan uczciwego pomocnika?

– Tak jest. Dziś o północy, to jest za cztery godziny, podpłynię pod nasz statek od strony rzeki człowiek z łódką, któremu opuścimy walizki. Sam może nie dałbym sobie rady...

– Rozumiem, rozumiem. Ale nie czuję się jakoś na siłach...

– Siła poprzez... walizki! – Hummel wybuchł nerwowym śmiechem.

Potem widząc moje ociąganie się oznajmił dla zachęty:

– Zapewniam pana, że w walizkach są naprawdę budziki, nic gorszego...

I dla dodania wagi swym słowom, dorzucił jako najwyższy atut z jakimś okropnym akcentem:

– *Parole d'honneur!*

Niestety, nie potrafiłem się zapalić do tej „honorowej” awantury, za to pozostałem w barze „Hilarego”, by pisać o romantycznych współpasażerach.

Z Konstantynopola jechały do Manaos dwie młode Lewantynki. Trzeba im przyznać, że miały wygląd wschodni, lecz między sobą rozmawiały po francusku, a śpiewały piosenki w dziesięciu różnych językach. Rzeczywiście nie wiadomo, który był ich ojczysty. P, o niemiecku śpiewały „Adieu, du mein Gardeoffizier” z tak rzewnym przejściem, jak gdyby tego oficera wczoraj dopiero pożegnały. Płynęły do Manaos na ożenek, ażeby uszczęśliwić dwóch rodaków, których jeszcze nie znały. Pokochali się przez fotografie.

Aliści koło Madery – wcale nie przez fotografię, lecz bezpośrednio – zadurzył się w młodszej Lewantynce, dziewczynie bardzo ładnej, pewien zuchowaty Brazylijczyk z pierwszej klasy. Niedaleko równika, zdaje się, zdobył wzajemność dziewczyny, a gdyśmy potem przez dwa dni i dwie noce leżeli na piaskach północno-wschodniej Brazylii w porcie Sao Luis, miejscowości bardzo gorącej, młode Lewantynki i Brazylijczyk wyprowadzili się na ląd.

W Belem nastąpił koniec sielanki. Brazylijczyk pożegnał się i wysiadł; Lewantynki pozostały i płynęły dalej do Manaos, do swych narzeczonych. Przez kilka godzin smutno patrzyło z oczu młodszej dziewczynie, ale teraz wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Obydwie nuciły znowu „Adieu, du mein Gardeoffizier”, a dyskretny s/s „Hilary” nic nie widział i o niczym nie wiedział.

Razem ze mną z Liverpoolu wyjechały dwie panie. Siedziały przy stole naprzeciwko mnie i z tej racji wywiązała się między nami pewna zażyłość. Była to matka z córką. Obydwie były śpiewaczkami, tylko że matka znacznie ładniejsza pomimo wieku i szronowatych włosów. Urodzona w Brazylii, wyszła” za Europejczyka (jakiej narodowości, nie wiem), mieszkała w Anglii, gdzie wychowała córkę na Angielkę, a poza tym obydwie znały doskonale Paryż. Przebywały tam w kołach artystycznych.

Przyczyną ich obecnej podróży była ponoć tragedia małżeńska. Matka, zawsze pełna swobody i uśmiechu, wybuchła pewnego razu spazmatycznym płaczem na dźwięk jakiejś melodii. Obydwie niewiasty, wybitnie inteligentne, doświadczone w bólach i radościach, ponosiły już, zdaje się, wiele klęsk; były jak piękne motyle, przywykłe i do słońca, i do słoty. Życie ich toczyło się wśród burzliwych nurtów, odległych od cichych portów, i upływało – dosłownie – na wielu statkach.

Do dziwnych tych kobiet współpasażerowie odnosili się z wielkim zaufaniem i chętnie zwierzali im się z najtajniejszych trosk.

Najliczniejszymi pasażerami w naszej trzeciej klasie byli oczywiście wychodźcy portugalscy, jadący do północnej Brazylii. Jechali przeważnie całymi rodzinami i mieli wiele dzieci. Kilkakrotnie odbywałem podróż do Ameryki Południowej z wychodźcami polskimi i innych narodowości. Zawsze uderzało mnie podczas przejazdu ich wielkie skupienie, może nawet przyczajenie – zrozumiały lęk przed przyszłością: wyrwali się z niedoli starego kraju i zazwyczaj szli na niepewny, nieznany los.

Jakże inni byli Portugalczycy. Swobodni, weseli, rozgawędzeni, skorzy do śmiechu i głośnych, pogodnych rozmów. Z początku przypisywałem to temperamentowi południowców, lecz w rozmowach z nimi dowadywałem się właściwej przyczyny. Nie jechali w nieznane, każdy miał w Brazylii krewnych lub przyjaciół i każdy wiedział już z góry, gdzie i czego tam się chwyci.

Dla nich Brazylia była jak gdyby przedłużeniem Portugalii, a Atlantyk – jak gdyby rozszerzonym kanałem.

Wobec tych prostodusznych emigrantów, grupa „romantycznych” pasażerów z ich niewyraźnymi celami wyglądała jak barwna co prawda, lecz chorobliwa narośl.

Oto w Sao Luis wpadł na statek jeden z najbardziej zagadkowych i – przyznajmy – czarujących Anglików, których kiedykolwiek poznałem, Alexander Wardlaw. Stylizował się na podróżnika typu Drake’a, Cooka czy Lawrence’a, awanturnika tego gatunku, który zdobywał dla Brytanii kolonie i odkrywał wyspy. Wardlaw jako nieletni chłopak walczył podczas pierwszej wojny światowej w rowach strzeleckich przeciw Niemcom, potem przewędrował Australię, w Afryce awanturował się przez sześć lat. Zbierał tam okazy fauny dla chicagowskiego muzeum, łowił żywe słonie dla Hagenbecka¹, brał udział jako myśliwy przy realizowaniu słynnego filmu „Traderhorn”, pantery rzekomo łapał i obezwładniał gołą ręką.

– Świetna bujda! – powiedziałem mu w oczy, zachwycony jego opowiadaniem. Ale on pokazał mi na piersiach i brzuchu straszliwą ranę od pazura, z powodu której leżał przez sześć miesięcy w malignie; pokazał książkę napisaną przez siebie i różne fotografie.

Wardlaw miał postać Ursusa, a twarz i zachowanie się dziecka. Palił bezustannie papierosy i najcięższe cygara, niańczył na statku wszystkie portugalskie dzieci, które razem z matkami go ubóstwiały, śpiewał pięknym barytonem angielskie piosenki i śmiał się najpogodniejszym na świecie śmiechem. Wszyscy byli w nim zakochani. Tak odbiegał od wyobrażenia, jakie się zwykle miało o powściągliwych, bezbarwnych Anglikach, że porwany jego energią i wdziękiem, zaproponowałem mu półzartem, ażeby jechał razem ze mną do Peru.

Nie mógł. Musiał jechać do Mato Grosso. Po co?

– Zacerpnąć pełną piersią świeżego powietrza! – rzekł śmiejąc się.

Brazylijskie Mato Grosso sąsiaduje z Paragwajem i Boliwią. A między tymi dwoma państwami od pewnego czasu zanosilo się na grubszą chryję z powodu nafty czy czegoś podobnego.

Wardlaw wpadł na nasz statek w Sao Luis i po dwóch dniach jazdy wysiadł w Belem. Znikł ze statku jak urzekający meteor.

W Manaos, w kilka tygodni później, przypadkiem dowiedziałem się, że ów ujmujący, marzycielski Wardlaw był agentem brytyjskich towarzystw naftowych i specem od wywoływania przewrotów południowoamerykańskich.

Było pięć minut po północy. Siedząc w barze „Hilarego” wciąż wchłaniałem ów przyjemny, korzenny zapach idący nieustannie od lądu.

Nagle, gdzieś od strony burty statku, pogrążonej w mroku, rozległy się urywane głosy ludzkie, nerwowe okrzyki, tupot kroków na pokładzie, gonitwa. Po chwili znów zapadła cisza. Wkrótce wszedł do baru Meschede, z wypiekami na policzkach lecz szeroko uśmiechnięty.

– Okej! – zawołał tryskając zadowoleniem.

– A czy udało się – spytałem zdziwiony.

– Udało.

– A te krzyki to co? Myślałem, że pana nakryli.

– Owszem, nakryli, ale puścili jak pan widzi, wsunąłem im po dolarze do kieszonki i puścili. Czy można pana zaprosić na kieliszek koniaku.

Miało to więcej niż korzenny zapach. Uderzającym rysem przyrody w dorzeczu Amazonki była jej groteskowość. Groteskowe kształty i kolory, cudaczne owady, ssaki, ptaki. I jakby pod wpływem tajemniczej siły przyciągania, wielu ludzi zbliżających się do ujścia do Amazonki miał w sobie coś z tej dziwacznej bujności. Propagandowe zachwalanie w prospekcie „Booth Line”, że ujrzymy nad Amazonką wiele osobliwych rzeczy, nabierało nagle głębszego znaczenia. Stawało się jak gdyby kluczem jakiejś życiowej prawdy, o której nie śniło się autorom prospektu, a osobliwości zaczynały się już na statku wśród pasażerów

Przecież o najosobliwszym pasażerze nie wypadało mi zapomnieć: o motylu znad ujścia Amazonki. Dziwacznym kaprysem losu pozostał on na pokładzie, gdy statek przed dwoma miesiącami opuszczał wybrzeże Ameryki Południowej idąc ku mrocznej północy. Motyl zaszył się gdzieś w ciepłym kącie na „Hilarym” i spał przez kilka tygodni. Jakież koszmarnie sny musiały dręczyć mieszkańca upalnej puszczy podczas jesiennych wichrów u wysp brytyjskich! Ale przeżył to, a gdy nasz statek teraz, w drodze powrotnej minawszy zwirotek Raka, wszedł w strefę ciepłych powiewów, pewnego dnia motyl pojawił się w słońcu. Niedaleko fruwał, przezornie trzymając się za kominem, by go wiatr nie wydmuchał z nadpokładu.

Większy niż nasza rusalka osetek, był żywego koloru jasnobrązowego z czarnymi pręgami, a na brzegach skrzydeł miał szereg białych kropek. Urodziwego zwiastuna Amazonki powitaliśmy z niebywałym ożywieniem. Niektórzy chcieli go złapać, ale on szczęśliwie wywijał się spod ich nazbyt serdecznych rąk i potem gdzieś znikł. Nie przepadł. Następnego południa znów znów się ukazał i tak już co dzień podziwialiśmy kilkuminutowe pląsy barwnego towarzysza.

– *Limenitis archippus!* – nazwał go Meschede z ważną miną, ale właściwie trudno było dokładnie oznaczyć to z daleka.

Za każdym razem widok egzotycznego pasażera przejmował mnie wzruszeniem. Była ujmująca, zabawna dziarliwość w motylim Odyseuszu, który mimo woli przebył taki szmat oceanu i teraz zdrowy i zapewne stęskniony wracał do ojczyzny. Gdy piaszczyste wybrzeża w pobliżu Sao Luis wylaniały się przed nami na widnokręgu, widziałem go po raz ostatni. Wzbijając się coraz wyżej zatoczył kilka kręgów ponad „Hilarym” jak gdyby nas żegnał i z wiatrem puścił się w stronę lądu. Tak ginął mi z oczu barwny lotnik, który, jak rzadko inny owad, umiał poruszyć serca wielu ludzi.

CZĘŚĆ II

POWIEW PRZESZŁOŚCI

4. JAGUAR NA YER-O-PESO

Pierwszego olśnienia nad Amazonką doznałem rankiem po przybiciu „Hilarego” do Belem; na wycieczce wzdłuż brzegu rzeki, o kilkaset kroków od ostatnich chat przedmieścia, w pełnej puszczy: tam spotkałem te cudne palmy.

Uprzejmy Emiliano – brązowy żebrak, zawalidroga i pyszałek, hidalgo i obszarpaniec w jednej osobie, samozwańczy opiekun i przewodnik, który przyplątał się do mnie i już mnie nie opuścił – Emiliano, widząc mój zachwyt na widok palm, usłużnie oznajmił:

– To assai!

I zachęcająco cmoknął językiem.

Wszędzie na Południu – w Sao Luis, w Recife, w Salvador, w Rio de Janeiro – widziałem dawniej i podziwiałem palmy kokosowe, uważając je za szczyt roślinnego piękna. Myliłem się; jeszcze piękniejsze są palmy assai nad Amazonką. Z kształtu podobne do kokosowych, ale wysmuklejsze, powabniejsze, niedorzecznie strzeliste i wiotkie. Tyle w nich wdzięku, że porywają człowieka, czy chce, czy nie chce. Nie sposób im się oprzeć.

Oto nad samym brzegiem rzeki Para, która jest tylko południową odnogą Amazonki, wystrzeliwały wysoko, ogromnie wysoko, ponad puszcę cztery, pięć assai. Wychylały swe wytworne pióropusze liści daleko nad wodę i – niby jasne posłanki mrocznej puszczy, z której się wybiły – witały gościa kuszącym uśmiechem palmowym.

– Czy jadł *senhor* ich orzechy? – spytał Emiliano.

– Nie.

Emiliano cmoknął powtórnie, przewracając zabawnie oczyma:

– Rajski owoc! *Quem tomo assay, para aqui* – przytoczył przysłowie oznaczające, że „kto zjadł assai, tu pozostanie”.

Urażyłem się potem niejedną raz doprawdy wybornymi orzechami, ale tu nie pozostałem; natomiast pierwsze wrażenie piękna tych palm utkwilo w mej duszy chyba na zawsze.

Ścieżkę, po której kroczyliśmy wzdłuż rzeki, wycięto przez tak gęstą puszcę, że zielen zamykała nas z prawej i lewej strony jak dwie zwarte ściany.

Raz tylko zboczyłem i zapędziłem się między krzewiaste podszycie, ażeby z bliska obejrzeć ładnego motyla, spoczywającego na liściu – ale figa z tego. Nie mogłem wnikać w gęstwinę dalej niż na pięć, sześć kroków. Podrapany, wróciłem na ścieżkę jak po porażce.

Parę minut zaledwie trwało to pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z puszcą amazońską, a już oblaży mnie złośliwe kleszcze, po których rany szkaradnie dokuczały mi przez kilka dni. Ażeby zaś całkowicie rozwiąć złudzenie, iż to wymarzony raj urzekających palm, w drodze powrotnej napadły nas maleńkie, kąśliwe muszki pozostawiając na skórze czarne kropki i nieznośne swędzenie przez dwa tygodnie.

Jednak palmy assai nie przykuły najmocniej mej uwagi w Para; ani nie przykuł rozmach puszczy tropikalnej, wdzierającej się na przedmieścia; ani różnorodność mieszkańców miasta – zadziwiającej mieszaniny Paryża, Timbaktu i puszczy brazylijskiej, jak ktoś dowcipnie powiedział – ani kontrast nędzy obdartego pospółstwa z wykwinnością fircyków, wystrojonych według ostatniej mody paryskiej; ani

rozśpiewana zmysłowość wszystkich warstw ludności: całą moją uwagę skupił na sobie Ver-o-peso.

Było to targowisko i port tubylczych barek. Z labiryntu setek rzek, rzeczulek, strumieni i ścieków leśnych, przecinających całe zaplecze kraju, spływali tu najbarwniejszą pod słońcem flotyllą ludzie o wszystkich odcieniach skóry. Byli to – krzyżowani ze sobą wielokrotnie od trzech wieków – potomkowie konkwistadorów portugalskich, niewolników murzyńskich i Indian nie istniejących już plemion. Przywozili do Belem produkty swego maleńkiego pólka, wydartego puszczy nad brzegiem wody, tudzież płody samej puszczy.

Jakaż nieprawdopodobna rozmaitość tych towarów! Obok nieodzownej kukurydzy, fasoli, manioku, ryżu – przeróżne ryby o fantastycznych zazwyczaj kształtach i kolorach. Obok orzechów brazylijskich, zwanych tu castanha do Para, i orzechów kakaowych – dziesiątki, może setki gatunków pysznych owoców. Obok wyrobów z włókien palmowych – kształtne garnki subtelnie malowane, tykwy ozdobione rzezbami, łuki i strzały indiańskie, skóry wężów i jaguarów oraz cudotwórcze zioła na wszelkie choroby. Obok żywego drobiu – leśne indyki, leguany i żółwie, poszukiwany przysmak miejscowej kuchni, a poza tym oswojone papugi, olbrzymie arary i maleńkie perikity, żywcem złapane anakondy, pekari i żaguary, nadto wszelakie inne ptactwo, tęczowobarwne tangary, kacyki-żapim, dziobate tukany.

Krótko po wschodzie słońca port wypełniał się barkami, a każda usiłowała jak najbliżej dobić do nabrzeża, gdzie był plac targowy. Nad rojowiskiem ludzkim wznosił się las masztów. Pomimo ciżby sprzedających i kupujących panował tu nadzwyczajny spokój, rzekłbyś: uroczysta cisza; nie było zgiełku i krzyku, towarzyszącego tego rodzaju targowiskom gdzie indziej na świecie. Uderzała poza tym uprzejmość i jakby dostojność tych leśnych ludzi, z których żaden nie miał na sobie całej koszuli, a niewielu umiało czytać. Koszule haniebnie dziurawe, ale czyściutko wyprane i uprasowane!

Dookoła klatki z młodym jaguarem wielki tłok, aż trudno się do niej dostać. Nieodstępny Emiliano grzecznie choć stanowczo przecisnął się wśród gawiedzi torując mi drogę. Ludzie chętnie ustępowali.

Był to dorodny, zdrowy okaz kociątka, wielkości wyżła; brakowały mu pewnie jeszcze roku albo i więcej do zupełnego wyrośnięcia. Wtłoczony w róg klatki, skłębił się, przycisnął; tylko z przymrużonych ślepi obrzucał ludzi niepewnym spojrzeniem. W zielonych źrenicach odbijał się może lęk wobec tylu obcych, strasznych istot, może rozpacz i bezradność jeńca, zamkniętego za kratami.

Właściciel jaguara, starszy Metys, zapraszał mnie ruchem ręki i uśmiechem do nabycia zwierza. Kiwnąłem głową przecząco.

– Tanio go odstąpię – zachęcał.

– Za ile?

– Sto milrejsów.

Odpowiadało to wtedy dziesięciu dolarom – w istocie niedrogo. Emiliano wpada w rozmowę tłumacząc Metysowi, że teraz nie warto mi kupować, bo jadę w górę Amazonki, do Peru, a nie do Europy.

– Aa, to co innego! – przyznał tamten z życzliwym zrozumieniem.

Pewien wyrostek trącił kijem grzbiet jaguarzątka oświadczając, że wydaje mu się ono oswojone. Znienacka zwierz zerwał się gwałtownym ruchem, z gniewną błyskawicą w

ślepiach, z dzikim charkotem, i jednym szarpnięciem kłów wydarł chłopakowi kij. Wściekle szczyrzył pysk. Chłopak i inni w pobliżu cofnęli się odruchowo.

– Si, senhor! – przedrzeźniał stary Metys. – Bardzo oswojony!

Ludzie patrzyli na jaguara z niekłamanym podziwem.

– To mi junak! – słysząc było głosy uznania. – Zuch leśny! Nie da się! Patrzcie go, patrzcie! Jaki dziki!...

Wszystkim świeciły się oczy. Ludzie byli rozbawieni i podnieceni. Śmiali się do zwierza jak do bohatera. Najchętniej głaskaliby mu puszystą sierść. Nagły wybuch jaguara jak gdyby odsłonił ukryte w nich uczucia. A może odsłonił potrzebę kultu dla bohaterstwa, kultu niezbędnego, zwłaszcza dla nich, w ich szarym, twardym bycie mieszkańców puszczy?

Minęła dawno godzina dziewiąta; słońce lało z nieba piekielny żar. Schroniłem się z Emilianem do pobliskiej kawiarenki, których w Belem bez liku. Na chwilę mój towarzysz dyskretnie zawahał się przy wejściu nie wiedząc, czy siąść razem ze mną. Gdy go serdecznie zawołałem, przyjął zaproszenie ze światową uprzejmością granda. Nie, to już nie był poprzedni żebrak ani włóczykij, który zamierzał mnie nabrać na milrejsa lub dwa. Już nie miał chytrego, na pół drwiącego uśmieszku.

Kawa, pita w kawiarenkach portów brazylijskich, nie ma równej sobie na całym świecie – taka smaczna, słodka i aromatyczna. I przy tym śmiesznie tania: dwieście rejsów, czyli mniej więcej dwa amerykańskie centy za filiżankę. Gdzieś w jakimś stanie Brazylii kombinatorzy chcieli podwyższyć cenę kawy do trzystu rejsów; masy gotowe były wszcząć rewoltę i cena pozostała.

Wypiliśmy na gorąco po dwie maleńkie filiżanki. Świat wydał nam się od razu ponętniejszy, a pobliskie Ver-o-peso, na które spojeraliśmy spod cienistej kolumny, jeszcze barwniejsze.

– Co to za ludzie? – zadałem Emilianowi pytanie wskazując oczyma w kierunku portu. Pytanie bałamutne, bo właściwie chciałem się dowiedzieć, skąd oni przybywają.

– To ludzie prawdziwej Brazylii! – odpowiedział poważnie. Mówił to zupełnie bez patosu lub przesady, co było dla mnie trochę niespodzianką. Emiliano tłumaczył sobie mój uśmiech jako znak powątpiewania, więc niewzruszony powtórzył z pewnym naciskiem:

– Tak, senhor, to ludzie prawdziwej Brazylii!

Położył obydwie ręce na stoliku i nie spuszczał ze mnie mocnego wzroku, jak gdyby musiał wygarnąć mi gorzką prawdę.

– Miasto Belem, senhor, to nie tylko kupcy i zasobne sklepy przy Rua Joao Alfredo, nie tylko pałace przy avenidach i wille zamożnych, nie tylko kościoły i wykwintne hotele ani policjanci na rogach ulic, ani tramwaje należące do Anglików... »

Przerwał na chwilę swoją orację, niepewny, jak ją przyjmę. Widząc, że słuchałem go z zaciekawieniem, podjął:

– Nie, Belem jest także gdzie indziej. Belem to przede wszystkim ci ludzie, których senhor tam widzi przy Ver-o-peso, to oni są prawdziwym sercem Belem i całej Brazylii – oni, my...

Zapytałem go, czym się trudni, gdzie pracuje.

– Nigdzie – odrzekł cierpko, jakby zawstydzony. – Od pół roku bezrobotny...

– A przedtem?

– W dokach. Tragarz portowy.

Baczniej przyjrzałem się jego brązowej twarzy. Pomimo postrzępionej koszuli to nie był zawalidroga, za jakiego przedtem go brałem. Niezawodnie Emiliano w życiu wiele przeszedł i niejedno przemysłał.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką, jak gdyby odganiał dokuczliwe komary, i powrócił do ulubionego tematu Ver-o-peso. Znał wszystkich ludzi, krzątających się przy barkach, wiedział, skąd który przybył, i opowiadał o wielu ciekawych wypadkach z ich życia.

Podczas tych wynurzeń roznamietniał się nad podziw.

5. „ŚMIERĆ BIAŁYM!”

Gdy jednym z najswawolniejszych, najbardziej groteskowych aktów światowej dyplomacji, mianowicie układem w Tordesillas w 1494 roku, papież darował cały zamorski świat dwom drogim jego sercu narodom – Portugalczykom i Hiszpanom – Portugalczykom, jak wiadomo, dostała się w Ameryce Południowej wschodnia jej część, Brazylia. Ale ziomkowie Vasco da Gamy, oślepieni mirażem wysp korzennych na Dalekim Wschodzie, zrazu nie bardzo wiedzieli, co począć z tym fantem, i po trosze nań się boczyli.

Hiszpanie już dawno obsadzili swoją część Ameryki, na dobre obskubywali ją z bogactw, gnębili Indian, przebiegali kontynent tam i sam w poszukiwaniu legendarnego złotego króla, El Dorado, niejedną raz spływali nieposkromioną Amazonką – zanim Portugalczycy pierwsze, niepewne, nieudolne stawiali kroki. Kilkadziesiąt lat upłynie, zanim kolonizacja wybrzeża brazylijskiego wejdzie na szersze tory. Powstanie port Bahia, a dopiero znacznie później portugalska wioska w zatoce Rio de Janeiro.

Podczas gdy rozwój kolonii szedł w kierunku południowym, nikogo nie nęciła straszliwa puszcza u ujścia Amazonki. Ale niepoahamowanej chciwości kolonizatorom na południu wnet zaczęło brakować wolnej ziemi, a jeszcze bardziej – po pochopnym wytypowaniu ludności tubylczej – rąk roboczych, podczas gdy dorzecze Amazonki słynęło z nieprzebranej ilości plemion indiańskich.

W 1615 roku – a więc w sto piętnaście lat po odkryciu ujścia rzeki – powstały tu pierwsze załóżki osiedla Para do Belem. Naturalne bogactwo lasów, dogodna spławność szlaków wodnych, obfitość ludzkiej zwierzyny szybko zwabiły tu bandy awanturników, żądnych łupu i szybkiego dorobku. Przeróżne męty przybywały nie tylko z innych części Brazylii, lecz i z samej Portugalii.

Plemiona stawiające opór tępiono bez miłosierdzia. Zabijano mężczyzn, a resztę zaganiano jako jeńców na sprzedaż, przy tym z pasją gwałcąc kobiety. Indian mniej opornych, poddających się bez walki, brano również do niewoli lub szczuto ich przeciw innym, mniej uступliwym szczepom. W XVII i XVIII wieku działy się nad Amazonką orgie okrucieństwa: bestialstwo portugalskich kupców, przemienionych w konkwistadorów, przewyższało osławioną srogość hiszpańskich zdobywców.

W ciągu dwóch wieków biali fazenderzy zagarnęli wszystkie urodzajne grunta nad Dolną Amazonką, a ludność tubylczą, nie wybitą w walkach, zapędzili do niewoli pańszczyźnianej. Kto chcąc uniknąć jarzma zbiegał do puszczy, przymierał z głodu na malarycznych błotach, nawiedzanych powodziami Amazonki.

Konkwistadorzy, przybywający tu przeważnie sami, bez białych kobiet, nie mieli uprzedzeń rasowych w stosunku do Indianek. Szybko powstawała ludność mieszana, zwłaszcza gdy w XVIII wieku zaczęto sprowadzać tu coraz więcej niewolników i

niewolnic z Afryki. Trzy rasy, mieszane ze sobą w przeróżnych stopniach, tworzyły nie tylko Metysów, Mulatów i Kafuzów, potomków pochodzenia indiańsko-murzyńskiego, ale między sobą jeszcze moc pośrednich odcieni. Powstała niebywała wielobarwność i różnorodność mieszkańców, których łączył wspólny, smutny los: nędza materialna i wyzucie przez białych władców z wszelkich praw.

Także biała ludność nie stanowiła jednolitej całości. Ostra przepaść dzieliła ją na dwa wrogie sobie odłamy: na Portugalczyków Kreolów², urodzonych już w kolonii, i na Portugalczyków urodzonych w Portugalii, a świeżo przybyłych do Brazylii. Ci nowo przybyli patrzyli z pogardą na Kreolów jak na ludzi pośledniejszego pochodzenia, a mając wpływy w ojczyźnie przywłaszczali sobie w kolonii intratne urzędy, wszelakie beneficja i przywileje. Rozgoryczeni Kreole odczuwali coraz dotkliwiej swoje upośledzenie. Ów rozdzwięk, istniejący nie tylko nad Amazonką i w pozostałej części Brazylii, lecz również we wszystkich posiadłościach hiszpańskich, ostatecznie spowodował oderwanie się w pierwszej połowie XIX wieku kolonii od krajów macierzystych.

Taki był układ sił społecznych i politycznych nad Dolną Amazonką, gdy w roku 1822 Brazylija wywalczyła sobie niezależność od Portugalii. Skończyły się rządy Europejczyków; nowi ludzie, Brazylijczycy-Kreole, objęli władzę.

Ale Amazonka była daleko od stolicy Rio de Janeiro, na szarym końcu Brazylii, i chociaż w Belem oficjalnie nastąpił polityczny przewrót tak samo jak gdzie indziej, u steru pozostali ci sami ludzie. Rodowici Portugalczycy nie myśleli opuszczać swych uprzywilejowanych stanowisk; nadal dzierżyli w swym ręku wpływy, nadawali ton, posiadali możne zasoby. W obozie Kreolów wrzało z roku na rok coraz bardziej, aż w 1835 roku nastąpił wybuch.

Zaczął się od uderzenia na pałac gubernatora prowincji amazońskiej w Belem. Zabito szereg dygnitarzy, w tym komendanta garnizonu i samego gubernatora, urodzonego Brazylijskiego, który mimo że był przysłany z rewolucyjnego Rio de Janeiro, zbyt jaskrawo faworyzował Portugalczyków, dawnych – możnych – władców. Kierownictwo Kreolów wezwało masy ludowe do poparcia buntu i przy ich pomocy opanowało miasto Belem i okolice. Objęło władzę, zaprowadziło bezwzględny spokój; tak, utartym w Ameryce Południowej zwyczajem, nowa klika – wyparłszy przemocą poprzednich – dorwała się do władzy. W pół roku później przybył do Rio de Janeiro nowy gubernator i – uznany przez zwycięzców – podjął urzędowanie.

Właściwym sprawcom buntu, Kreolom, nic nie zrobiono, lecz wielorasowemu „motłochowi”, który śmiał podnieść rękę na *gente de razdo*, ludzi rozumnych, czyli białych, należała się przykładna nauczka. Więc nowe władze zaczęły aresztować niedawnych przywódców oddziałów ludowych, a między nimi i bohaterskiego ulubieńca mas, Vinagre’a.

Na wieść o tym zakotłowało się od oburzenia w Belem i nad wszystkimi brzegami Amazonki. Uzbrojone grupy podążyły z odsieczą. Niespodziewany a gwałtowny zryw utwierdzał gubernatora w przekonaniu, że jedynie twardą ręką należało przywrócić porządek.

Tymczasem na przedmieściach Belem gromadziły się coraz liczniejsze oddziały Indian, Metysów i Mulatów. Przybywały, ażeby uwolnić Vinagre’a. Budził się bunt ciemniejących.

Gdy brat Vinagre’a po trzykroć prosił daremnie o zwolnienie więźnia, a gubernator

wciąż odmawiał, oddziały ludowe wtargnęły do miasta. Rozsrożyła się zacięta walka. Po stronie gubernatora stała część wojska, a poza tym prawie wszyscy biali, jacy żyli w Belem – reszta przeszła na stronę powstańców.

Była to jedna z najkrwawszych bitew w dziejach Ameryki Południowej. Trwała dziewięć dni; płonące dzielnice przechodziły z rąk do rąk. Bój w Belem zakończył się klęską białych, których niedobitki ratowały się ucieczką na wyspy u ujścia Amazonki. Tam ukryły się pod osłoną obcych okrętów wojennych.

Wiść o zwycięstwie w Belem mas ludowych lotem błyskawicy rozeszła się po rzekach Amazonki wzniciając wszędzie niebывały zapal. Chwymano za broń. „Śmierć białym!” rozlegało się w całym kraju wzdłuż Amazonki. Na przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów, aż do ujścia Rio Negro i Madeiry, i jeszcze dalej w górę rzeki, toczyły się zażarte walki.

Zanim jednak zwycięscy powstańcy zdołali uporać się z pierwszymi trudnościami i okrzepnąć, nad Amazonkę przypłynęły z południa brazylijskie okręty wojenne z transportami wojska, nie zakażone „jadem anarchizmu”. Pomimo bohaterskiej obrony oddziały ludowe uległy przewadze regularnych sił. Pijani triumfem Kreole zamierzali w potokach krwi ugasić swą zemstę: udało im się to tylko częściowo, bo puszcza amazońska wielu powstańców ukryła przed pościgiem.

Mój przygodny znajomy na Ver-o-peso, Emiliano, był potomkiem jednego z tych, którzy wówczas walczyli na ulicach Belem przeciw wojskom, nasłanym z południa Brazylii. Dlatego zapewne miał szerszy pogląd na stosunki, panujące dziś w jego mieście.

CZEŚĆ III AMAZONKĄ W GÓRĘ

6. MAŁY CZIKINIO I WIELKA AMAZONKA

Mały Czikinio miał sześć lat i po trzyletnim pobycie w Portugalii wracał z matką nad Amazonkę. On widział już raz Amazonkę, a ja jej jeszcze nie widziałem i z tej racji mały Czikinio miał wielką nade mną przewagę. Opowiadał mi o Amazonce niestworzone rzeczy. Raz tylko wyprowadziłem go z równowagi. Mianowicie gdy nie mógł mi powiedzieć, jak wielka jest Amazonka. Długo kombinował w małej główce, aż w końcu powiedział: Amazonka jest tak wielka jak jego ojciec, do którego teraz wracał, a trochę mniejsza od samego Pana Boga.

Czikinio miał rację. Amazonka uderzała ogromem. Byliśmy jeszcze na pełnym Atlantyku, a już morze zaczynało zmieniać swą dotychczasową modrą barwę i zapowiadać, że coś się dzieje. Woda stawiała się coraz zieleńsza, potem coraz bardziej żółta i mętna, aż w końcu, po wielu godzinach, zupełnie żółkła. Wtedy oświadczone nam, że jesteśmy w samym ujściu rzeki, chociaż widoczny był tylko jeden brzeg, południowy; drugiego ani śladu. Ładna rzeka, z której widzi się tylko jeden brzeg!

Tak płynęliśmy przez kilka godzin. Powoli zaczynały rysować się także na północy mgliste kształty (zbliżaliśmy się do Amazonki od południa, od portu Sao Luis) i ujrzelśmy tam wreszcie ląd. Nie był to jeszcze przeciwny brzeg rzeki, lecz wyspa Maraço.

Tu mały Czikinio stał się szowinistą brazylijskim i chwalił się, że wyspa Maraço, razem z innymi wyspami u ujścia Amazonki, jest tak wielka, jak cała Portugalia.

Przyznałem mu słuszność, lecz zarazem napomknąłem, że na tej milej wyspie żyło tysiące brzydkich kajmanów, z których każdy mógłby połknąć na raz pięciu Czikinioów. To nic, chętnie się Czikinio, gdy dorośnie, to powyszcza wszystkie kajmany. Czikinio był bardzo odważny, ale kajmanów jest tam podobno takie mrowie, że trudno je wytępić.

Dalej, na północ za wyspą Maraço, toczyło się dopiero właściwe, północne ujście Amazonki, które razem z południowym, będącym równocześnie ujściem rzeki Tocantins, zajmowało przestrzeń blisko czterystu kilometrów, czyli więcej niż wynosi odległość z Gdańska do Szczecina. Szerokość ujścia nie dawała jeszcze właściwego wyobrażenia o olbrzymiej masie wód spływającej z dorzecza Amazonki do Atlantyku. Należało ponadto uwzględnić nieprawdopodobną głębokość tej rzeki, wynoszącą przy ujściu miejscami do stu metrów, w Manaos – o tysiąc siedemset kilometrów powyżej ujścia – około pięćdziesięciu metrów, a pod Iquitos – o cztery tysiące sześćset kilometrów w górę i już niedaleko Kordylierów – dwadzieścia metrów. Tyle wynosiła głębokość w czasie posuchy, natomiast pod koniec pory deszczowej, w maju, czerwcu, przybierały wody Amazonki jeszcze o piętnaście metrów. Dla porównania przytoczę fakt, że przeciętna głębokość Wisły pod Warszawą wynosi dwa metry.

Taka głębokość sprawiła, że nasz „Hilary”, normalny statek oceaniczny, mógł spokojnie wpłynąć do Manaos, a gdyby chciał, to jeszcze wyżej. Tylko jeden jedyny raz osiadł na mieliźnie, ale to dlatego, że pilotowi brazylijskiemu zbyt smakowało ciężkie, angielskie piwo *stout*. Do Manaos może podobno zawinąć trzy czwarte wszystkich okrętów wojennych.

Kto przypuszczałby, że jadąc po Amazonce przez cały czas będzie widział bardzo szeroką rzekę, dozna zawodu. Byliśmy już na niej trzeci tydzień, a pomimo to po opuszczeniu właściwego ujścia płynęliśmy przeważnie rzeką nie szerszą, niż dwie do trzech Wisły pod Toruniem. To, co najczęściej widzieliśmy, nie było oczywiście całą Amazonką, lecz tylko jedną z jej wielu odnóg. Tym bowiem różni się Amazonka od innych wielkich rzek, że rozwidła się w szereg łóżyk i kanałów, tworzących między sobą gmatwaninę niezliczonych wysp, nieraz bardzo wielkich.

Innym charakterystycznym objawem było to, że wskutek nieznacznego spadku rzeki odczuwało się bardzo daleko przypływ i odpływ morza. W Santarem, mieście leżącym blisko tysiąc kilometrów od ujścia, mały Czikinio niedługo wpadł do wody ze zdziwienia, gdy nagle spostrzegł, że rzeka w pewnej chwili zaczynała płynąć w przeciwnym kierunku, pod górę, w stronę Andów. Aż do Santarem sięga przypływ morza.

Już zaraz na wstępie, przy samym ujściu, Amazonka pokazała nam, jakie bogactwo kryje w swych głębinach. Na widok licznych stad olbrzymich, dwumetrowych ryb, wynurzających się co chwila z wody, zdawało nam się, że płyniemy przez jakiś zaczarowany ogród zoologiczny. Były to piraruku, charakterystyczne dla Amazonki, największe ryby słodkowodne. I od tego czasu wynurzały się co chwila z jej głębin dziwaczne potwory, wywołujące zachwyt małego Czikinia i mój: jakieś delfiny słodkowodne, jakieś ryby tłuste o różowych cielskach i paszczach straszydeł, i to wszystko przewalało się z łoskotem, złowrogie i zuchwałe, tuż pod burtą naszego statku.

Płynęliśmy już trzeci tydzień, dniem i nocą. Ciągłe otaczała nas ta sama rzeka, wyglądająca dziś tak jak w pierwszym dniu podróży. Nic w niej pozornie się nie zmieniło, jak gdyby nie miała końca. Ogrom jej zaczynał wsiąkać w nasze nerwy, mózg i krew i mimo woli przeobrażać się w mgliste pojęcie jakiejś irracjonalnej potęgi.

Nad brzegami Amazonki żyli w lepiankach i szałasach skromni, cisi ludzie. Między nimi, gdzieś nad granicą peruwiańską, żył ojciec małego Czikinia. Był zbieraczem kauczuku. Żona jego, a matka Czikinia, opowiadała mi, że kiedyś powodziło im się nieźle, lecz teraz klepią biedę, bo nieuczciwi pośrednicy opanowali brzegi Amazonki i *seringueirów*, zbieraczy kauczuku, wyzyskiwali w nielitościwy sposób.

7. PUSZCZA NAD AMAZONKĄ

Całe dorzecze Amazonki – z małymi wyjątkami, gdzie wrzynają się stepy, niby półwyspy – jest pokryte wspaniałą, dziką puszczą. Obszar ten obejmuje około siedmiu milionów kilometrów kwadratowych, a więc prawie dwie trzecie Europy. Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie w naszych czasach telewizji, lotnictwa i sputników, przeważna część tego olbrzymiego kraju do dziś jest jeszcze prawie tak samo tajemnicza, dzika i niezbadana, jak była przeszło sto lat temu za czasów przyrodnika Batesa, sto sześćdziesiąt lat temu za czasów Humboldta, a miejscami nawet jest jak za czasów Orellany przed przeszło czterystu laty. Na całym tym obszarze nie ma kolei żelaznej, łączącej dorzecze z innymi częściami Ameryki Południowej, a głównym środkiem komunikacyjnym jest wciąż kilkadziesiąt parowozów na Amazonce i niektórych jej dopływach – oraz lotnictwo.

Ucieszny wyjątek! Zbudowali w mieście Iquitos lilipucią kolejkę okrężną na kilkaset metrów. W upalne niedziele puszczali ją w ruch i wtedy obywatele Iquitoscy mieli rozrywkę, świeży prąd powietrza i powód do dumy. Poza tym były w tej puszczy dwie niewielkie koleje o znaczeniu lokalnym między Para a Bragancą i nad rzeką Madeira.

Od samego Atlantyku towarzyszył nam bezustannie las. Ściana zieloności tak fantastyczna, że wyglądała jak nieziemska scena oszalałego teatru. Palmy, liany, bambusy, epifyty, drzewa proste i koślawe, drzewa niemal poziomo rosnące, krzewy większe niż drzewa, różnorodność form i barw, liście białe jak śnieg i czerwone jak krew, co sto metrów widowisko zupełnie odmienne, a jednak w zasadzie to samo, tylko nowe drzewa, nowa roślinność – i tak od trzech tygodni przewijała się przed nami, dniem i nocą, nieznużenie i bez przerwy, puszcza amazońska, najwyższa i najbujniejsza forma puszczy na ziemi.

Od przeszło stu lat, od czasów znakomitych przyrodników H. W. Batesa i A. R. Wallace'a, dorzecze Amazonki stało się nie tylko Mekką podróżników, lecz tą częścią ziemi w tropikach, o której pojawiło się chyba najwięcej dzieł opisowych. Toteż w każdym kraju cywilizowanym, w wygodnym fotelu bibliotecznego zacisza, można łatwo poznać wszystkie geograficzne elementy Amazonki.

A jednak przybysz, choćby nie wiem jak odczytany, stanąwszy twarzą w twarz wobec tej gorącej rzeczywistości, przeżywał zdumienie i przyjemny wstrząs, jak ktoś odkrywający nowe, a ważne dla siebie rzeczy. Trzeba było doznać tego na własnej skórze, własnymi, żywymi zmysłami ogarnąć, by dopiero się przekonać, ile siły wzruszenia tkwiło w owych faktach, tak już, zdawałoby się, powszechnie znanych i oklepanych.

Puszcza amazońska! Ktoś powiedział, że człowiek idący w puszcę ma tylko dwa przyjemne dni: pierwszy dzień, gdy olśniony jej czarującym przepychem i potęgą, sądzi, że wkracza do raju – i ostatni dzień, gdy bliski oblędu ucieka z „zielonego piekła” do cywilizacji.

Okrutne, wilgotne gorąco, panujące bez przerwy przez cały rok; powodzie, zalewające

olbrzymie polacie puszczy przez dziewięć miesięcy w roku; setki nieznanych chorób czyhających wśród moczarów; mrówki i termyty, pożerające wszystko, co na drodze; chmary moskitów wszczepiających śmierć do krwi, jadowite węże, zabójcze pająki, odurzające drzewa – wszystko to sprawia, że puszcza nad Amazonką jest przeklętym krajem dla człowieka, a zwłaszcza dla białego, który chciałby w niej osiąść na stałe.

Natomiast rajem wymarzonym, wyśnionym eldoradem jest dla przyrodnika, który zagłębiając się w to piekło odkrywa najwspanialsze cuda przyrody: kwiaty o dziwacznych barwach, tajemnicze orchidee o zmysłowym zapachu, motyle barwniejsze niż jakiegokolwiek kwiaty, kolibry mniejsze i barwniejsze niż motyle, inne ptaki o groteskowych kształtach, węże, jak na przykład anakondy, dochodzące do niebywałych rozmiarów, ssaki, które przeżyły się w dawniejszych epokach, mrowiska z porządkiem socjalnym tak niezawodnym, że my, ludzie, patrzymy na to w osłupieniu, słowem – otoczy przyrodnika rozpasana wybujałość niezwykłych przejawów życia w przyrodzie. Problemy biologiczne, które gdzie indziej trzeba z trudem wyłuskiwać z ukrytych form, tu, nad Amazonką, leżą jak na dłoni: zbierać je tylko jak dojrzałe owoce.

Wiele odkryto dotychczas na świecie, natomiast w puszczy amazońskiej jest jeszcze do odkrycia cały wielki świat.

Z pokładu naszego statku patrzyliśmy na to wszystko jak widzowie w teatrze, z daleka, chociaż płynęliśmy przeważnie tuż przy brzegu i pod wieczór padał na nas cień lasu. Wtedy dochodziły nas z puszczy liczne głosy ptactwa, świadczące o bogactwie świata skrzydlatego. Czaple, bociany, ibisy, czajki i olbrzymie zimorodki hareowały nad wodą, a wysoko w powietrzu leciały królowe papug, wielkiej barwne arary, jak gdyby wyjęte żywcem z opisów Batesa.

Co dzień parowiec przystawał u brzegów zapadłych osad i co dzień mieliśmy stale świeże kwiaty. I to jakie! Prawdziwe, bezcenne orchidee amazońskie, cudowne Cattleye o szczodrych barwach.

Liczni mieszkańcy puszczy przylatywali do nas na pokład. Owady. Za dnia sunęły piękne motyle Papilionidy, ale trudno je było schwycić, bo płocze. Wieczorem do światła nadlatywały, podobne do jaskółek, motyle zawisaki. Czasem przybłąkała się olbrzymia ćma kaligo, o oczach sowy na skrzydłach, lub jakaś dziwaczna modliszka.

Lecz wnet okazało się, że pancierz przywiezionej z Europy wiedzy mało pomagał. Łatwo przebijał go żywy puls puszczy i powstawało nowe zagadnienie, już nie biologiczne, lecz psychologiczne.

Dręczyły przybysza nieprzyjemne skojarzenia: znane są nęcące dreszczyki człowieka krocącego na samej krawędzi górskiej przepaści. Jeden krok niebacznego, a otchłań stać się grobem wędrowca. Lecz do tego kroku nie dojdzie, gdyż w razie zagrożenia równowagi łatwo przecież odskoczyć i znaleźć się w miejscu bezpiecznym.

Inaczej nad Amazonką. Przybysz, jadący w górę rzeki, któregoś dnia – może w drugim, może w trzecim tygodniu bezustannego wpatrywania się w rzekę i puszcę – nagle zaniepokojony zdaje sobie sprawę, że to nie tylko on patrzy, lecz i na odwrót, w niego są wlepione czyjeś niezmrużone źrenice, źrenice puszczy i rzeki, i że człowiek stąpa ciągle jak gdyby na wąskiej grani obok ziejącej przepaści. Ta przepaść – to Niewiadoma owej puszczy, to misterium jej rozkipiałej żywotności, to jakaś przeobrażona w zieleń drapieżna syrena. Nie zagraża jego ciału, bezpiecznemu na pokładzie statku; chodzi o jego nerwy. Mimo woli człowiek wzdryga się i szuka oparcia. Lecz tym razem nie ma ucieczki od niebezpieczeństwa.

I od tej chwili powstaje ciekawy proces psychiczny: jak gdyby walka o równowagę między ludzką duszą a zachłannością puszczy. Walka groźna a powabna, zawzięta a pociągająca, toczona wciąż nad brzegiem zielonego labiryntu i otchłani.

Tego nie pisano w licznych książkach, że przyroda nad Amazonką narzuci przybyszowi z urzekającą brutalnością konieczność otworzenia nowej księgi, nieoczekiwanej, swej własnej, najbardziej osobistej i intymnej. Kimkolwiek przybysz będzie, nad Amazonką musi przeżyć swą własną Wielką Przygodę...

*

Wciąż jechał ze mną mały Czikinio, mój wielki przyjaciel. Dzielny Czikinio znał wszystko i wiedział o wszystkim, niestety, miał wielkie utrapienie: nie mógł wykręć, gdzie mrówki na statku założyły swe mrowisko. Miliony ich zalegały statek. Zjadały nam zbiory przyrodnicze i nie mogliśmy opędzić się tej pladze, bo były małe, bezczelne i wdzierały się wszędzie. Wystarczyło położyć na stole nieżywego motyla, a w ciągu kilku minut psim węchem zjawiała się zza ściany lub spod pokładu pielgrzymka mrówek. Całe szczęście, że nie napadały na nas, ludzi; pobyt na statku byłby niemożliwy.

Pociesz się, przyjacielu strapiony, że nie możesz odkryć siedliska mrówek! W puszczy, przez którą przepływaliśmy, były jeszcze tysiące innych zagadek i tajemnic, które rozwiązać i odsłonić daremnie usiłowało wielu innych mężów, wytrwalszych i silniejszych niż ty, dzielny, mały Czikinio!

8. EL DORADO

Chciwość złota konkwistadorów hiszpańskich, zdobywających Amerykę, była upiorna, nie miała granic ani hamulców. Ona to rodziła ową niepojętą drapieżność i zuchwałość, dzięki której śmiesznie nikłe garstki awanturników podbijały i niszczyły potężne państwa. Gorączka złota trawiła Hiszpanów za dnia, koszmarnie sny o skarbach dręczyły ich po nocach. Wiara, uczciwość, bohaterstwo, wierność, miłość – nie istniały, jeśli zagradzały drogę do zdobycia złota.

Niezmierne zasoby stały się łupem konkwistadorów w Meksyku i w Peru, ale żądzy zdobywców bynajmniej nie zaspokoili. Znali oni tylko niewielką część Ameryki, podczas gdy na wschód od Peru rozciągały się tajemnicze, niezmierzone krainy i o ich to bogactwie krążyły podniecające, o Santa Madonna! jakże porywające wieści.

Kędyś nad Czarną Rzeką Manoa leżała kraina Kurikuri, gdzie pono stokroć więcej było złota niż w Peru. Gdzie indziej wznosiło się miasto Paytiti, całe brukowane złotem. Nad jeziorem Parime żył król, El Dorado, słynny „Złoty”, który co dzień rano pokrywał ciało klejnotami i grubą warstwą złotego pyłu, by co wieczór splukiwać te kosztowności w jeziorze, a potem przechadzać się po mieście o złotych kopułach, o murach domów ze srebra, o jaspisowych progach, a schodach z onyksu.

Legendy? Urojenia? Wybryki chorobliwej wyobraźni? Majaczenia na pół obłąkanych Indian, branych na tortury? A czy Indianie, podobnie męczeni, nie zeznawali o przepychu Meksyku i czy Cortez nie stwierdził później, że mówili prawdę? Czy o skarbach Inków nie obiegały najfantastyczniejsze pogłoski i czy okazały się one fałszywe, gdy Hiszpanie złapali Atahualpę, a następnie wkroczyli do Cuzco?

Zdobywca Peru, Francisco Pizarro, mianował w 1539 roku swego brata Gonzala

gubernatorem prowincji Quito wyraźnie w tym celu, by zbadał i zdobył puszcze leżące na wschód od posiadłości hiszpańskich. W tych puszczach płynęła gdzieś Czarna Rzeka i błyszczały złotem Manoa i Kurikuri, Paytiti i Parime, a złoty król, El Dorado, trwonił co wieczór nieobliczalne bogactwo.

Po całorocznych przygotowaniach, pochłaniających cały majątek gubernatora, Gonzalo Pizarro wyruszył w nieznane na czele dwustu Hiszpanów i czterech tysięcy Indian-tragarzy. Wyprawa zabrała kilkaset psów do ścigania tubylców i bardzo wiele świń, lam, tudzież koni.

Po przebyciu wyżyn i łańcuchów andyjskich, gdzie Hiszpanie czuli się nieźle, wyprawa wtargnęła w nizinne lasy. Tu spadły na nią wszelkie utrapienia. Straszliwe gąszcze, duszące gorąco, plaga komarów i innych pasożytów – to jeszcze pół biedy. Gorzej, że zwierzęta i wysokogórscy Indianie, nienawykli do tropikalnego klimatu, jak muchy zaczęły ginąć na nieznane choroby.

Dopóki było co jeść, Hiszpanie trzymali się jako tako, ale wnet głód zajrzał im w oczy; zabrakło zwierząt, a ciała zmarłych tragarzy indiańskich, szybko rozkładające się po śmierci, nie były jadalne.

Coraz straszniejsze toczyły się dnie i nie mniej straszne noce. Ale w nocy przynajmniej można było śnić o złocie i złotych miastach. Gdy Hiszpanie o świcie, z gorączką w zapadłych oczach, ociężałe powstawali z wilgotnej ziemi, na ustach mieli magiczne słowa: Manoa, Paytiti, Parime – więc z nowymi siłami rozcinali mieczem złowrogą puszcę i wlekli się dalej. Odkrywali lasy cynamonowe, o których marzył Kolumb, wyruszając w podróż zamorską, ale oni nie zważali na nie, ku innym dążąc bogactwom.

Ażeby ulżyć sobie ciężarowi, zbudowali nad rzeką u podnóża Andów pojemny statek, brygantynę, na której drogą wodną mogli wieźć kilkudziesięciu chorych towarzyszy i wszelki sprzęt.

Zdrowsi nic teraz nie dźwigając szli brzegiem rzeki, ale mimo to po kilku dniach musieli ustać, całkowicie wyczerpani.

Pizarro kazał rozbić obóz i powziął rozpaczliwą decyzję: dowiedziawszy się od okolicznych Indian, że nieco niżej, nad rzeką Napo, były wsie bogate w żywność, wysłał tam na brygantynie pięćdziesięciu Hiszpanów z nakazem, by zdobyli prowiant i przywieźli jak najszybciej do obozu. Na ich czele postawił młodego, ambitnego oficera, Francisca de Orellanę, ulubieńca całego obozu.

Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością wyglodniali Hiszpanie czekali na powrót brygantyny. Ale statek nie wracał; nie miał już nigdy wrócić. Mijały dnie, tygodnie; w obozie ludzie zaczęli umierać z wycieńczenia. Pizarro doszedłszy w końcu do tragicznego wniosku, że nie ma co czekać na Orellanę, zdobył się na szaleńczy krok i z charłakami, jacy pozostali przy życiu, wyruszył w drogę powrotną. Było to ponad ich siły. Z wyjątkiem dziewięciu wszyscy wyginęli. Pewnego dnia, w szesnaście miesięcy po wyruszeniu dumnej wyprawy na podbój krainy złota, przerażeni mieszkańcy Quito ujrzeli dziewięć zataczających się postaci, trupie widma klęski. Był to Gonzalo Pizarro z ośmioma towarzyszami.

A Francisco de Orellana? Czy zginął? Nie, nie zginął.

Płynąc w dół rzeki przez wiele dni – więcej niż się spodziewano z opisu Indian – dotarł nareszcie do wiosek, o których Hiszpanie słyszeli. Indianie nie tylko przyjęli go przyjaźnie, lecz zaopatrzyli obficie w zapasy żywności. Wszakże zawieźć je do obozu pod

bystry prąd na ciężkiej brygantynie okazało się niepodobieństwem, natomiast zanieść je na plecach – zadaniem zbyt niepewnym i długotrwałym, zresztą ponad siły ludzkie. Wobec tego Orellanie nasunęła się desperacka myśl. Postanowił z towarzyszami płynąć dalej, już na własną rękę i odpowiedzialność. Wszyscy z zapalem się zgodzili, każdego bowiem podniecały coraz dokładniejsze wieści o niedalekiej olbrzymiej rzece i powtarzane wciąż pogłoski o istnieniu nad jej brzegami bogatej krainy Manoa. Tak oto zaczęła się jedna z najśmielszych wypraw odkrywczych, znanych w dziejach ludzkości. Jakież rozmach junackiego polotu, ile niewzruszonej odwagi, pogardy śmierci, urągania wszelkiemu niebezpieczeństwu! Cortez miał przeszło pięciuset Hiszpanów, gdy wyruszał na Azteków, Francisco Pizarro – stu osiemdziesięciu pięciu przeciw państwu Inków, Orellana zaś tylko czterdziestu dziewięciu, z którymi zamierzał podbić nieznaną a wielką potęgę legendarnego króla El Dorado. Nie miał nawet pojęcia, gdzie panował ów władca i ilu miał wojowników; co więcej, śmiała otaczała zewsząd okropna puszcza, grożąca tysiącem nieodgadnionych chorób i zasadzek; co więcej, losy powierzał tajemniczej wodzie, lękiem przejmującej Indian, o której nawet nie wiedział, dokąd toczyła swe nurty: może na koniec świata, do Chin, do Indii?

Znamy przejścia i przygody tych zuchwalców, owładniętych szalem złota, gdyż kapelan wyprawy, ojciec Gaspar de Carvajal, dokładnie spisywał kronikę podróży. Dnia 12 lutego 1542 roku obydwie brygantyny dopłynęły do ujścia rzeki Napo – dwie brygantyny, gdyż Orellana zbudował przy pomocy leśnych Indian drugi, mniejszy statek – i wtedy to rozszerzone oczy Hiszpanów ujrzały niepomiarłą rzekę. Przeciwnie jej brzeg błękitniał cienką tylko smugą na widnokręgu.

Była to Amazonka, po raz pierwszy widziana przez białych ludzi tu na zachodzie, po wypłynięciu z Andów na niziny.

– *Mar dulce!* – Słodkie morze! – z ust Hiszpanów wyrwał się okrzyk, najlepiej obrazujący pierwsze ich wrażenie.

Dla podnieconych odkrywców nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że byli na właściwej drodze do celu. Przyjaźnie usposobieni Indianie Omagua potwierdzali wieści, że płynąc w dół wielkiej rzeki dotrze się do narodu Manoa (nie miasta Manoa, jak dotychczas mniemano, lecz narodu), panującego u ujścia Rzeki Czarnej.

Hiszpanie, pełni otuchy, popędzali indiańskich wioślarzy, przydzielonych im przez życzliwego wodza. Ale tygodnie mijały, rzeka ni puszczą nie zmieniały wyglądu, nie było widać końca trudów. Nadbrzeżni Indianie nie wszędzie chętnie ich karmili, dokuczał znowu głód, wzmagало się rozdrażnienie.

U ujścia rzeki Teffe wydało się im jakby w zamroczeniu zmysłów, że dopłynęli do jeziora Parime, ale gdy zamiast błyszczących kopuł złotego króla nie odkryli nic innego w puszczy prócz nadobnych palm assai, wpadli w szal. Orellana oszczędzał dotychczas broni, by dobyć jej dopiero nad karkiem złotego króla i jego wojowników, wszakże rozjątření jego towarzysze nie wytrwali. Hiszpańskim nawykiem zaczęli mordować po drodze krnąbrnych Indian, palić wsie.

Nie zawsze uchodziło im to bezkarnie. Niedaleko rzeki Japura liczne łodzie wojenne stawiały im czoło i nie dopuściły do lądowania. Hiszpanie, zmuszeni do odwrotu, z trudem odpędzili prześladowców. Było to w państwie możnego króla Macziparo. Tu Hiszpanie zetknęli się po raz pierwszy w dorzeczu Amazonki z Indianami o niepoślednim stopniu kultury i zamożności. Ale złota nie było.

W dalszej wędrówce napięcie Hiszpanów rosło z dnia na dzień. Łapani jeńcy, zgodnie

z wszystkimi innymi Indianami, zeznawali, że ujście Rzeki Czarnej było niedaleko. Do uszu konkwistadorów dochodziły coraz dokładniejsze wiadomości o groźnym narodzie Manoa.

Aż któregoś dnia serca zabiły im mocniej ze wzruszenia. Z lewej strony otworzyła się rozległa przestrzeń wodna i tu wpadała do Amazonki rzeka niewiele mniejsza od tej, którą dotychczas płynęli. Już z daleka było widać, że ma ton czarny, wyraźnie odbijającą od żółtych wód Amazonki.

– *Rio Negro!* – Rzeką Czarną! – szeptali Hiszpanie z przejęciem, świadomi, że nareszcie stanęli u progu państwa złotego króla.

Po przebrnięciu przez wiry u zbiegu obydwóch rzek, brygantyny wypłynęły na Rzekę Czarną, powoli dążąc pod prąd. W trzy godziny powyżej ujścia Hiszpanie odkryli na lewym, wywyższonym, północnym brzegu ludną wieś. Za ledwie statki nieco bliżej podeszły, wyroliła się od lądu wielka ilość łodzi i do tysiąca wojowników napadło na brygantyny. Hiszpanie dali ognia z muszkietów wiedząc z doświadczenia, że huk wystrzałów zawsze zmuszał tubylców do ucieczki w popłochu. Lecz tym razem zaciekleść Indian przewyższyła ich przestrach. Wojownicy nacierali dalej.

Tymczasem z przeciwnej strony nadciągnęła druga, jeszcze liczniejsza flotyła i od tyłu uderzyła na brygantyny. Wzięci w kleszcze Hiszpanie walczyli jak lwy gęstym trupem kładąc wroga, wdzierającego się na burty. Zarumieniła się czarna rzeka od krwi czerwonych bojowników. Ich strzały i włócznie nędzną były bronią wobec żelaznych pancerzy konkwistadorów, a mimo to wkrótce wszyscy Hiszpanie broczyli z ran. Wciąż zjawiały się nowe chmury łodzi. Orellana, widząc nieprawdopodobną zażartość nacierających, zrozumiał, że nie da im rady. Jedynym ratunkiem był szybki odwrót. Brygantyny ledwie zdołały się otrząsnąć od śmy wojowników. Odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę. Przez wiele mil Indianie nie dawali spokoju Hiszpanom i odstąpili od nich dopiero po wyjściu brygantyn na Amazonkę. Tak na klęsce spełził pierwszy wysiłek dotarcia do El Dorado.

O przebiegu się w górę Rio Negro w tych warunkach nie było mowy. Bezprzykładna waleczność Indian Manoa utwierdziła Orellanę w przekonaniu, że bili się tak uporczywie, bo bronili wejścia do skarbów złotego króla. Orellana dając tymczasem za wygraną uświadomił sobie, że należy wrócić tu z większą siłą Hiszpanów. Z tym niezłomnym postanowieniem płynął dalej w dół Amazonki.

Wędrowcy przeważnie natrafiali teraz na przyjazne szczepy Indian. Tylko jeden raz z własnej winy zawikłali się w tarapaty i swego junactwa omal że nie przypłacili życiem. Mianowicie Hiszpanie dowiedziawszy się o istnieniu nad rzeką Jamunda niezwyklego państwa, składającego się z samych kobiet, ogromnie wojowniczych i nie znoszących obecności mężczyzn, zapalali chęcią ujarznienia indiańskich amazonek. Wszelkie przestrogi tylko podnieciły ich pożądliwość. Brygantyny wpłynęły w górę rzeki Jamunda i dotarły do wielkiej wsi Indianek, ale mieszkanki, w czas ostrzeżone, umknęły, za to wracającym Hiszpanom zgotowały po drodze przykrą zasadzkę. Były to znakomite łuczniczki, celniej i dalej strzelające niż mężczyźni, czego konkwistadorzy doświadczyli na własnej skórze. Odechciało im się kawalerskich przygód i tylko co sił pędzili w dół niegościnniej rzeki Jamunda. Przy wyjściu do Amazonki na dobitkę napadli na nich młodzi wojownicy szczepu Mura. Byli to jedyni sprzymierzeńcy i przyjaciele osobliwych Indianek, zapraszani do kobiecych wiosek raz do roku na kilkudniowe gody. Tym wojownikom Hiszpanie łatwiej się opędzili niż rozsierzdzonym kobietom.

Atlantyk był jeszcze daleko, ale Hiszpanie niebawem odczuli' jego wpływ. Ze zdumieniem zauważyli, że poziom rzeki w ciągu doby regularnie podnosił się i obniżał, co przypisywali – i słusznie – wpływom morza. O nim również częściej teraz napomykali Indianie i gdy wędrowcy u ujścia rzeki Tapajoz wpłynęli na olbrzymią przestrzeń wodną, rozszerzającą się aż po nieboskłony, myśleli, że to już upragnione morze. Wszakże do morza było jeszcze tysiąc kilometrów.

Nad rzeką Tapajoz poznali Indian, zapewne ze szczepu Munduruku, stojących na jeszcze wyższym poziomie niż poddani króla Macziparo. Liczne wsie o wielkich chatach, dostatnie stroje ludzi, zwłaszcza kobiet, bogactwo przedmiotów codziennego użytku, świadczące o skrzętności i zdolnościach artystycznych szczepu – budziły zdumienie Hiszpanów. Łupić u tych Indian nie było co, złota wiele nie mieli. Byli to kupcy Amazonki, zapuszczający się w dalekie podróże, i od nich Orellana uzyskał dokładniejsze szczegóły o dolnym biegu rzeki.

Hiszpanie gonili resztkami sił. Od miesięcy tłukli się w tym strasliwym piekle gorąca i pary. Wciąż bez przerwy dniem i nocą otaczała ich jednakowo wroga puszcza, ogrom rzeki wydawał się bez końca. Po klęsce na Rzece Czarnej i utracie nadziei na zdobycie złota, po które wyruszyli, awanturnicy byli bliscy utraty zmysłów.

W tak rozpaczliwym stanie dobrnęli wreszcie do morza dnia 26 sierpnia 1542 roku, po dziewięciu miesiącach tułania się na oślep po nieznanych wodach. Najpotężniejsza na ziemi rzeka przestała być tajemnicą dla ludzi białej rasy. Dziw, że w ogóle wypuściła zuchwałców ze swej mocy i pozwoliła dokonać im dzieła; że w tej wyprawie na pięćdziesięciu Hiszpanów tylko ośmiu postradało życie. Im, którzy pierwsi przepłynęli Amazonkę, sprzyjało wyjątkowe szczęście, ale główną rolę odgrywała tu ich niepospolita wytrzymałość i podziwu godne zuchwalstwo.

Po kilku tygodniach brygantyny szczęśliwie dotarły do hiszpańskich wysp na Morzu Karaibskim. Stąd Orellana udał się do Hiszpanii i po przedłożeniu królowi raportu uzyskał pozwolenie na nową wyprawę, mającą zdobyć dla korony hiszpańskiej Amazonię wraz ze skarbami krainy Manoa. Teraz, kiedy Orellana odkrył bieg Amazonki i doznał przykrych doświadczeń u ujścia Kio Negro, istnienie El Dorada wydawało się faktem bezspornym, więc ochotników do nowej wyprawy zgłosiło się aż nadto. Po przezwycięzeniu w Hiszpanii wielu trudności, nie tylko finansowych, lecz i wynikłych z zazdrości tudzież intryg, flotylla Orellany po trzyletnim przygotowaniu wyruszyła w drogę.

Pewnego dnia trzy wielkie statki dobiły do ujścia Amazonki. Orellana kazał na wybrzeżu zbudować silną warownię i pozostawił w niej większość swych oddziałów, sam zaś – niby straż przednia – wyruszył na dwóch barkach w górę rzeki. Miał ze sobą stu towarzyszy.

Od tej chwili przepadł jak kamień w wodzie. Puszcza amazońska pochłonęła jego, wszystkich ludzi i obydwie barki. Po zaginionych nikt nie odkrył najmniejszego śladu. Czyżby w ten sposób puszcza zemściła się za wydarcie rzece tajemnicy?

Po kilku miesiącach daremnego czekania Hiszpanie w warowni u ujścia Amazonki, zrażeni niegościnną dzikością przyrody, zwinęli obóz i odpłynęli, pozostawiając tę część Ameryki otwartą dla przedsiębiorczości innych awanturników.

Rzeka przez pewien czas nosiła miano „Rio Orellana”, dopóki nie zaniechano tej nazwy na rzecz „Rio de las Amazonas”, nazwy nadanej z przyczyny odkrytych kobiet-amazonek, a jak tłumaczą inni – według indiańskiego słowa amazunu, wyrażającego coś

w rodzaju „poskromicielki fal”. Tak tubylcy rzekomo nazywali groźne ujście do morza.

Mit o złotych bogactwach nad Rio Negro wkrótce okazał się wielką złudą i przysł jak bańka mydlana. Orellana i jego towarzysze gonili kłamliwe urojenia i za nie zginęli. Jedno nie ulega wątpliwości: największą rzekę odkryli ludzie, którzy posiadali odwagę i zuchwałość na miarę olbrzymów...

Papilio Orettana należy do okazalszych motyli nad Amazonką. Wielki, czarny, z czerwoną plamą na tylnych skrzydłach, ma dumny szybujący lot i spośród innych motyli licznej rodziny Papilionidów rzuca się w oczy niezwykłą, można by prawie powiedzieć: szlachetną godnością.

Pewnego dnia spostrzegłem go siedzącego tuż przy rzece na ławie piaszczystej. Pił chciwie wilgoć. Gdy podszedłem, zerwał się i wspaniale zatoczył kilka kręgów nad brzegiem. Widocznie nie ugasił swego pragnienia, bo chciał się jeszcze raz na piasku. Ale w końcu ostrożność wobec ludzkiego natręta przeważała: motyl, wzbijając się wyżej, powoli odleciał do pobliskiej puszczy i znikł wśród drzew. Już go nie ujrzałem.

Pomimo dopiekających promieni amazońskiego słońca uśmiechałem się do siebie, że mi przysły do głowy uciężne analogie historyczne: Orellana gaszący swe pragnienie wodą Amazonki, a potem przepadający w puszczy tak samo jak ten motyl.

9. TAJEMNICA PUŁKOWNIKA FAWCETTA

W Manaos, w hotelu „Brasil”, nie mogłem dogadać się przy kolacji z kelnerem. Wtedy gospodarz poprosił jednego z gości, siedzących przy sąsiednim stole, by mi pomógł. Uprzejmy gość przyszedł i pomógł. Przedstawiliśmy się sobie wzajemnie, ustaliliśmy język francuski jako konwersacyjny i spożywaliśmy wspólnie kolację. Był to Anglik, nazywał się Albert de Winton, miał lat około czterdziestu pięciu i nosił energiczną brodę. Rozmawialiśmy o tym i owym, a gdy Winton dowiedział się, że jadę w misji zoologicznej do Peru, wyłuszczył cel swego pobytu w Brazylii: odnalezienie pułkownika Fawcetta.

– Jak to? – spytałem zdziwiony. – To sprawa jego zaginięcia jeszcze pokutuje?

– Dla mnie – oświadczył skromnie, lecz z naciskiem Winton – sprawa będzie zawsze aktualna, dopóki jej nie wyjaśnię zupełnie. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy świat dowie się nareszcie całej prawdy.

W trakcie dalszej rozmowy dowiedziałem się – dzięki uprzejmości Wintona ze źródła chyba najbardziej miarodajnego r~ bliższych szczegółów tej tajemniczej, a tak głośnej swego czasu sprawy.

Fawcett, brytyjski pułkownik w stanie spoczynku, należał swego czasu do komisji wytyczającej granicę między Boliwią a Brazylią. Wtedy poznał doskonale puszcę południowoamerykańską, i nie tylko to: od Indian, przybyłych z brazylijskiego stanu Mato Grosso, dowiedział się o istnieniu w głębi puszczy rozległych ruin jakiegoś legendarnego miasta.

Dokładniejsze badania i studia naprowadziły Fawcetta na dość fantastyczną myśl, że owe ruiny mogą być pozostałością legendarnej Atlantydy, których należy szukać – według przypuszczeń niektórych uczonych – właśnie w stanie Mato Grosso, między rzekami Xingu a Araguaya. Przejęty tą myślą, Fawcett, romantyk puszczy, postanowił sprawę osobiście zbadać i po starannym przygotowaniu się w Anglii wyruszył w roku

1926 do Mato Grosso.

Wyprawę rozpoczął od miasta Cuyaba, stolicy stanu Mato Grosso, idąc w kierunku północno-wschodnim ku źródłom rzeki Xingu. Towarzyszyło mu tylko dwóch ludzi: jego dwudziestojednoletni syn i tegoż przyjaciel, Jack Rimmel, oraz trzy psy.

Jeżeli Mato Grosso, leżące w większej części w dorzeczu Amazonki, jest stanem stosunkowo mało zbadanym, to okolice nad źródłami rzeki Xingu należą do zupełnie niezbadanych. Pomimo względnej bliskości stolicy Cuyaby, oddalonej mniej więcej o czterysta kilometrów, źródła są oznaczone na mapach kropkowaną linią.

W dwanaście dni po wyruszeniu z Cuyaby wyprawa dotarła do ostatniej cywilizacji, pewnej fazendy, oddalonej o sto pięćdziesiąt kilometrów od stolicy, i tu Fawcett, chory na lekką gorączkę, odpoczywał przez kilka dni. Potem wyprawa wyruszyła w głuchą puszcę na północ i od tego czasu zaginęła. Po tygodniu wrócił do fazendy jeden z psów Fawcetta, pokrwawiony i wkrótce zdechł. To był ostatni znak wyprawy. Fazender posłał do lasu ludzi na poszukiwania, lecz ci wrócili bez wyniku.

Po kilku tygodniach wieść o zaginięciu Fawcetta dotarła do Anglii. Ponieważ krążyła pogłoska, że Fawcett żyje, więziony przez dzikich Indian, przyjaciele jego zebrali fundusze i zorganizowali wyprawę ratunkową. Gdy pierwsza niczego nie dopięła, wysłano drugą i trzecią, dwie angielskie i jedną amerykańską. Wszystkie daremnie.

Winton badał na miejscu działalność tych wypraw i stwierdził, że był to jeden wielki skandal. Wyposażone w znaczne fundusze, składały się przeważnie z nieodpowiednich ludzi, którzy wystawnie żyli, wysyłali często biuletyny o sobie do prasy (stąd wszechświatowy rozgłos sprawy Fawcetta), jeździli w wygodnych łodziach po Xingu i – w ogóle nie szukali Fawcetta tam, gdzie prawdopodobnie zaginął. Fawcett zaginął w puszczy między źródłami rzeki Xingu (jest ich pięć czy nawet więcej) lub na wschód od Xingu, między tą rzeką a Rio das Mortes. Oni natomiast szukali tylko przy samej rzece i byli zbyt wygodni, ażeby zagłębić się w lasy.

Winton sam odbył już jedną wyprawę do okolic rzeki Xingu na początku roku 1933 kierując się od wschodu na zachód. Gdy dotarł do rzeki Araguaya, ludzie jego zbuntowali się i nie chcieli iść dalej. Wówczas wynajął innych Brazylijczyków, gotowych na wszystko, i przedarł się z nimi przez lasy do rzeki das Mortes. Tu zdobył od Indian Bakairi niezmiernie ważną wiadomość, że Fawcett – a opis osoby wskazywał na to, że to był w istocie Fawcett, nikt inny – dotarł przed kilku laty nad rzekę das Mortes, przebywał tam przez cały rok i wrócił znów na zachód, w stronę źródeł Xingu. Winton chciał natychmiast ruszyć jego śladem, lecz podczas przeprawy przez rzekę zatoneły łódzie wraz z całym ekwipunkiem i badacz, zresztą wyczerpany i chory na malarię, musiał wracać czym prędzej do okolic cywilizowanych.

W każdym razie wyprawa jego dała wynik ważny, mianowicie pewność, że Fawcett nie zginął zaraz po opuszczeniu fazendy, jak dotychczas mniemano. Dlatego nad Rio das Mortes pojawił się Fawcett sam, a nie z towarzyszami, pozostawało zagadką.

Winton, nie zrażony niepowodzeniem, przygotowywał obecnie ponowną wyprawę płynąc tym razem rzeką Xingu w górę aż do jej źródeł, ażeby zbadać szczegółowo puszcę nad dopływem Kuluene, gdzie było największe prawdopodobieństwo znalezienia śladów zaginionego.

A zatem co stało się z Fawcettem?

Winton wykluczał możliwość więzienia Fawcetta przez Indian Bakairi, gdyż to nie odpowiadało ich obyczajom. Jeżeli zatem Fawcett nie zginął na początku wyprawy, to żył

– według przekonania Wintona – dobrowolnie gdzieś w puszczy jako osadnik, prawdopodobnie w gościnie u Indian.

Szczep Bakairi odznaczał się łagodnym usposobieniem i słynął z gościnności. Był już kiedyś w rodzinie Fawcetta podobny wypadek ucieczki na łono przyrody; wobec romantycznych skłonności pułkownika nie było to wykluczone i teraz. Cały błąd polegał na tym, że Fawcetta dotychczas wcale nie szukano należycie i gromada darmożjadów tylko trwonila fundusze jego przyjaciół robiąc wielki huk w prasie.

Winton szukał na własną rękę i za własne pieniądze. Czy- znajdzie? Energicznie patrzyło mu z oczu.

W dwa dni później zegnaliśmy się serdecznie w porcie Manaos. Statek Wintona szedł w dół Amazonki do ujścia rzeki Xingu, mój w górę do Iquitos. Życzyliśmy sobie wzajemnie powodzenia. Przysięgłem, że poruszy niebo, ziemię i puszcę, a Fawcetta odnajdzie. Byłem ciekawy, czy dotrzyma przyrzeczenia³.

10. TRAGEDIA KAUCZUKOWA

Gdy Ford budował pierwszy samochód, kaboklo – mieszkaniowiec brazylijskiej puszczy – żył nad Amazonką ze swą kobieciną w prostocie ducha, jadł często gęsto surowe ryby z rzeki i o szerokim świecie mało co wiedział. Gdy Ford wypuszczał swe tysiączne auto, kaboklo, klął na czym świat stoi na nowe prądy, poszedł ostatecznie za przykładem swego kuma sąsiada i także zaczynał naciąć drzewa kauczukowe. Gdy Ford wybudował pięćset tysięcy samochodów, całą Amazonię ogarnęło szaleństwo, a *kaboklo* – przepraszam: *seringueiro*, tak bowiem teraz nazywał się zbieracz kauczuku – pił w Manaos francuski szampan, pieścił importowane z Europy blondynki, a hawańskie cygara zapalał stumilrejsówkami.

Po różnych gorączkach złota i diamentów ludzkość poznała gorączkę kauczukową. Nad Amazonkę zaczęły płynąć zewsząd miliony. Dolarów, funtów, franków, marek. Zaczęły płynąć tak szybko i w takiej ilości, że ludzie tu rzeczywiście- nie wiedzieli, co z nimi począć. Więc kauczuk szedł na wino, na ostrygi, na fantazje, na pałace, na rozpustę. Powstawały szalone pomysły: zamiary przebicia dróg przez puszcę, zbudowania tam na Amazonce.

Jak na drożdżach rosły miasta nad wielką rzeką, Para, Manaos, Iquitos, i począwszy od końca dziewiętnastego wieku stale rosła cena kauczuku.

Bogacili się pośrednicy, agenci, kupcy, właściciele statków i przede wszystkim ich opiekunowie – wielkie koncerny.

Z początku, gdy wybuchła gorączka kauczukowa, zarabiał nieźle także i prosty *seringueiro*, ten właściwy, jedyny w całym zespole producent, wystawiony na straszliwe trudy i niebezpieczeństwa w puszczy. Lecz w miarę rozwoju eksploatacji szybko rozpanoszył się nad Amazonką duch grabieży i wyzysk człowieka pracy przybrał tu wyjątkowo odrażającą formę.

Leśni kacykowie, otoczeni zbrojnymi zbirami, terroryzowali całą okolicę zmuszając kabokli i Indian do znoszenia im coraz większych ilości kauczuku za coraz nędzniejszą zapłatę. Kauczuk, podstawa nowej gałęzi wielkiego przemysłu w Europie i Ameryce Północnej, był zmieszany nie tylko z obfitym potem, lecz i z krwią *seringueirów*.

W owe czasy, gdy zagadnienie kauczuku zaczęło nabierać znaczenia światowego, pewien skromny, mało znany botanik, zbierający w południowo-wschodniej Azji rośliny i

kwiaty, napisał elaborat do brytyjskich władz kolonialnych. Jak to bywa z elaboratami nieznaczących ludzi, władze przeczytały go do połowy i odrzuciły. Potem przypadkiem wyciecznik botanika dostał do ręki młody urzędnik, świeżo przybyły z Anglii, i zapalił się do sprawy. Wydębiał skądś potrzebne pieniądze i spróbował. Próba udała się nadspodziewanie. Okazało się, że klimat południowo-wschodniej Azji znakomicie odpowiadał hodowli drzewa kauczukowego.

Żywy interes Brytanii wymagał, ażeby Brazylii wytrącić monopol kauczukowy, więc na Półwyspie Malajskim założono rozległe plantacje hevea, drzewa kauczukowego.

Do ich powstania przyczyniło się charakterystyczne zdarzenie. Brytyjczykom były potrzebne nasiona drzewa hevea, lecz rząd brazylijski strzegł swego monopolu roślinnego jak oka w głowie. Wtedy spryciarz Henry Wickham, występujący pod płaszczykiem zoologa badającego faunę amazońską, w pomysłowy sposób wykradł z Amazonki cenne nasiona: przemycił je w wypchanych skórach kajmanów. A co równie znamienne, ową kradzież gloryfikowano w kołach angielskich jako piękny wyczyn sportowy Wickhama. Piękny i wielce zyskowny.

O tym, co działo się na Dalekim Wschodzie, *seringueiro* brazylijski oczywiście nic na razie nie wiedział, bo co go obchodziła reszta świata? Nacinał dalej drzewa, gdzie się dało, strzelał w lasach do konkurencji i znosił kauczuk do miast, a tu był przyzwyczajony, że towar wyrywano mu z ręki i płacono najniższe ceny.

Nadeszła pierwsza wojna światowa. Cała Ameryka, od Zatoki Hudsonskiej do Patagonii, robiła świetne interesy na tym, że Europa za łby się wodziła. Jedynie nad Amazonką coś zaczęło się psuć. Cena kauczuku pomimo wojny spadała. Nikt nad Amazonką, ani kupcy w miastach, ani *seringueiro* w puszczy, zrazu nie rozumieli tego i dziwili się.

Wojna się skończyła. Cena kauczuku dalej spadała, gdyż plantacje na Wschodzie coraz obficiej zasypywały nim rynki światowe. Ludzie nad Amazonką jeszcze nie rozumieli przyczyny, natomiast pojęli, że trzeba zacisnąć pasa: trzeba pożegnać się z boskim szampanem, poskromić cudne, ach! jak cudne fantazje i przytłumić ulubiony, szeroki gest.

Miasta nad Amazonką bankrutowały, a *seringueiro* i pośrednicy stwierdzili, że nie warto im wozić towaru do miasta, bo nikt kauczuku nie kupi. Więc wielu pozostało w puszczy i stało się znów cichymi, apatycznymi kabokami.

Innych, którzy przybyli w te lasy z różnych stron świata, ogarniał dziki popłoch. W puszczy kto zdrowy i żywy zbierał dotychczas jeno kauczuk, niczym innym nie zwracając sobie głowy. Mało ludzi myślało o uprawie ziemi i wołało, choć za drogie pieniądze, kupować żywność na statkach. Więc teraz, gdy zabrakło i pieniędzy, i żywności, klęska głodu spadła na kauczukowych zawadiaków. Tłumnie zaczęli uciekać z lasów ku wielkiej rzece. Tu setkami oblepiali każdy parowiec; płynący w dół Amazonki. Bili się o każde miejsce na pokładzie, rewolwerem torowali sobie drogę. Obłąd i zbrodnie mieli w oczach. Tłuszcza, przyzwyczajona do znęcania się nad Indianami, teraz sama oszalała z trwogi, uciekała przypominając resztki armii po druzgocącym pogromie.

Opustoszały i zamilkły w lasach ścieżki i ścieżyny. Zakryła je gęstwina, jak zaciera się znieprawione ślady. Umilkły wiosła na szlakach wodnych. Gruba zwierzyna, poprzednio wypłoszona z kniei, wróciła do swych dawnych legowisk. W Amazonce znów zaczęły kąpać się nocą tapiry, a nad jej brzegami słyszano coraz częściej ryk jaguara.

Odbываяć podróż po Amazonce poznałem miasto, które na kauczuku najwięcej

zarobiło i najwięcej potem ucierpiało: Manaos. Miasto to sprawiało dziś wrażenie jak gdyby zbyt obszernego ubrania, wiszącego żałośnie na wychudzonej postaci. Ilu mieszkańców posiadało Manaos, nie mogłem się dowiedzieć. Podobno za czasów najlepszej koniunktury, to jest w latach 1900 do 1914, liczba ich dochodziła do stu tysięcy. W latach 1933/34 oceniali je na pięćdziesiąt tysięcy, a nawet mniej. To małe stosunkowo miasto posiadało szereg wspaniałych, olbrzymich gmachów, zakrojonych na wielką stolicę.

A więc pałac prezydenta (Manaos jest stolicą stanu Amazonas, o powierzchni kilkakrotnie większej niż Polska, lecz o zaludnieniu liczącym tylko pół miliona mieszkańców), pałac tak monumentalny, że wywołałby zazdrość niejednego prezydenta większego państwa w Europie. Posiada dalej Pałac Sprawiedliwości – Palacio de Justicia (wszystko pałace), gmach tak potężny, że wątpię, czy kilka takich przybytków sprawiedliwości spotkałoby się w stolicach europejskich.

Ale przede wszystkim Manaos ma operę, wybudowaną na wzór opery paryskiej i chyba tych samych rozmiarów. Dla kogo przeszło pół wieku temu budowano operę, bogowie wiedzą. W tym majestatycznym gmachu – istne kuriozum puszczy amazońskiej – podobno nigdy jeszcze nie grano opery. Teatr był stale zamknięty, z wyjątkiem nielicznych dni co kilka lat, kiedy to dla honoru miasta sprowadzało się z Rio de Janeiro grupę aktorów, by wystawili kilka razy jakąś farsę lub sentymentalno—kliwne sztuczdyło.

Przed tym teatrem rozciąga się szeroki plac z bogatą mozaiką kamienną, lecz zaledwie kilkaset metrów dalej już stały pierwsze drzewa puszczy, groźne macki amazońskiej puszczy, rozległej na tysiące kilometrów we wszystkich kierunkach.

Któregoś dnia poprosiłem stróża teatru, by zaprowadził mnie do najwyższego okna budynku. Tam roztaczał się przede mną czarowny widok. Manaos nie leży nad Amazonką, lecz nad Rio Negro, o dziesięć mniej więcej kilometrów powyżej jej ujścia do Amazonki. Więc z góry widać było potężną wodę, Rio Negro, a w oddali samą Amazonkę – obydwie rzeki stanowiące jedyne arterie życiodajne tego miasta i jedyną rację jego bytu. Poza tym rozciągało się ze wszystkich stron niezmierne morze zieleni, zwartej, nieskończonej i podchodzącej – zdawałoby się – prawie tuż pod mury gmachu, z którego patrzałem. Widok otaczającej zewsząd puszczy jaskrawo uprzytamniał całą bezsensowność tej opery i groteskę jej istnienia.

Z góry również znakomicie widziałem, jak miasto ulegało powoli zachłanności puszczy. Puszcza dosłownie je pożerała. Nie nagle, nie szturmem, lecz wytrwałym naporem zdobywała odcinek po odcinku, kruszyła krańce miasta, wciskała się w ulice. Tu od wielu lat nie człowiek ujarzmił przyrodę, lecz przeciwnie, przyroda brała odwet i sama nacierała na człowieka. Niby żelazną obręczą nieubłagany żywioł ścisnął Manaos, a smutne, senne miasto – pomimo ulic częściowo asfaltowych, potężnych gmachów, telefonów, elektryczności – jak gdyby poddawało się i godziło z tym losem.

Dopiero po latach, po drugiej wojnie światowej, ludzie podejmą tu na nowo walkę z puszczą, gdy ich namnoży się więcej, a Manaos obrośnie w stutysięczną przeszło ludność. Siekiery i noże-fakony pójdą znowu w ruch, będą rozrywały rzemieńne zielska i rąbać drzewa, jak obrabuje się ramiona rozjuszzonej ośmiornicy. Odepchną o dwa, trzy kilometry puszcze i założą na zdobytej ziemi swe ogniska domowe, ale będą to kruche sadyby i szalasy, jak gdyby budowane na przejściowe siedliska, a zamknięty na spusty gmach opery wciąż pozostanie nadal wymownym symbolem.

W Manaos widziałem piękne fontanny – z wyschniętą wodą; bulwary – z

powybijanymi kamieniami, a gdy na dachach domów sterczały czarne sępy urubu, jak zresztą we wszystkich miastach Ameryki Południowej, to tu, w Manaos, widok ten sprawiał szczególnie przykre wrażenie.

Manaos posiadało tramwaje, których linie, obliczone ongiś na dalszy rozwój miasta, wychodziły daleko poza jego przedmieścia. Posiadało też kilka nowoczesnych kin.

Pewnego popołudnia przeżywałem miłe chwile z Gretą Garbo na ekranie, a po seansie wsiadłem do tramwaju i w piętnaście minut byłem na końcowej stacji, w dziewiczym lesie, wśród lian, storczyków, zmurszałych pni, odurzających zapachów. Tu doznałem jeszcze silniejszego wrażenia, gdy spostrzegłem wielkie motyle morfo o metalicznym połysku i gdy odkrywałem na drzewie przeszło metrowego jaszczura leguana. W ciągu dwudziestu minut Greta Garbo w wytwornym kinie i leguan w tropikalnej puszczy – to zaiste przeżycie, którego nie zapomina się tak łatwo i którego można doznać tylko w Manaos.

Nawiasem mówiąc, na tej końcowej stacji tramwajowej pewien pocziwiec zaproponował mi kupno żywego, blisko trzymetrowego węża boa za dwa milrejsy – po prostu za grosze.

Podczas dalszej podróży na Amazonce poznałem kilku kabokli, dawniejszych *seringueirów*. Przychodzili na nasz statek po nowiny. Obdarte, scherlałe postacie, wiadomo: życie w puszczy. I jeszcze inna rzecz. Jeden z nich skarżył się rzetelnie na ciężkie czasy; od kilku miesięcy nie mógł kupić salwarsanu. Nie prosił o jałmużnę, broń Boże, ani mu to w głowie, tak tylko przygodnie poruszał temat.

Ludzie ci chętnie rozwodzili się nad minionymi czasami, jak nad czymś bajkowym, mówili o triumfie, przejęci dumą, z jaką weteran opowiada o swym udziale w zwycięskiej bitwie. Długie lata zatarły pamięć mordęgi leśnej i krzywd, jakich doznawali od wyzyskiwaczy, a może – jakie sami wyrządzali. Podczas tych barwnych opisów oczy ich nabierały gorączkowego blasku i świeciły się wciąż jeszcze, gdy później obdartusy opuszczały pokład naszego statku, by na wywrotnych kanoach odpłynąć do swych szałasów na palach.

Co inne społeczeństwa i kraje przeżywały w ciągu wieku lub kilku co najmniej pokoleń, tu puszcza nad Amazonką przeszła w ciągu dwudziestu lat: oszałamiający rozkwit i zawrotny upadek; fantastyczny rozpęd i posępny finał.

Gdy szaleńcy rozpętali wojnę, która u nas zaczęła się tragicznym wrześniem, mieszkańcom nad Amazonką zaświeciły się oczy i otucha wstąpiła w ich serca: przecież wojna w Europie będzie potrzebowała ogromnej ilości kauczuku! A w drugim roku wojny czyż Japończycy nie zagarnęli ponurego źródła wszystkich zgryzot ludzi nad Amazonką – plantacji kauczukowych w południowej Azji i w Indiach Holenderskich? Zagarnęli, owszem, ale i to nie odmieniło losu. Bo oto powstał nowy rywal, niweczający piękne nadzieje: kauczuk syntetyczny.

Lecz kauczuk syntetyczny nie rozwiązał całego zagadnienia. Znaczenie hevei, drzewa kauczukowego, nadal pozostało doniosłe, tylko przerzuciło się znad Amazonki na Wschód. Plantacje brytyjskie w południowo-wschodniej Azji i holenderskie w Indiach Holenderskich, dzisiejszej Indonezji, pozostały także i po wojnie ważnym czynnikiem gospodarki światowej, a tym samym także i polityki.

Podczas podróży po Amazonce stwierdziłem, że tutejszy kauczuk niezupełnie ustąpił

z pola walki; coś mu tam pozostało z dawnej chwały i wziętości. Na postojach naszego statku leśni ludzie przynosili wielkie, czarne, charakterystyczne kule kauczukowe, stanowiące, obok przeróżnych owoców, skór i orzeszków brazylijskich, nie najlichszy przedmiot targów.

Ze statystyk wiadomo, że plantacje na Wschodzie produkują przeszło pięćdziesiąt razy więcej kauczuku niż dorzecze Amazonki. Ale ponoć ta pięćdziesiąta część dzikiego kauczuku jakością przewyższa produkt plantacyjny i lepszą on zyskuje cenę na rynku światowym. Tak więc stary weteran, nie całkiem opadły, również i dziś przysparza coś niecoś pożytku Brazylijczykom.

11. INDIANIN – ZWIERZYNĄ ŁOWNĄ

Na placu przed gmachem manaoskiej opery, w cieniu drzew mangowych, baraszkowało kilkoro dzieci. Widać było po ubrankach, że to dzieci nie najbiedniejszych ludzi. Dwóch chłopców w wieku około dziesięciu lat kłóciło się między sobą. Zaperzone młokosiki wiodły spór, obrzucały się wzajemnie wymyślnymi obelgami, ale pomimo że robiły to z zapalczywością, do czynnej bijatyki nie dochodziło. Przeciwnie, im więcej brzdące się złościły, tym układniej i spokojniej cedziły słowa, mogące zdruzgotać przeciwnika. Nie wiedziałem, co więcej podziwiać u tych urwisów: opanowanie godne dyplomaty czy cięte krasomówstwo – cechy tak charakterystyczne dla większości Brazylijczyków wszystkich warstw, niezależnie od koloru skóry i wykształcenia.

Jeden z przeciwników miał ciemnośniadą cerę, niezawodnie płynęła w nim znaczna domieszka krwi indiańskiej. On to, chcąc wytoczyć najsilniejszy argument na swą korzyść, nagle zawołał z triumfującą wyższością:

– Ja, ja jestem od Manoa, od nich pochodzę! A ty?

Tamten nie mógł pochodzić od Indian Manoa, bo był bardzo biały, więc czuł się pobity, zbity z pantałyku, a inne dzieci, stojące dokoła niby grono sędziów, jak gdyby uznawały przewagę Metysa.

Scena ta, mimowolnie podpatrzona, odsłoniła mi niespodziewany rąbek myślenia tutejszych ludzi. Pomimo iż nad Amazonką, jak i gdzie indziej w Brazylii, oficjalnie nie było uprzedzeń rasowych, to jednak w życiu codziennym odczuwało się wyższość białych ludzi nad innymi współobywatelami pod względem towarzyskim, a przede wszystkim ekonomicznym. Tutejsi zamożni to przeważnie biali. Jeśli więc na przekór tym ustalonym pojęciom i stosunkom przypomnienie szczepu Manoa było tak skutecznym kuksem podczas sprzeczki dwóch malców, to może warto dojść do sedna i wyszperać, dlaczego owi Manoa cieszyli tu się tak wyjątkowym wzięciem?

Indianie ci już dawno nie istnieli, tylko nazwa Manaos, nadana tej miejscowości w połowie XIX wieku, przypominała, że kiedyś tu żyli. Wiadomo, jak ostrą odprawę wojowniczy szczep dał Orellanie i jego Hiszpanom, gdy zamierzali przebić się w górę Rio Negro. Nieposkromieni Manoa byli postrachem nie tylko sąsiednich plemion, lecz także i wszystkich białych przybyszów, daremnie usiłujących ich ujarzmić.

Tak trwało przez długie dziesiątki lat, dopóki Portugalczycy nie zmienili całkowicie swego stosunku do opornego szczepu i zawierając z nim sojusz, nie wykorzystali waleczności jego dla swych niecznych celów.

Jakie to były cele? Po prostu całą ludność tubylczą nad Amazonką i jej dorzeczem – a

liczono tam do czterystu szczepów --Portugalczyki uważali za łowną zwierzynę. Amazonia była dla nich jedynie bogatym rezerwuarem ludzkim, skąd wyłapywać mogli – i wyłapywali – czerwonych niewolników do swych plantacji w Bahia i Rio de Janeiro. Murzyni z Afryki uchodzili za lepszych robotników, ale drogo kosztowali; tymczasem tu, we własnej kolonii, przebywali liczni tubylcy, obfity spichrz ludzkich zasobów, bezpłatnych i prawie niewyczerpalnych.

W pierwszych stuleciach panowania Europejczyków nad Amazonką historia zapisała jedną z najbardziej ponurych kart epoki kolonialnej. Zaczęła się okresem gigantycznych, barbarzyńskich obław na ludzi, okresem szyderstwa z tego, co tak wzniosie nazywano misją cywilizacyjną.

Portugalczyki po dogadaniu się z Indianami Manoa należycie ich uzbrajali i wysyłali na wyprawy przeciw wszystkim sąsiednim szczepom nakazując im, by jak najmniej zabijali wroga, a jak najwięcej przyprowadzali jeńców. Tych nieszczęśników biali handlarze wykupywali za drobną opłatą i odsyłali na łodziach w dół Amazonki, przy czym – wobec panującej wtedy obłudy – tak postępując uchodzili jeszcze za humanitarnych dobroczyńców. Niedaleko ujścia Rio Negro do Amazonki Portugalczyki zbudowali warownię Barra, by ubezpieczała rabunkowe wyprawy i handel niewolnikami. Gdy w roku, 1852 przemianowano miejscowość Barra, w uznaniu zasług szczepu Manoa dla białych kolonizatorów, na Manaos, samego szczepu, wieloletniej zmory sąsiadów, już nie było. Nieliczne szczątki roztopiły się w społeczeństwie Brazylijczyków, ażeby po wielu latach przypomnieć się w cudaczny sposób na placu przed operą Manaos, kiedy rozsierdziło się na siebie dwóch malców.

O dzień drogi przed miasteczkiem Sao Paulo de Olivenca – jeden z licznych przystanków nad brzegiem Amazonki i puszczy. Parowiec nasz ładował sążnie drzewa, przeznaczonego do opalania maszyny. Podczas postoju – sensacja. Wszyscy pobiegli nad burtę od strony rzeki: Brazylijczycy, Peruwianczycy, Metysi, Indianie, Niemcy, Włosi, Żyd węgierski, Polak, nawet niektórzy z załogi statku.

Pojawiło się na rzece kilka śmigłych łódek z Indianami, polującymi na ryby. Na każdej łodzi po dwóch łowców: jeden stojący na dziobie z łukiem lub harpunkiem do rzucania, drugi wiosłujący z tyłu.

Pasażerowie spoglądali na nich z nieukrywanym zaciekawieniem, w którym łączyło się uczucie pobłażliwej wyższości z szacunkiem.

Indianie byli niemal nago. Tylko dokoła szyi mieli naszyjniki z barwnych nasion leśnych, a dokoła bioder przepaski z wiszących luźno włókien. Długie, kruczoczarne włosy spadały im z tyłu na plecy, a z przodu, ucięte w grzywę tuż nad oczami, zakrywały czoła. Ciało było pomalowane czerwoną maścią. Na zamierzchłą pierwotność patrzyliśmy jak urzeczeni. I nie tylko wygląd Indian, lecz także ich zachowanie się było osobliwe: przepływając tuż obok burty parowca, zajęci wyłącznie polowaniem na ryby, ani na chwilę nie odrywali wzroku od powierzchni rzeki. Parowiec jak gdyby dla nich nie istniał. Świat tych gapiących się z góry białych przybłędów był dla nich tak obcy, że nie darzyli go nawet przelotną uwagą.

Pasażerowie gubili się w domysłach, jaki to szczep. Jedni twierdzili, że to Indianie Takuna, drudzy wymieniali inne nazwy. Ale były to uboczne sprawy ich partykularza. Co do mnie, to uderzała mnie inna rzecz, bardziej znamienna. Uderzało to, że do dnia dzisiejszego, pomimo czterystu lat panowania białego człowieka, a po stu latach krążenia

tu parowców – tylko tak nikły pokost cywilizacji snuł się cienką, cieniuchną linią wzdłuż Amazonki. Jakże słabo i chwiejnie wszedł nowoczesny człowiek do puszczy amazońskiej!

Tu nie parowce i nie nędzne miasteczka, przyczepione co kilkadziesiąt kilometrów do wąskich wyrębów na skraju leśnym, były miarodajnym pierwiastkiem krajobrazu, lecz wciąż jeszcze woda nieujarzmiona i kapryśna, moczary niedostępne na setki kilometrów, puszcza wszechobecna i, natarczywa, a obok tych elementów także owe nagie dzikusy, które nie chciały na nas spojrzeć, a należały do epoki kamiennej.

Wyłynęli z ukrytej odnogi amazońskiej, jakich tysiące wrzyna się w puszcę, i żyli widocznie na jednej z oddalonych wysp rzeki, dokąd może nie dotarła jeszcze stopa cywilizowanego człowieka. Brazylijczycy na naszym statku, współziomkowie tych Indian, patrzyli na nich jak na coś nie z tego świata, jak na zbłąkaną egzotykę. Ale zaraz nasuwało się przekorne pytanie, kto w tej dzikiej puszczy był bardziej egzotyczny: owi rdzenni Indianie na kanoach czy światowi Brazylijczycy na pokładzie parowca? Kto tu bardziej był na miejscu, a kto przybłąkany?

CZEŚĆ IV

IQUITOS, ROZWICHRZONE MIASTO

12. PAPUGI, MRÓWKI I TERMITY W IQUITOS

Gdy po blisko miesięcznym pływaniu z Manaos w górę Amazonki wysiadłem w Iquitos, przelatywało właśnie tuż ponad dachami miasta rozwrzeszczane stado papug.

– To pewnie oswojone papugi?! – uradowany tym widokiem, zawołałem do mego tragarza, nawiasem mówiąc, ślicznego brązowego chłopca, Metysa.

Śliczny chłopiec spojrzał na mnie jak na wariata, ale mimo to grzecznie odpowiedział:

- To są dzikie papugi.
- Skąd tak beczelnie lecą tuż nad ulicą?
- Z lasu.
- A dokąd?
- Do lasu.

Z lasu do lasu najkrótszą drogą – przez miasto. Za te naiwne pytania musiałem portadorowi zapłacić później trzy razy więcej, niż mu się należało, natomiast zdobyłem na samym wstępie doświadczenie, że leśne papugi, zazwyczaj tak płocze, nie mają wcale respektu przed Iquitos, stolicą peruwiańskiego departamentu Loreto.

W dalszej drodze do hotelu wypadło zatrzymać się przez chwilę na głównej ulicy. Postawiłem na chodniku moją walizkę, a gdy po minucie ją podniosłem, było na niej kilkadziesiąt ruchliwych mrówek. Same wspaniałe okazy żołnierzy, prawdziwa gwardia, aż serce przyrodnika podskoczyło z radości na widok olbrzymich żuchw budzących szacunek.

– Psiakość! – wyrwało mi się głośno, gdy kilka wślazło mi na ręce i nogi i zaczynało dobierać się nie na żarty do mego ciała.

– To *kuruinchi*! – objaśnił mnie tragarz z największym spokojem i kroczył dalej; rzecz niewarta była zachodu.

Tak w ciągu dziesięciu minut poznałem drugą osobliwość Iquitos: mrówki.

O puszczy południowoamerykańskiej istnieje powiedzonko, że pod każdym kwiatem jest co najmniej jeden owad, a pod każdym liściem jedna mrówka.

W Iquitos przyroda okazała się jeszcze hojniejsza: pod każdym mieszkańcem żyło co najmniej sto tysięcy mrówek. Były dosłownie wszędzie: w śródmieściu i na przedmieściach, w domach z drzewa i w domach murowanych, na stołach i w szafach, w kufrach i łóżkach. Nie miały szacunku dla najwyższych władz ani dla domu dostojnego prefekta departamentu Loreto i wchodziły – bez czoła, zuchwalce! – nawet do samego brytyjskiego konsula jego królewskiej mości.

(Gdy to pisałem, trzy wścibskie mrówki pojawiły się na mej kartce papieru i zaczynały bieg na przełaj. Paznokciem przyduśłem je do papieru i posłałem jako pamiątkę do Polski. W tej chwili inna ich siostra ugryzła mnie boleśnie w łydkę. A bodajże je lichy!)

Mrówki iquitoskie należały do najzuchwalszych złodziei. Wdzierały się wszędzie; spod ręki wykradały chleb, ze spiżarni zapasy. Zdarzyło się przed tygodniem, że przez jedną noc wypróżniły moim znajomym calusieńki worek kukurydzy, ziarenko po ziarenku, i uniosły zdobycz do swych podziemnych mrowisk i katakumb, którymi podminowane było całe miasto.

Iquitos uchodziło za najzdrowszą miejscowość w dorzeczu Amazonki i nie miało żadnych tyfusów, choler i innych dopustów bożych. Kto wie, czy tego nie zawdzięczało właśnie owym milionom mrówek, zjadających wszystkie resztki i oczyszczających miasto na równi z sępami urubu, uznanymi przez władze za policję sanitarną? Mrówki dotychczas tego zaszczytu nie dostały.

Poza bolesnym zapoznaniem się z mrówkami iquitowskimi w dniu przyjazdu, tylko jeden jeszcze raz dokuczyły mi w samym mieście: maleńki, ale wojowniczy gatunek odwiedził mnie któreś nocy w łóżku polowym i zmusił do wyskoczenia zeń chyżo jak sarna, jak baletnica. Były to, jakieś nowe, nieznane złośnie nie z tych sauba, które wyżerają ludziom kukurydzę i inny pokarm. Po kwadransie podnieconego krążenia po ścianach i podłodze mego pokoju zniknęły w dziurach, i to na szczęście raz na zawsze.

Tak było w samym mieście, natomiast na przedmieściach i na przerzedzonym skraju puszczy – jakaż orgia mrówek, jakież piekło! Polując tam na ptaki czy na motyle wystrzegać się musiałem jak ognia jednej rzeczy, mianowicie wstrząsania gałęzi nad sobą. Prawdziwie jak ognia, krzewy bowiem roiły się tysiącami czerwonych mrówek, zwanych *hormiga de fuego*, mrówkami ognistymi. Spadały na człowieka i gryzły wściekle, aż z bólu można było krzyczeć.

Nad niektórymi dopływami Amazonki właśnie owe szelmy ogniste stanowiły plagę, zmuszającą nieraz mieszkańców całej okolicy do ucieczki. Kwitnące ongiś miasteczko Aveyros nad rzeką Tapajoz przestało istnieć na skutek ich najścia w połowie XIX wieku. Gdy mieszkańcy później próbowali kilkakrotnie wracać, mrówki wciąż obsadzały miejscowość i gospodarowały w chatach. Miasto, opuszczone przez ludzi, rozpadło się w gruzy i zarosło lasem.

Jak wszystkie miasta peruwiańskie, Iquitos posiadało swoją Plaza de Armas. (Ludzie nieraz zadawali sobie pytanie, czemu zwie się to dziś jeszcze placem broni; czyżby dlatego, że młodzi donżuani zbroją się tu wieczorami do miłosnych zapasów?) Na iquitoskiej Plaza de Armas rosły cudne palmy i olbrzymie ananasowce, a wokoło biegła jezdnia wykładana cegłą, jedyny nienaganny bruk w Iquitos.

Po tym bruku snuło się dokoła placu dwadzieścia kilka samochodów, wszystkie jakie miasto posiadało podczas mej bytności. Podrażnione tym kolibry, podobniejsze do błyszczących w słońcu klejnotów niż do ptaszków, urządziły z autami wyścigi i oczywiście wygrywały, po czym z charakterystycznym piskiem zadowolenia wracały do niedalekiej puszczy.

Wieczorami płonęły na narożnikach placu lampy łukowe (gdyż Iquitos miało elektryczność) i przy ich świetle harcowały w parnym powietrzu wśród aut i przechodniów nietoperze, ciche jak duchy, a wielkie jak jastrzębie. W Iquitos packardy, wampiry, kolibry i elektryczność istniały w świetnej ze sobą zgodzie.

Mieszkalem w domu murowanym (taką osobliwość tu się zawsze podkreśla), u sympatycznych rodaków, Tadeuszostwa Wiktorów. Pewnego dnia odkryłem w narożniku mego pokoju wał, wiodący od podłogi do sufitu, ulepiony z trocin, o średnicy dwóch palców. Z wnętrza tego wału dochodziły tajemnicze chroboty i stłumione trzaski. Po przebicciu powłoki stwierdziłem, że był to kanał niezliczonych termitów. Włosy z lekka stanęły mi dęba: w pokoju miałem cały mój bagaż idealny żer dla tych owadów. Wszcząłem alarm, lecz Wiktorowie uspokoili mnie twierdząc, że od roku termity przebywają w domu i nic złego jeszcze nie wyrządziły. Na poddaszu miały wielkie gniazdo, skąd kanałem podejmowały dalekie wyprawy rabunkowe na miasto szanując jednakże mienie najbliższego otoczenia.

Tak więc żyłem tu w sąsiedztwie niebezpiecznych owadów. Przez całą noc słyszałem ich niepokojące szelesty, a rano spoglądałem na bagaż, czy jeszcze był. Był! Pomimo sielankowego nastroju odnosiłem czasem wrażenie, że śpiam obok beczki dynamitu, i zdawało mi się, że lada figlarny kaprys, a sto tysięcy termitów wypadnie pewnej nocy na pożarcie mego dobytku. Toteż kładąc się na spoczynek, mimo woli wzdychałem ukradkiem o łaskę do bożka termitów, siedzącego podobno w gnieździe nade mną i kierującego drogami małych rozbójników. Prosiłem go, by mi nie spletał głupiego figla.

Mój dobry znajomy w Iquitos, don Miguel Pereira, był typowym Peruwianczykiem z Montanii. Cztery piąte swego życia zużywał na sprawy miłosne i ciemne interesy, resztę na politykę, przy czym lubował się w patetycznych metaforach.

Gdy pewnego razu staliśmy na Plaza de Armas (bo gdzieżby indziej?), znów przelatywało, jak zwykle, hałaśliwe stado papug. Don Miguel, który był równie wielkim patriotą jak politykiem, wskazał na nie i oświadczył:

– Patrz pan! To są peruwiańskie papugi i nawet one wyraźnie wołają: „Leticia!”... Leticia musi być nasza! – kończył uroczystym okrzykiem. . Toczyła się właśnie między Peru a Kolumbią wojna o Leticję.

Gdy mu żartem odpowiedziałem, że równie dobrze mogły to być kolumbijskie papugi, bo w ich krzyku dosłyszeć się można raczej żądania: „Loreto!” (prowincji peruwiańskiej, na którą Kolumbia ostrzyła sobie apetyt) – Don Miguel nic na to nie odparł: przechodziły właśnie obok nas dwie czarnookie piękności i nagle tak pochłonęły jego uwagę, że puścił zupełnie w trąbę papugi, politykę i wojnę.

13. ŚWIEŻY ZAPAS LUDZKICH GŁÓWEK

Śniadania jadłem w Iquitos w restauracyjce przy jednej z Ulic wiodących do portu.

Przez otwarte na oścież drzwi widać było przechodniów. Lubilem na nich patrzeć. Śniade, o różnych odcieniach brązu, przeważnie ładne twarze iquitoczan, mężczyzn i kobiet, sprawiały mi przyjemność. Za to mniej przyjemna była kawa, jaką tu pili. Peru nie miało własnej kawy, więc pili się podłą, kwaskową lurę. Miłe kawiarenki brazylijskie, zalegające wszystkie narożniki ulic w Belem i Manaos, skończyły się na granicy w Tabatinga wraz z rozkoszą ich boskiego nektaru.

– *Buenas dias, amigo!* – wyrwał mnie z zadumy ochoczy, głęboki głos.

Był to don Miguel Pereira, mój dziarski *amigo*-przyjaciel, pierwszy w Iquitos elegant, uwodziciel, *caballero* wesoły jak ptaszek i jak ptaszek nic nie robiący. Lecz chociaż nie pracował, nieźle zarabiał.

– Czaimy się w zasadzce, na stanowisku? – rzucił ku mnie żartobliwe pytanie spoglądając łakomie na przechodzące kobiety. – Polujemy na łanie?

Zaprosiłem go do stolika i poczęstowałem piwem. Piwo, jak wiadomo, uchodzi w tych okolicach Ameryki Południowej za najszlachetniejszy trunek, cenniejszy niż wino.

W Iquitos działo się moc ciekawych rzeczy, a Pereira znał wszystkich ludzi i wszystkie nowiny. Wziąłem go na spytki.

– Ach, *senior!* – żywo wymachiwał ręką i robił srogą minę. – Niech *usted* nie psuje mi pięknego poranku! Proszę nie pytać!

– Don Miguel! – nalegałem zaciekawiony. – Więc co się stało, proszę wyjawić! Wojna wybuchła?

– Gorzej! Hibarowie strajkują!

– Kto? Hibarowie?

– Tak, Hibarowie! Podobno zabrakło im nieboszczyków, a psiedusze nie chcą już polować na ludzi! Takie gałgany pogańskie!

Hibarowie (pisze się po hiszpańsku: *Jibaros*) to jeden z najdzikszych szczepów indiańskich, jakie do dnia dzisiejszego oparły się cywilizacji. W mało dostępnej puszczy nad trzema północnymi dopływami górnej Amazonki – rzekami Santiago, Rastaza i Morona – żyli oni wciąż jeszcze w pierwotnym stanie jak przed czterystu laty, kiedy odkryli ich pierwsi Hiszpanie. Wyraz „strajkują”, zastosowany do nich, i w ogóle cudaczne, półżartobliwe oburzenie mego „amigo” na dzikusów rozśmieszyło mnie.

– Czymże oni tak zgrzeszyli? – spytałem.

Ale Pereira nie odpowiadał, gdyż strzeliła mu do głowy inna myśl.

– *Usted* przyrodnikiem, prawda?

– Owszem.

– Czy interesuje się wyrobami Indian?

– Bardzo.

– To proszę zaczekać!

Odszedł i po kwadransie przyniósł z tajemniczym uśmieszkiem zawiniątko w płótnie. Ostrożnie odwinął je bacząc, by nikt z sąsiadów nie dostrzegł, i pokazał mi mumię głowy ludzkiej. Pomimo że była to głowa dorosłego Indianina, co widziało się po bujnych puklach czarnych długich włosów, była nie większa niż dwie pięści razem złożone.

– Co? Czy nie mistrze z tych Hibarów? – szepnął Pereira zadowolonym głosem.

Od pierwszego dnia pobytu w Iquitos słyszałem niejedno o tych osobliwych główkach, ale nie miałem jeszcze sposobności widzieć którejś z nich, więc teraz przyglądałem jej się ze zrozumiałym zaciekawieniem.

Powieki tudzież usta miała zaszyte cienkim włóknem palmowym – podobno dlatego,

żeby duch zabitego nie mścił się na zwycięzcy – poza tym oblicze nie wykazywało żadnych zniekształceń, rysy były regularne jak u żywego człowieka, tylko że wszystko trzykrotnie zmniejszone. Odbicie smętku na twarzy mumii jeszcze potęgowało pozory czegoś żywego. Kim był ów Indianin? Jak zginął?

– Należał do szczepu sąsiadującego z Hibarami – wyjaśniał Pereira. – Jedni i drudzy dawno już chcieli uspokoić się i żyć zgodnie, ale my im nie dajemy... Nikt tak pięknie nie wyprawia główek jak Hibarowie, więc muszą mieć świeży surowiec...

Pereira zarechotał figlarnie:

– Zapotrzebowanie jest wielkie na świecie. Nie możemy nadążyć z produkcją... Hibarom nie wolno się wałkonić!

O tych Hibarach nasłuchałem się wiele rzeczy, i to nie tylko z ostatnich czasów. Hiszpańskim konkwistadorom, którzy próbowali ich pokonać i wziąć do niewoli już w XVI wieku, dzielnie się odgryzali utaczając najeźdźcom sporo krwi.

Dawniej u wielu plemion w dorzeczu Amazonki panował zwyczaj noszenia jako trofeum sztucznie zmniejszonych głów zabitych wrogów. Przetrzebieenie tych plemion, a w wielu wypadkach wymarcie ich pociągnęło za sobą zanik umiejętności preparowania głów. Hibarowie, żyjący z dala od szlaków cywilizacji, zachowali dawny tryb życia.

Preparowania dokonywali podobno natychmiast po śmierci ofiary. Odcinali głowę i po wyłupaniu i usunięciu z niej kości macerowali skórę w silnym wywarze trujących roślin, mających uodpornić ją przed pasożytami. Następnie wewnątrz głowy wypełniali gorącym piaskiem i trocinami równocześnie urabiając rysy twarzy w ten sposób, ażeby były podobne do ofiary za życia. Po wielokrotnej zmianie piasku i trocin skóra kurczyła się na skutek ciepła, a głowa przybierała rozmiary dwóch pięści. Wtedy zwycięzca zaszywał wszelkie otwory swego trofeum i przywieszał za włosy do pasa.

– Mówmy dokładniej: dawniej przywieszał! – poprawił się Pereira. – Dziś już tego nie robi, albowiem główka inne ma przeznaczenie: wędruje w świat.

– Ile za nią bierze *usted*? – spytałem.

– Ile się da. Czasem dwieście dolarów, nawet trzysta.

– Czemu są takie drogie? – zdziwiłem się. – Czy Hibarom tak wiele płaciecie?

– Hibarowie dostają za nie grosze, i to towarem, ale agenci, którzy muszą do nich jechać, narażają się na niebezpieczeństwo. Niejeden z naszych poniósł śmierć z rąk dzikich.

– Czy Hibarom opłaca się taka praca? Przecież za grosze, jak powiadacie, muszą wpierw wojny staczać, zanim zdobędą głowy!

– Ha, w tym nasz rozum, że im naganiamy te głowy. Od czasu do czasu podburzamy sąsiadów, żeby się mścili za krzywdy doznane od Hibarów, więc Hibarowie, czy chcą, czy nie chcą, muszą się bić i zdobywać dla nas głowy. A zdobywają, bo dajemy im trochę więcej. broni, niż dostają ich sąsiedzi...

Odślaniało się przede mną widmo koszarnej hecy. Owe spreparowane główki ludzkie stanowiły dla „świata” ponętne kuriozum, niecodzienną ciekawostkę – przejmującą dreszczykiem sensacji znudzonych mieszczuchów gdzieś w dalekich miastach – i dlatego ów wielki na nie popyt. I dlatego, żeby dogodzić czymś zboczonym kaprysom, tu, nad dopływami Amazonki, leśne dzikusy, podjudzane przeciw sobie, musiały zarzynać się wzajemnie. Osobliwa forma misji cywilizacyjnej!

– Kto kupuje te główki? – spytałem.

– Wszystkie cywilizowane narody! – odparł Pereira chępliwie. – Amerykanie,

Anglicy, Francuzi, Niemcy... Ale Amerykanie najlepiej płacą, zwłaszcza muzeum w Chicago. Ma tu nawet swego przedstawiciela, doktora Basslera...

– Czy klienci pańscy wiedzą, jakim sposobem zdobywacie te preparaty?

– Co za pytanie!

– No co, wiedzą, czy nie wiedzą?

– Przecież to nie żadna tajemnica... Zresztą niech uste*d* zapyta się doktora Basslera.

Iquitos to niewielka dziura; wszyscy się znali. Idąc następnego dnia ulicą w towarzystwie Pereiry, poznałem doktora Basslera. Amerykanin niemłody, nadzwyczajny dżentelmen o skorym uśmiechu i przyjemnym obejściu, był z don Miguelem w zażyłych stosunkach.

– Mam świeżą partię! – witał go Pereira.

Bassler domyślił się, o czym mowa, ale widocznie wolał o tym nie rozmawiać w mej obecności.

– Nie, nic z tego! – opędział się rozbawiony. – Już mi nie potrzeba, nie wezmę.

Któregoś poranku Pereira zaprowadził mnie do siebie, by mi pokazać swój towar, „świeżą partię”, jak powiedział. W ukrytym kącie mieszkania stał pojemny kufer, a gdy go otworzył spostrzegłem na dnie dwadzieścia kilka główek ludzkich, ustawionych w szeregach. Olbrzymie kędrzory czarnych włosów wypełniały prawie całą skrzynię.

Na widok makabrycznego zbioru ogarnął mnie lekki zawrót głowy.

Niewiele potrzeba było wyobraźni, by uprzytomnić sobie, ile zebrało się ludzkiej niedoli, ażeby stworzyć niesamowitą kolekcję. Don Miguel spozierał na to wszystko wniebowziętym okiem, niemal pieścił każdą główkę.

Jedną główkę miała krótsze włosy, a gdy jej dokładnie się przyjrzałem, stwierdziłem po jaśniejszej cerze, że to nie był Indianin.

– Uste*d* dziwi się, co? – spytał rozbawiony gospodarz.

– Kto to?

– To Martinez, jeden z moich agentów – odrzekł Miguel. – Musiał się czymś narazić Hibarom, bo gdy od nich wracał rzeką Pastaza, zabiegli mu drogę na skrócie i zakatrupili. Potem jego główkę sprzedali razem z innymi...

– I tego też kupią pańscy odbiorcy?

– A jakże, kupią, czemu nie? Główka główką. Przecież to sensacja nie byle jaka! Może nawet zapłacą... Tylko od kilku tygodni coś tam w Stanach nie gra. Ani doktor Bassler, ani my nie mamy wiadomości...

– Podobno główki trudno wywieźć z Peru? Handel nimi surowo tu zakazany?

– Eh, tam. Zakazany, owszem, ale to głupstwo! Dolar, wszechwładny magik, drwi sobie ze wszystkich zakazów i granic.

Drwił czy nie drwił, Pereira z każdym dniem coraz bardziej tracił na humorze. Gryzł się, często popadał w melancholię lub – przeciwnie – ponosiło go rozdrażnienie. Nie ukrywał swego niepokoju. Wszystko, co posiadał, cały płynny majątek wsadził w główki, w ową „świeżą partię”, sądząc, że natychmiast się ich pozbędzie, jak to bywało do tej pory. Tymczasem zamówienia nagle urwały się, jakby ręką odciął, odbiorcy nabrali wody do ust, nie wywiązywali się z obietnic.

– Można szalu dostać! – zgrzytał Pereira.

– A może... – poddałem nieśmiało – może tam gdzieś doszli do istoty rzeczy, pojęli niemoralność tej imprezy?...

– Nie rozumiem, co *usted* ma na myśli?

– Przecież, don Miguel, zastanówcie się! W połowie XX wieku z zimną krwią kazać dzikusom zarzynać się wzajemnie, ażeby mieć z tego dolary i dogodzić czyimś idiotycznym fantazjom – czy to nie najwyższy cynizm? Widocznie tam, na świecie, przejrżeli brudną sprawę, poruszyło się sumienie waszych odbiorców, umywają ręce...

Pereira miał o swych odbiorcach wyrobione zdanie.

– Poruszyło się ich sumienie? – fuknął z ironią. – Głupstwo!

Był w złym sosie. Siedzieliśmy przy śniadaniu w tej samej restauracji jak ongiś. Ani pogodne niebo, o tej wczesnej porze dnia wspaniałe błękitne, ani chłód mile wiejący od rzeki, ani soczysta zieleń drzew z różowymi kwiatami po drugiej stronie ulicy, ani mijające seniority – nic w tej chwili don Miguela nie obchodziło. Nawet nie obchodziło go, z jakich tam głupkowatych przyczyn urwał się handel główkami. Dość, że się urwał. Pereira odczuwał cały ciężar tej klęski. Był złamany. Od dwóch dni on, pierwszy dandys w Iquitos, zaniedbał nawet golenia się.

W trzy czy cztery dni później spotkałem go na ulicy rażno wchodzącego do sklepu z żelazem. Oczy na nowo tryskały mu radością, uśmiech od ucha do ucha rozaniał odświeżoną twarz.

– Co się stało? – zawołałem zdumiony.

– Victoria! – huknął. – Wszystkie poszły, cały zapas!

– Główek? – spytałem z cicha.

– Główek.

Chwycił mnie za ramię i wskazał na odległy punkt na Amazonce. Stał tam na kotwicy wielki parowiec w pobliżu tartaku w Nanay.

– Przyszedł nareszcie! – rzekł Pereira z ulgą.

– Kto, do licha, przyszedł? Statek?

– No właśnie, statek amerykański! Po drzewo z tartaku. Marynarze wykupili wszystkie główki!...

Ale radosnych nowin było więcej. Don Miguel wyjął z kieszeni zwitek papieru.

– Wali się jak z rogu obfitości! – stwierdzał. – Nadeszło i to. Czytaj pan!

Telegram brzmiał:

„Zamawiam trzydzieści storczyków stop pieniądze przekażę jak zwykle Smith”.

– Storczyki, rozumie się – mruknął Pereira – to te z długimi, czarnymi włosami...

– Aż trzydzieści zamawia?

– Si, senhor, trzydzieści – odrzekł z dumą. – Będzie robota.

Don Miguel wyprzedał marynarzom wszystkie posiadane główki, więc rozpromieniony wchodził do sklepu z żelazem i zakupywał dziesięć kapiszonówek. Były to strzelbiska nabijane staroświeckim zwyczajem od przodu, fabrykowane w Europie specjalnie dla leśnych Indian.

– Nad rzeką Pastaza – zapowiedział Pereira radośnie – będzie wnet czarująca wojna! Czarująca, krwawa wojna!...

Po załatwieniu kupna *caballero* popędził, by zwołać swych agentów na wojenną naradę.

14. GORĄCE MIASTO

Jakie sto lat temu, w miejscu gdzie do Amazonki wpada rzeka Itaya, wznosiły się wśród głuchej puszczy szałas obozu Indian Iquitów. Około roku 1860 przybyli tu misjonarze, zaczęli nawracać pogan i krzewić cywilizację. Równocześnie pojawiło się kilkunastu awanturników białych i zaczęło wybijać pogan i gwałcić poganki. Z tych praktyk powstała osada, którą nazwano, ku uczczeniu wybitych – Iquitos.

Dzięki znakomitemu położeniu nad Amazonką, o dzień drogi poniżej ujścia wielkiej rzeki Ukajali, Iquitos rozrastało się szybko. Lata od 1904 do 1914, kiedy to kauczuk osiągnął najwyższe ceny, były okresem rozkwitu i bogactwa. Potem miasto zaczęło podupadać, tak samo jak Manaos, jego brazylijski towarzysz doli i niedoli.

Chociaż dzikie papugi beczelnie przelatywały ponad Iquitos, tak samo dziś, jak za czasów obozu nieszczęsnych Indian, to jednak nie należało lekceważyć jego obecnego znaczenia. Pod względem gospodarczym miasto to stanowiło jedyne ujście dla produktów całego wschodniego Peru, tak zwanej Montanii i jej bogatych lasów o obszarze większym niż Polska, pod względem politycznym zaś było ważnym bastionem peruwiańskim przeciw trzem zachłannym sąsiadom: Kolumbii, Brazylii i Ekwadorowi.

Rzecz dla pojęć europejskich zgoła niezrozumiała: Iquitos, ruchliwe miasto o dwudziestu tysiącach mieszkańców, stolica rozległego departamentu, nie posiadało ani jednej drogi lądowej, która by je łączyła z wnętrzem kraju. Kto chciałby iść w las, przylegający ściśle do miasta, niebawem musiałby się zatrzymać; podmiejska droga czy ścieżka urywała się i ani kroku dalej. W kniei czyhała śmierć z głodu lub w bagnie, a podczas deszczów – w leśnej topieli.

Iquitos było wyłącznie portem, niczym innym, za to portem pierwszorzędnym, nawet morskim, pomimo oddalenia od Atlantyku o przeszło cztery i pół tysiąca kilometrów. Przed światowym kryzysem w 1930 roku dochodziły dotąd Amazonką regularnie wielkie statki transatlantyckie.

Gdy policja poszukiwała przestępcy w Iquitos (rzadko zresztą to bywało), obstawiała jeno wyjścia wodne, wiedząc, że tędy tylko mógł zbiec złoczyńca. Ucieczka w stronę lasu byłaby w większości wypadków samobójstwem.

Wszystko było tu nastawione na rzekę. Człowiek bezustannie patrzył na Amazonkę, od niej oczekiwał wieści ze świata, ona mu przynosiła żywność, ona zapewniała mu byt. Jeżeli przedtem mówiłem, że Iquitos miało zaplecze w obszarze większym niż Polska, to należało pojęcie to odnieść tylko do rozpiętej sieci dróg wodnych. Jedynie rzeki, większe czy mniejsze, stanowiły żywotne arterie Montanii i wyłącznie nad ich brzegami żyli ludzie. Pomiedzy rzekami, pomiędzy tymi arteriami, była tylko puszcza, bezładnie i rabunkowo eksploatowana.

Z wysokiego nadbrzeża iquitoskiego, zwanego Malekonem, panowały nad Amazonką, wpatrzone w jej wody, wielkie domy handlowe. Co prawda nie sięgały ponad pierwsze piętro i było ich tylko kilkanaście, lecz panowały dosłownie nad Montanią. Brytania, Francja, Belgia, Hiszpania, Stany Zjednoczone, Niemcy¹. Handlowały wszystkim. Przywoziły na ogół tandetę i swoją politykę, wywoziły złoto, bawełnę, kauczuk, drogocenne drzewa i kokainę. Malekon to kapitał międzynarodowy, to konsulowie zagraniczni, to tak zwana śmietanka towarzyska, to twarde warunki, doniosłe decyzje, groźby.

Do Malekonu przylegało śródmieście, a tam na wszystkich prawie narożnikach ulic rozsiadły się sklepy Chińczyków i Japończyków. Dziwnie ich wiele. To jak gdyby przednie straże Azji przekroczyły już Kordyliery i azjatyccy wywiadowcy zajęli

stanowiska. Przyszli jako kupcy. Ceny ich były najniższe, kredyt najdłuższy. Uśmiechnięci, zapracowani, zagadkowi, zdobyli już ulice śródmieścia, skąd dzielił ich tylko krok do Malekonu i Amazonki.

Ktokolwiek dokładnie wniknął w tutejsze stosunki, odkrywał znamieny fakt: Peruwianczycy właściwie nie byli całkowicie panami w swym kraju, lecz jak gdyby tylko jego odzwierciedleniami. Wpuszczali do kraju obce koncerny i za to dostawali napiwki. Obcy przedstawiciele obcych przedsiębiorstw wywozili z kraju peruwiańskie bogactwa i za to znowu rzucali tutejszym ludziom ochłapy.

Nikła warstwa białej ludności w Iquitos, z dumą nazywająca siebie prawdziwymi Peruwianczycami, składała się z nielicznej inteligencji zawodowej, nieco liczniejszych niebieskich ptaków – w rodzaju mego Miguela Pereiry – i z dość licznych urzędników państwowych wszelkich możliwych i niemożliwych urzędów. Byli to ludzie nadzwyczaj uprzejmi, ujmujący wielką ogładą towarzyską i przeważnie urodziwi. Gdy w niedzielę przed południem wychodzili z katedry, ileż tam było pięknych kobiet i ilu przystojnych mężczyzn!

Więcej niż dziewięć dziesiątych ludności Iquitos to mieszańcy, potomkowie białych i Indian, tak zwani czole, z przewagą krwi indiańskiej. Fizycznie nieźle rozwinięci, o skórze ślicznego koloru kasztanów, o szerokich ramionach i wyrobionych mięśniach, natomiast umysłowo niezwykle zacofani. Gnuśni, bierni, o słabej woli i nikłej energii. Nie znali – i nie uznawali – troski o jutro. Całe ich życie zamykało się właściwie w płytkim kręgu dwóch najprostszych instynktów: jak posiąść banana na dzisiejszy obiad, a kobietę na dzisiejszą noc. Oczywiście nie ciemni, zaniedbani czole byli winni swej nędzy moralnej. Byli oni po prostu ofiarą panujących tu, istic kolonialnych stosunków: dla mieszkańców stolicy, Limy, Iquitos było osławionym miastem w nieznośnej puszczy na dalekich kresach, dokąd szło się jak na wygnanie – natomiast dla obcych było żerowiskiem nieczystych machinacji.

W białym domu prefektury, na Malakonie, siedział w swej sali starszy, przystojny pan o męskiej, energicznej twarzy i myślących oczach: don Oscar Mavila, prefekt nad całym obszarem a zarazem dowódca peruwiańskich sił zbrojnych w tej części kraju. Kulturalny Limeńczyk, wykształcony na zagranicznych uniwersytetach, kochał swą ojczyznę z całej duszy i pragnął ją widzieć szczęśliwą i bogatą. Łagodził konflikty, uśmierzał fermenty, a po odbyciu konferencji z nienasyconym Malekonem snuł ciche marzenia: oby tak dzieje sprzed osiemdziesięciu laty się powtórzyły; oby przywędrowały tu z innych stron świata, obojętne skąd, nie kilkunastu, lecz tysiąc zawadiackich junaków i użyźniło tę bogatą, zaspaną krainę ożywczym nurtem nowego życia!

Don Oscar Mavila pochodził z dostojnej rodziny ziemiańskiej, więc ani mu przez myśl nie przeszło, że mogło istnieć dla Montanii prostsze, godniejsze a skuteczniejsze rozwiązanie: zbudować szkoły i dać czołom oświatę.

Iquitos leży niedaleko równika i jest miastem bardzo gorącym. Wieczorem powietrze ochładzało się. Wtedy wychodziłem nad brzeg Amazonki. Odwracałem się plecami do Pereirów, konsulów i czołów i przyglądałem się igrającym w nurtach delfinom. Piękne to stworzenia i coraz bardziej byłem pod urokiem rzeki, od której przepływał świeży powiew z zapachem dalekich orchidei.

15. ODWIEDZAŁY MNIE CZOLE

W Iquitos mieszkalem przez pewien czas w hotelu Cosmopolita. Wewnetrzne podwórce hotelu pelnil ogród, na który wychodzil wszystkie pokoje. Bylo to niewielkie patio, lecz rosly w nim niskie palmy, cytryny, drzewa mangowe i palmeiry. Palmeiry nalezaly do czcigodnego rodu palm i mialy dlugie listy koloru tak intensywnie czerwonego, ze patrzac na nie pod slonce odnosilo sie wrazenie, jak gdyby w listach pulsowala prawdziwa, goraca krew. Nawet wieczorem, gdy slonce juz zachodzilo, palmeiry plonely dalej niesamowitym ogniem i podniecaly caly ogród. W tym ogrodzie bujaly za dnia pomaranczowe motyle terias, wieczorem wychodzil na lowy wielkie, kosmate pajaki, a w nocy kryly sie dziewczyny.

Ktos po poludniu zapukal do mych drzwi.

– *Adelante!* – zaprosilem.

Łobuzerska glówka dziewczęca zajrzala do środka.

– Czy ma pan bieliznę do prania? – spytala łamaną hiszpańszczyzną.

– Nie, nie mam.

Dziewczyna przez chwile ogladala mnie i pokój, potem rezolutnie weszla.

– Nie mam bielizny i nie mam czasu! – rzeklem do intruza. Ale poniewaz intruz byl nieszpetyny, powiedzialem to miękim głosem, co widocznie zachęcilo dziewczynę.

– Nic nie szkodzi! – odpowiedziala. – Zaczekam. Niby na co zaczeka?

– Ile masz lat? – spytalem surowo. Speszona pytaniem, spojrzala na mnie zdziwiona.

– Piętnaście.

– Jesteś za mloda i wynos sie! – rzeklem, zeby w ogole cos powiedziec, i wskazalem na drzwi.

W czarnych jak noc oczach zbudzil sie upór.

– Nie jestem za mloda! – bronila łagodnie swych praw i na znak protestu siadla pod ścianą na podłodze. Udawala zadąsaną i milczala, z czego rad bylem, bo pozwalalo mi to dalej pisac rozpoczete listy.

Lecz myśli jakoś sie nie kleily. Dziewczyna, chociaz milczala, nie spuszczala ze mnie oczu i to zaczelo mnie denerwowac. Namyslam sie, czy nie chwycic jej za kark i po prostu nie wyrzucic. Byla to Indianka, prawdopodobnie ze szczepu Uitota znad Amazonki, ponizej Iquitos. Z lekka skośne, świecące sie, czarne oczy, pelne usta i ciemnobrązowa skóra zdradzaly jej pochodzenie. Byla mloda, dlatego wzglednie wysmukla i zgrabna, i posiadala wiele powabu. Mogla uchodzic ze ładną w najogólniejszym pojęciu.

Wtem uslyszalem nowe pukanie i w uchylonych drzwiach ukazala sie druga dziewczyna.

– Czy ma *usted* bieliznę do prania?

Uslyszawszy odmowną odpowiedź zabierala sie do odejścia, lecz spostrzegla Indiankę, zmierzyla ja wojowniczym wzrokiem i weszla do pokoju.

Nowo przybyla przedstawiala typ prawdziwej czoli, to znaczy, ze krwi bialej i czerwonej miala pol na pol, cerę nieco jaśniejszą i usta węższe. Czego sobie zyczyla? Nic, odpocznie tu chwile i potem sobie pójdzie. Siadla na krzesle zyskujac tym wyraźną przewagę nad Indianką, siedzącą na podłodze.

Po dluzszej chwili milczenia dziewoje wszczęły między sobą niezbyt wersalską rozmowę, zrazu cichą i dyskretną. Chodzilo o kwestie rodowodowe. Twój ojciec, warczala czoła do Indianki, był dziki z lasu i kradł kury. A twój ojciec był trędowny i

kradł świnie, odcięła się Indianka nie najgorzej. Za to mój ojciec był biały, a twój czarny, stwierdziła czoła, lecz Indianka temu z oburzeniem zaprzeczyła i zapewniała, że ojciec jej był także biały.

Dziwny kraj! Owych stu osiemdziesięciu pięciu białych konkwistadorów, przybyłych razem z Pizarrem, nie tylko podbiło liczną i bogatą ludność, lecz równocześnie narzuciło jej pogardę dla własnej czerwonej rasy. I oto nie tylko czoła, ale wielu innych w Peru zadręczało się maniackim marzeniem, jak wybielić rasę swej krwi i jak wyjaśnić skórę.

Sprzeczkę o antenatów przerwałem propozycją, by dziewczyny dla rozstrzygnięcia sporu porównały swe nogi. Obydwie były bose. Lecz okazało się, że nie mogły sobie wzajemnie nic wyrzucić: obydwie miały wielki palec u nóg odstający i ruchomy, nieomylny znak indiańskiego pochodzenia, powstały od długowiecznego chodzenia boso po pniach i różnych kładkach...

– *Gringo!* – odezwała się do mnie pieszczotliwie półbiała czoła i ogarnęła powłóczytym spojrzeniem. – Czy nie potrzebuje *usted* kompaniery? Umieć szyć, prac i gotować i nic nie żądam.

Kompaniera to żona z lewej ręki. Obyczaj Montanii pozwala mieć taką towarzyszkę nie odsądzając jej od czci i wiary, uznając jej dzieci na równi z innymi.

– Ja też mogę być kompaniera! – zawołała Indianka z kąta. Wybuchłem wesołym śmiechem. Czułe wejrzenia, wzniesione błagalnie ku mnie, przywiodły mi na pamięć piosenkę, gdzieś kiedyś usłyszaną:

*...Jam Peruwianką jest,
posiadam swój królewski,
pełen wzgardy, dumny gest...*

A niech dziewczyny gęś kopnie! Nie chciałem kompanier, chciałem dokończyć listy. Obdarzyłem każdą z nich małą buteleczką perfum i wyprosiłem je za drzwi. Z pomocą przyszła mi moja stara praczka, pojawiająca się właśnie jak na zawołanie. Starsza, poważna niewiasta, oczywiście także czoła, wywołała popłoch i ostatecznie przepędziła kandydatki na kompaniery.

– Nie mam dziś brudnej bielizny! – oznajmiłem jej, gdy pozostaliśmy sami, i zabrałem się nareszcie do listów.

Kobiecina siadła na krześle. Po kilku minutach milczenia przybliżyła się, ujęła łagodnym, matczynym ruchem moją rękę i spytała drżącym głosem:

– To rzeczywiście *usted* nie potrzebuje dobrej kompaniery?

– Nie! – odpowiedziałem rozbawiony, w przekonaniu, że dobra niewiasta chciała polecić mi usługi swej córki.

Jej starcze oczy iskrzyły się nerwowym blaskiem. Ze zwiędłej twarzy przebijało rozczarowanie.

– Szkoda, wielka szkoda! To naprawdę pan mnie nie chce?

Zdrętwiałem.

Od godziny byłem sam i mogłem pisać. Na dworze ciemniało. Z ogrodu, od strony czerwonych palmeir, rozlegał się coraz namiętniejszy odgłos świerszczy, a dziwaczne żaby, również mieszkanki ogrodu, zaczynały szczebrać jak psy obwieszczając nadejście tropikalnej nocy. Było duszno i gorąco.

Ktoś zapukał. Otworzyłem. Młoda Indianka. Uśmiechała się filuternie i wesoło jak dziecko, które wyprowadziło rywalkę w pole. Szczęrzyła białe, zdrowe zęby.

– Przyszłam odwzajemnić się! – rzekła ściszone głosem.

– Za co?

– Dałeś mi przecież buteleczkę pachnidła...

Trudno opisać jej zdumienie, gdy podziękowałem. Nie chciała wierzyć.

(Ja później także nie).

Chwasty, jakże je lubię! Bławatki czy maki, obojętne, ich czupurność i chęć życia są wzruszające. Są to dzieci liryki i pieśni miłosnej, lecz również i elegii. Rozważni ogrodnicy ich nie cierpią i tępią je. One, deptane, wyrwane, wykorzeniane, jednak żyją, by wciąż walczyć przeciw prześladowaniu. Ich wytrwałość budzi uznanie i życzliwość.

Czy nie dałoby się przelać tych samych uczuć na inne chwasty, ludzkie? Czasem wydaje się, że tak, że dałoby się.

16. TRZECH

BRYTYJCZYKÓW W IQUITOS

Nazywali się Massey, Sharp i O'Connor.

Mr. J. W. Massey był brytyjskim konsulem w Iquitos – His British Majesty's Consul. Poza tym był niekoronowanym królem wschodniego Peru, pierwszą figurą nad Maranionem, czyli górną Amazonką.

Krajem rządził właściwie peruwiański prefekt Montanii, ale Mr. Massey, gdyby uznał za wskazane, mógłby ten kraj wprowadzić w wielkie kłopoty i odciąć od świata. Brytyjczycy umieli stworzyć nad Amazonką taki układ sił i stosunków, że byli tu od wielu lat panami sytuacji. Na przykład potężny „Norddeutsche Lloyd” nie wytrzymał swego czasu rywalizacji i musiał wycofać się znad rzeki. Brytyjczycy również trzymali w ryzach – może lepiej powiedzieć: trzymali dotychczas – ruchliwy kapitał amerykański, który zadowolić się musiał jeno niektórymi odcinkami eksploatacji gospodarczej.

Buńczucznie, z fanfaronadą wdzierał tu się obcy pieniądz. Gdy wchodził ongiś do Polski, Rumunii lub Czechosłowacji, czynił to chyłkiem, przezornie ukrywając się za parawanem krajowych manekinów. Tu inaczej. Jak gdyby Brazylia czy Peru były jego prawdziwymi koloniami, pysznił się bez obsłonek; w oczy każdego obywatela wielokrotnie rzucał się dumny napis: „The Para Electric Railways and Lighting Company” itd.; porty nazywały się z angielska: Port of Para, Manaos, Harbour, a Brazylianie i Peruwiańczycy pływali po Amazonce na statkach „The Amazon River Steam Navigation Company”. Widocznie kapitał ów mocno czuł się w siodle, skoro stać go było na obcesowe demonstracje, drażniące dumę narodową tutejszych ludzi.

Konsul Massey był tylko kierownikiem filii „Booth Line” w Iquitos, pozornie niczym więcej. „Booth Line” to ta linia okrętowa, która łączyła Europę z Amazonką posyłając swe statki do Belem i Manaos. Linia ta dzierżyła monopol tylko na tę komunikację; statki jej nie zapuszczały się powyżej Manaos i nie docierały do Iquitos. Do Iquitos natomiast dochodziły statki innej kompanii. „The Amazon River Steam Navigation Company”, rzekomo należącej do rządu brazylijskiego i rzeczywiście na statkach zatrudniającej samych Brązy li języków. Ale, o dziwo, w Iquitos bilety na parowce „Amazon River” sprzedawał Mr. Massey, konsul brytyjski, a nie konsul brazylijski; Mr.

Massey dyktował arbitralnie warunki na rzece i kazał na przykład ubogim kolonistom polskim z likwidującej się kolonii w Kumarii jechać pierwszą klasą, a nie znacznie tańszą – trzecią.

Tak widocznie chciała brytyjska racja stanu.

Ojciec konsula był również urzędnikiem w „Booth Linę”. Dając młodego syna do kompanii wiedział, że daje jej człowieka o znamionach uchodzących za wybitnie angielskie: sumiennego i fanatycznie oddanego interesom brytyjskim. Tymi zaletami młody Massey się wybił, a gdy później wyrósł na dwumetrowego olbrzyma o dobitnej szczęce, nieustępliwej stanowczości, zaszczytnym brzuszku i statecznej bucie, cechującej tyłu Anglików, dyrekcja „Booth Linę” stwierdziła, że należy go ustawić na właściwym miejscu, i posłała go do Iquitos.

Massey to stanowczy i dumny Anglik. Brytyjczyków uważał za pierwszy, oczywiście, naród na świecie, lecz za żonę wziął najładniejszą Peruwiankę w Montanii. Pobierał najlepsze uposażenie w Iquitos i miał najgorszą opinię o Ameryce Południowej. Przez osiem miesięcy pracował nad Amazonką, resztę roku spędzał w Anglii. Mr. Massey po wielu latach nie nauczył się należycie języka hiszpańskiego, ale wszyscy wyśmienicie go rozumieli i jeszcze posłuszniej słuchali. Wystarczył mu angielski. A gdy Mr. Massey stał w porcie w Iquitos i spoglądał za odjeżdżającym statkiem linii „Amazon River” (należącym rzekomo do Brazylijczyków), wtedy wszyscy wiedzieli, że stał tam człowiek, który był panem tej wielkiej rzeki od Iquitos aż do samego jej ujścia.

Mr. Sharp, drugi Brytyjczyk, był swego czasu urzędnikiem bankowym w Bogocie. Potem jego przełożeni w Londynie kazali mu udać się do Iquitos i uchronić od upadku chwiejącą się firmę „Israel”. Mr. Sharp przybył do Iquitos, przeprowadził z pomocą kapitału angielskiego uzdrowienie „Israela” i pozostał tam, obejmując na stałe kierownictwo firmy. A czym był „Israel”? To najpoważniejsza placówka w Montanii, eksport i import na wielką skalę; to kilka parowców, obsługujących wszystkie rzeki powyżej Iquitos aż do podnóży Kordylierów: statki „Israela” wdzierały się na Ukajali i jej dopływ, Pachiteę, a także na Maranion i Huallagę.

Mr. Sharp ożenił się również z Peruwianką, również narzekał na Iquitos i też nie nauczył się poprawnie mówić po hiszpańsku. Był uprzejmy, uczynny i bardzo pobożny: co dzień chodził do kościoła. Mr. Sharp nie był konsulem brytyjskim, lecz przyjaźnił się z konsulem. Obydwaj podzielili się rządami. Massey panował nad Amazonką poniżej Iquitos, Sharp dzierżył władzę nad rzekami powyżej Iquitos. Innych dróg w tym kraju nie było.

U stóp Kordylierów rosły bujne lasy i gęste krzewy. Ludzie leśni ścierali pewne liście na proszek, pakowali przemysłnie i wysyłali. Przez statki „Israel” na statki „Amazon River”, przez „Amazon River” na „Booth Linę”, aż skrzynie lądowały w Liverpoolu, a w kilka dni później na europejskim kontynencie. Cieszyli się kokainiści Europy, że naraz zjawiało się tak wiele proszku. Ale to sprawy, o których Sharp ani Massey nic nie wiedzieli – oficjalnie.

Trzeci z nich, który był Irlandczykiem, lecz uchodził za Anglika, Patrick O'Connor, nie miał parowców ani pieniędzy i często się upijał. Upijał się zdrowo i z awanturami. Mieszkańcy Iquitos kochali go i gdy znajdowali nad ranem leżącego nieprzytomnie na ulicy, podnosili go i pieczołowicie odstawiali do domu. Kochali go, bo był Irlandczykiem, który pił, śpiewał miłosne piosenki i roztaczał dokoła siebie urok niezwykłości.

Jego życiorys: miał około pięćdziesięciu lat. Urodził się na skale gibraltarskiej, ojciec

był lekarzem w wojsku brytyjskim. Seminarium duchowne, ucieczka. Szkoły średnie ukończone w Anglii. Kłótnia z ojcem, pięć lat w Legii Cudzoziemskiej. Paryż, Sorbona, fakultet filozoficzny. Nauka śpiewu. La Scala w Mediolanie. Był aktorem i śpiewakiem w teatrach we Włoszech i Anglii. Pierwsza wojna światowa w rowach. Doszedł do stopnia sierżanta: nie chciał zostać oficerem, bo skępowany, nie mógłby pić tyle, ile chciał. Po wojnie głęboka Afryka, handel z Murzynami, żółta febra, urlop. Posada tłumacza u Cooka w Londynie. Półroczna bajka śródziemnomorska na jachcie bogatego Jankesa. Cokolwiek zarabiał, przepijał w ciągu miesiąca. Indie, Singapur, dziennikarz w Londynie, potem opiekun piesków u starszej lady. Podróż dokoła przylądka Hoorn do Alaski w charakterze oficera nawigacyjnego na żaglowcu. Wreszcie wylądował niespokojny duch w Iquitos, w głębi kontynentu południowoamerykańskiego.

Poza angielskim władał świetnie językami: hiszpańskim, francuskim, włoskim, kilkoma narzeczeniami murzyńskimi, a w niespokojne, gorące noce miewał sny po berberyjsku. Pił jak smok, lecz po wyspaniu się miał umysł nadzwyczaj jasny i zdumiewającą inteligencję. Posiadał dużo rzeczowych wiadomości, czytał wiele książek, znał na wskroś historię Ameryki Południowej. W czasie mej bytności w Iquitos zarabiał na picie lekcjami języka angielskiego, tłumaczeniem fachowych dzieł wojskowych na hiszpański, zakładaniem ksiąg handlowych u chińskich kupców i uczeniem oficerów peruwiańskich szermierki, a marynarzy boksu. Przepadało za nim, rzecz prosta, całe Iquitos i – rzecz prosta – nie lubił go Mr. Massey, konsul brytyjski.

Poznałem wszystkich trzech. Dwaj pierwsi, Massey i Sharp, byli dla mnie łaskawi. Uznali, że jestem dżentelmenem i że można mnie popierać. Tym samym urzędy peruwiańskie nie czyniły mi żadnych trudności. Konsul Massey sprzedawał mi bilety na podróże rzeczne, a Mr. Sharp załatwiał moje przekazy pieniężne z Polski – ale z Patrickiem O'Connorem, wspaniałym moczygębą, zawarłem serdeczną przyjaźń.

Mieszkałem z nim pod jednym dachem w domu sympatycznych rodaków, Tadeuszostwa Wiktorów. O'Connor, wcielenie uczynności, spełniał wszystkie moje życzenia, tłumaczył moje artykuły do tutejszych czasopism, a elaboraty do rządu peruwiańskiego w sprawie utworzenia w Iquitos muzeum przyrodniczego i zapoznawał mnie – biegły i na tym polu – z ciekawym folklorem Iquitoskim.

Wieczorem pewnej soboty poszliśmy na przedmieście Belem, gdzie Indianie mieszkali w trzcinowych domach na wysokich palach. Wstąpiliśmy do rozkiplącej sali balowej, tonącej w ozdobach z liści palmowych i napchanej po brzegi tańczącymi marynarzami i dziewczynami. W dusznym powietrzu zgiełk, hałaśliwa muzyka i zapach potu, atmosfera wezbranej namiętności. Najniesforniejsi z peruwiańskich marynarzy, marynarze rzecznej floty wojennej, tańczyli trzymając swe dziewczyny w sękatych ramionach. O'Connor trącił mnie i spytał:

– Która z dziewcząt podoba ci się najbardziej?

Była taka, która mi się najbardziej podobała, i wskazałem na nią. Po tańcu O'Connor przystąpił do marynarza, klepnął go po ramieniu, coś do niego szepnął. Marynarz potrząsnął czupryną i oburzył się; O'Connor uśmierzył go ściskając mu rękę w przegubie i wytoczył jakieś ważne argumenty. Po chwili obydwaj wrócili do mnie w najlepszej zgodzie, a w środku prowadzili dziewczynę.

– Chciałeś folkloru, masz go! – powiedział O'Connor śmiejąc się. – Marynarz odstępuje ci na dziś dziewczynę: tańcz i całuj!

Konsul Massey i Mr. Sharp mieli w swym ręku Amazonkę i jej dopływy. O'Connor

miał marynarza, z którym zawierał przyjaźń. O'Connor pił i spóźnionym parkom miłosnym śpiewał po nocy francuską piosenkę:

Pour un peu d'amour...

Byli w Iquitos Amerykanie, ewangelisci i adwentyści, którzy nawracali ludzi, rzadko się śmiali i nigdy nie pili wódki. Pomimo tych bogobojnych zabiegów nie cieszyli się zbytym powodzeniem.

Był Irlandczyk O'Connor, który nie nawracał nikogo i pił jak wesoły koń, a którego nie lubił Mr. Massey, H. B. M. Consul. Natomiast Mr. Massey miał powodzenie w Iquitos, zdobywał laury i sądził, że to jego było zasługą.

17. WIELE HAŁASU O... LETICIE

Don Filipo Morrey był znakomitym Peruwiańczykiem. Kiedyś dorobił się na kauczuku milionów i nie stracił ich. Dziś był podobno najbogatszym człowiekiem w Iquitos i w całej peruwiańskiej Montanii. W swym bujnym życiu dorobił się także wielu dzieci i potomstwo jego, rozsiane nad całą Górną Amazonką, obliczali znawcy na sześćset głów. Ród jego to wpływowy szczep, liczniejszy niż wiele szczepów indiańskich, szczep o różnych odcieniach skóry, lecz solidarny we wspólnej dumie, że miał tak dzielnego przodka.

Don Filipo Morrey wydał jedną ze swych legalnych córek za lekarza iquitoskiego, doktora Alexandra Vigila. Ruchliwy zięć wybudował za pieniądze z posagu tartak i cukrownię w małej peruwiańskiej osadzie rybackiej nad Amazonką, w pobliżu granicy brazylijskiej. Osada, licząca kilkanaście nędznych chałup z bambusu i stu kilkudziesięciu obszarpańców, nazywała się Leticia. Mieszkało też w niej – o dziwo – kilku białych ludzi, albowiem Anglicy postawili tam kiedyś radiostację jako łącznik między Atlantykiem a Pacyfikiem. Pomysł założenia tartaku i cukrowni nad granicą brazylijską okazał się świetny. Piła tarła dziennie cztery pnie mahoni, a dwudziestu Indian wyduszało sok z trzciny cukrowej. Don Alexandro Vigil zaczął się bogacić i idąc śladami swego znamienitego teścia mógł częściej myśleć o kobietach, jak to przystało na czcigodnego obywatela Montanii.

Dwie choroby nawiedzały – jak wiadomo – od czasu do czasu państwa południowoamerykańskie: jedna to popęd do bitki połączony z chęcią rozszerzenia swego terytorium, druga to pustki w kasie. Gdy dwóch sąsiadów chorowało na te same zachcianki terytorialne, wtenczas wypowiadało sobie wojnę. Gdy natomiast jeden stawał się zachłanny, a drugi był w kłopotach pieniężnych, wtedy następowało to, co zaszło w roku 1922 między Kolumbią a Peru w traktacie nazwanym Salomon-Lozano. Kolumbia otrzymała od Peru olbrzymi, lecz mało wartościowy kawał puszczy nad rzeką Putumayo, z wysuniętym ku południowi cyplem bagnisk aż do samej Amazonki. Za to przyrzekła rządowi peruwiańskiemu kilka milionów dolarów płatnych w ratach.

– Esplendido! – wołały radośnie dzieci w Bogocie. -- Wielka nasza Kolumbia sięga teraz od morza aż do Amazonki i mamy tam wielki port Leticie.

– Esplendido! – cieszył się peruwiański prezydent Leguia w Limie i zakładał prywatne konto w banku nowojorskim.

Nie cieszył się jedynie don Alexandro Vigil. Jego tartak i cukrownia w Leticii dostały

się w wąski pas kolumbijski – bez zaplecza – zamknięte teraz między granicą peruwiańską a brazylijską, przestały dawać dochody. To Alexandra Vigila bardzo zasmuciło. To bardzo go zdenerwowało. Stracił zupełnie ochotę do tartaków, do cukrowni i nawet (przejściowo) do kobiet.

Zaproponował rządowi kolumbijskiemu, by kupił -jego przedsiębiorstwa i tereny. Rząd kolumbijski się zdziwił. Folgując ambicji narodowej, chętnie rozszerzyłby granice państwa i nabył Leticię, ale ostatecznie uświadamiał sobie jasno, że nędzna osada rybacka, oddzielona od właściwej Kolumbii bezdrożnymi puszczami, przedstawiała tylko minimalne znaczenie i niewarta była zachodów. Więc rząd kolumbijski odmówił. Wobec tego don Alexandro Vigil się rozżłościł. A potem zwołał swą czeladź i rozbroił kolumbijską załogę, składającą się z około dziesięciu żołnierzy. Potem krzyknął na Amazonkę, że jest wściekły, i wystrzelił w powietrze kilka razy. Działo się to w roku 1932.

Było to zajście pospolite, często zdarzające się na odległych granicach państw południowoamerykańskich. Zazwyczaj po kilku tygodniach życie samo regulowało takie lokalne konflikty.

Tym razem jednak działo się to w Letycii, gdzie przecież siedział Anglik-radiotelegrafista, cierpiący na bezczynność i nudy. Gdy posłyszał krzyki i strzały, puścił w świat sążnisty telegram o buncie Vigila.

Powstanie w Leticii zelektryzowało Europę.

„Ciężkie naruszenie praw terytorialnych Kolumbii!”

– wieścił telegram następnego dnia.

„Wojna między Kolumbią a Peru! Wojna!!”

– grzmiało w eterze na trzeci dzień.

Anglik się rozhulał. Miał bezpłatne radio i lubił sport. Zaalarmował Europę i Amerykę. Dopiero drogą okrężną przez Amerykę Północną dowiedziały się zdziwione rządy w Bogocie i Limie, że mają z sobą tak poważny zatarg. Trochę bezradnie pokiwały głowami.

Dowiedział się także doktor Vigil i wcale nie pokiwał głową. Zachęcony rozgłosem, napuszył się. Nie darmo teść jego był milionerem i twórcą sześciuset potomków.

Nad peruwiańską Amazonką zawrzało zapalem wojennym i uformowały się ochotnicze kompanie do walki z Kolumbią. Rządy zaczęły się też powoli zagrzewać. Przypomniały sobie, że z sąsiadem miały jeszcze to i owo na pieńku.

Nad graniczną rzeką Putumayo nieprzyjacielskie oddziały wzajemnie się szukały. Ale szukaj wroga w gęstej puszczy! Co prawda ludzie ginęli jak muchy od różnych chorób, zwłaszcza z braku witamin od beri-beri, ale to wszystko. Trudno było o potyczkę i dopiero po wielu tygodniach padł od nieprzyjacielskiej kuli pierwszy żołnierz peruwiański. Po czym operacje wojenne utknęły na martwym punkcie.

Anglik w Leticii wyczynami swoimi narobił tak wielkiego bigosu, że nie tylko Europa uwierzyła w doniosłość konfliktu, lecz w końcu nawet obydwie zainteresowane państwa: Peru i Kolumbia. Wobec tego powierzyły załatwienie sprawy Lidze Narodów w Genewie. Liga ustanowiła w Leticii międzynarodową komisję. Potem zabrała się do mozolnej roboty. Wiele posiedzeń, długie dyskusje, komisje i podkomisje, całe tomy protokołów,

wysiłek najtęższych mózgów politycznych, lecz w rezultacie błota nad Putumayo okazały się zbyt twardym orzechem do zgryzienia. Po dwudziestu miesiącach ciężkich debat Liga Narodów stwierdziła, że nie da sobie rady z problemem nędznej osady rybackiej nad Amazonką.

Peru graniczy na zachodzie z Pacyfikiem i tam posiada kilkanaście wysp i wysepek. Nad tymi wyspami unoszą się chmary ptactwa morskiego, które wypróżniają swe żołądki akurat nad skałami i tworzą guano, naturalne bogactwo Peru.

W owe czasy guanem zainteresowała się Japonia. Potrzebowała wiele nawozu. Płaciła gotówką solidne ceny. Jednakże nie poprzestała na samym nawozie, lecz spodobały jej się również i skały pod nawozem.

Pewnego dnia na początku roku 1933, prosząc o ścisłą dyskrecję, zaproponowała rządowi peruwiańskiemu dobry interes. Oto Peru odda Japonii w dzierżawę jedną z wysp guanowych pod bazę „handlową”, za co otrzyma tyle materiału wojennego i kredytu, że łatwo pobije wszystkich sąsiadów. Propozycja przypadła Peru do smaku.

Jednakże o „ściśle dyskretnej” transakcji dowiedział się natychmiast Biały Dom w Waszyngtonie i zrozumiał, czym trąci japońska baza na ziemi amerykańskiej w pobliżu Panamy. Bezwzględnie do Kolumbii popłynęły amerykańskie dolary, samoloty z personelem oraz inna broń. Peruwiańskie zachcianki należało zgnieść szybko, za wszelką cenę, i do tego posłużyć miała Kolumbia.

W te pędy zgłosił się do Wuja Sama także Ekwador, bo i on nie chciał pozostać w tyle, a znalazło się przecież nie załatwionych porachunków z peruwiańskim sąsiadem zatrzęsienie. Więc hojny wujek waszyngtoński sygnął i jemu również garść broni w zamian za nowe koncesje na terenie Ekwadoru.

Tak oto rdzeń konfliktu przeniósł się z błot letickich na skały oceaniczne Pacyfiku.

Nagle napięcie akcji wzrosło i skłębiła się groźna chmura, brzemienna piorunami. Kolumbia i Peru stały się tylko pionkami.

Na początku roku 1934 działa, dostarczone przez Japonię, były już nad Amazonką i żołnierze peruwiańscy wstrzeliwali się pod Iquitos do płynących na rozległej rzece atrap. Patrzyliśmy na te przygotowania i widzieliśmy, że gdy japońskie działa dojdą nad Putumayo, łatwo wzniecą pożogę, która może objąć wszystkie wybrzeża Oceanu Spokojnego.

Tymczasem Genewa wciąż jeszcze biedziła się nad prawniczym ujęciem sprawy Leticii i zachodziła w głowę, jak wygramolić się z tego sosu i komu przyznać słuszość.

Działa japońskie nie poszły nad Putumayo. Zarzewie stłumiono. Zapewne w tym czasie ciężkie i twarde słowa krążyły między Londynem, Waszyngtonem i Tokio. Japonia ustąpiła i wycofała się z Peru. Już ją guano nie interesowało. Bardziej interesowała, ją Mandżuria.

Któregoś dnia Tokio zawiadomiło rząd peruwiański, że kredytów nie będzie. Więc z kolei, w dwa tygodnie później, zdumionej (i podobno zgorszonej) Lidze Narodów powiedziano, że nie potrzebowała się fatygować: sporu już nie było. W Rio de Janeiro delegat peruwiański podał delegatowi kolumbijskiemu dłoń do zgody i obydwie kraje zawarły wieczystą przyjaźń. Sprawę sporną załatwiono na krótkim toporzyску. Leticję zatrzymała Kolumbia, która przyrzekła rządowi peruwiańskiemu jakieś tam odszkodowanie. Doktor Vigil ucieszył się nadzieją, że za tartak i cukrownię też coś dostanie.

Gdy telegramy obwieszczały radosną nowinę o zawartym w Rio pokoju, przebywałem właśnie w Iquitos. Na ulicy spostrzegłem Alexandra Vigila. Kroczył jak paw. Duma rozpierała mu piersi: gdy Kolumbia chciała go skrzywdzić, wstawiły się za nim wielkie potęgi świata. Więc don Alexandro Vigil, krocząc ulicą, zadowolonym okiem patrzył w przyszłość; „pożądliwym zaś na przechodzące senior!ty.

18. AMERYKANIE

Doktor Harvey Bassler stanowił osobliwy wyjątek wśród Amerykanów: nie posiadał znamiennej dla nich rubaszości, rozmawiał miękkim głosem, daleki był od kładzenia nóg na stole – nawet w przenośni. Człowiek nauki, geolog i etnolog, miał rozległą wiedzę we wszystkich dziedzinach przyrodniczych, a przy tym był niezwykle- ludzki, ujmujący, uczynny i subtelny. Mało było Peruwianczyków, którzy nie zachwycali się uprzejmym caballero, przedstawiającym typ idealnego dżentelmena. Że ten uczony, niezmiernie bogaty, a równocześnie wyjątkowo skromny w obejściu, posiadał w swym obszernym domu w Iquitos etnograficzne zbiory, których mogłoby pozazdrościć mu British Museum, a poza tym jedną z największych na świecie kolekcji książek naukowych na temat Ameryki Południowej (podobno przeszło trzydzieści tysięcy tomów) – to wszystko przysparzało mu w oczach Peruwianczyków niewysłowionego uroku.

Doktor Bassler przebywał w Peru już od wielu lat. Podczas licznych wypraw zwiedził wszystkie zakątki Montanii: nie było szczepu indiańskiego, którego by nie poznał i nie opisał w dokładnych notatkach. Na podstawie tych wyczerpujących źródeł badacze, jak Giinther Tessman i inni, ogłaszali znakomite publikacje o Indianach północno-wschodniego Peru, wielce cenione w kołach etnografów.

Wszakże niestrudzony przyrodnik doktor Bassler zapędzał się w najdziksze strony Montanii nie tylko dla zdobycia pewności, które szczepy spłaszczały sobie głowy, a które nie; był to również dobry geolog, którego obchodziły... pokłady nafty. I podczas gdy uniwersytety świata podziwiałały wyniki jego badań etnologicznych, ściśle raporty, mniej głośnie, czasem nawet bardzo poufne, szły do „Standard Oil Company”.

Szpiegostwo gospodarcze? Fe, dlaczego zaraz tak nieprzyzwoicie to nazywać. Doktor Bassler nie tylko nie ukrywał swej działalności, lecz wszystko czynił za zgodą i wiedzą władz peruwiańskich. Tylko nie wszystko im donosił. Władze liczyły, że gdy „Standard Oil” będzie chciało dobywać w tej części Peru naftę, zgłosi się i zapłaci za koncesję. Więc nawet ułatwiały doktorowi Basslerowi geologiczne badania, wierzyły, że potężna kompania wniesie do kraju rozkwit i niektórym ludziom pozwoli tego się zbogacić. Tym chętniej w to wierzyły, że jej przedstawiciel był tak czarującym człowiekiem i już teraz miał około hojnym dolarem. Powiadali ludzie, że dwanaście milionów dolarów wyszło posiewem z ręki doktora Basslera.

W innych stronach Peru, na polach naftowych należących do „Standard Oil Company”, w roku 1931 rozległy się liczne strzały. Przeciw głodowym zarobkom zastrajkowali robotnicy. Władze peruwiańskie, oburzone takim nietaktem wobec szacownej kompanii, nie szczędziły krwi „buntowników”. Poległo ich stu sześćdziesięciu, znacznie więcej było rannych. Działo się to daleko od Iquitos, więc doktor Bassler w mocnych słowach wyraził swe ubolewanie i potępił rozlew krwi. Ludzki ten odruch Amerykanina jakże pozyskał mu serce mad Amazonką!

Jeden tylko człowiek w Iquitos śledził spode łba doktora Basslera – brytyjski konsul

Massey. Wiadomo, że amerykańskie kompanie szcudrzej szafowały agitacyjnymi pieniędzmi niż angielskie; do tego świat już się przyzwyczaił. Ale że Janke potrafił również bić Anglików urokiem osobistym, tego konsul Massey strawić nie mógł.

Przypominała się konsulowi wojna o Grań Chaco, trwająca już od wielu lat, od roku 1928, między Boliwią a Paragwajem. W gruncie rzeczy była to wojna między amerykańską kompanią „Standard Oil”, mającą koncesję na pola naftowe w Boliwii, a angielską „Royal Dutch Shell”, która pilnowała, by Paragwaj nie przepuścił przez swój teren konkurencyjnej nafty z Boliwii na rynek światowy. Nafta innego ujścia nie miała, więc Boliwia musiała wypowiedzieć wojnę. Zginęło w niej w interesie nafty siedemdziesiąt tysięcy Boliwijczyków i pięćdziesiąt tysięcy Paragwajczyków – a przecież „Standard Oil” – myślał konsul Massey z satysfakcją – „Standard Oil” swego nie dopięła.

Czarujący doktor Bassler był wyjątkiem w Iquitos. Inni Amerykanie nad Amazonką okazali się mniej przyjemni. Główną ich redutą była firma „Astoria”, dzierżąca monopol na wywóz mahoni. Do niej należał wielki tartak w Nanay, tuż pod boki Iquitos, dokąd kilkanaście razy w roku przychodziły ze Stanów Zjednoczonych specjalne statki i po załadowaniu cennego produktu wywoziły go do Nowego Jorku.

Mahoń stanowił w tym czasie główny przedmiot eksploatacji puszczy montańskiej, tak samo jak w początkach wieku był nim kauczuk. Wydobycie mahoni było nad wyraz uciążliwe, a kto się tego podejmował, nerwy musiał mieć silne, mięśnie krzepkie, zdrowie żelazne i odwagę. Lasy przylegające do głównych rzek były już na ogół wyeksploatowane, więc po mahoń trzeba było iść dalej, w głąb puszczy, żeby zaś wydostać stamtąd pnie, należało zdobyć sobie tanią pomoc Indian i narażać się na niejedno niebezpieczeństwo.

Żaden handlarz nie kupował w lesie drzewa. Drwał musiał doczekać się przyboru wód i samemu spławiać tratwę do Iquitos, przeważnie oddalonego o tysiąc do dwóch tysięcy kilometrów. Dopiero na samym końcu mordegi, nie prędzej aż w Iquitos, drwał dowiadywał się, czy całoroczna nieraz praca przyniesie mu pożytek. Wyzyskując jego położenie agencji „Astorii” ofiarowywali mu często tak śmiesznie niską cenę za drzewo, że biedak wychodził jak Zabłocki na mydle. Wszystko zależało od podaży: gdy – jak często .bywało – zjawiała się większa ilość tratw jednocześnie, wtedy były na łasce i niełasce „Astorii”.

Pewnego dnia Tadeusz Wiktor, mój zacny gospodarz, powróciwszy z miasta opowiedział mi, że nad brzegiem Amazonki wybuchła wielka burda. Przy Malekonie, tuż poniżej portu, przycumowała poprzedniego wieczoru do brzegu wielka tratwa, spławiona znad Ukajali. Zatarg powstał na skutek beczelnie niskiej ceny, jaką agencji wyznaczili na zdrowy, dobry mahoń, twierdząc, że jest pośledniego gatunku. Drwał, przywieziony do rozpaczy, nie myślał poddać się wydrwigroszom.

– Ale w końcu ulegnie im – rzekłem.

– Chyba, że ulegnie – potwierdził Wiktor – bo nie ma innego wyjścia. Do Manaos, następnego miejsca zbytu, stąd dwa i pół tysiąca kilometrów; zresztą to już zagranica. Więc nie będzie tam spławiał... Jednak na razie jest nieugięty, ostro się stawia.

Zaciekawiony udałem się nad rzekę. Już z daleka ujrzałem skupisko kilkudziesięciu gapiów, śledzących przebieg awantury. Nadszedłem właśnie na jej zakończenie czy punkt kulminacyjny. Dwóch agentów, Metysów o krawatowych ambicjach, wzruszając pogardliwie ramionami opuszczało tratwę i wyskakiwało na brzeg. Widocznie

powiedzieli ostatnie słowo.

Drwał chwilę wodził za nimi nieprzytomnym wzrokiem; twarz miał czerwoną od wzburzenia. Potem zerwał się z przekleństwem, złapał za siekierę, w kilku susach dopędził agentów. Uderzając obuchem w łeb, położył jednego z nich na miejscu, drugiemu, chybiając ciemię, rozwalil policzek.

Błyskawicznym skokiem powrócił na tratwę i rozcinał siekierą liny, wiążące pnie z brzegiem. Potem, jak wariat, walił ostrzem w wiązania: tu, tam, wszędzie. Tratwa, uniesiona prądem, zaczynała się oddalać od brzegu i jednocześnie rozpadać na części. A furiat nie przestawał szaleć. Zawzięty, milczący jak niemy demon, skakał z pnia na pień, tłukł siekierą, rozrywał. Wściekłość dawała mu nieludzkie siły. W zdumiewająco krótkim czasie dokonał zniszczenia. Rozwalona tratwa przestała istnieć.- Pnie mahoni, rozproszone na wielkiej przestrzeni, odpływały w dal.

W pewnej chwili szalencie wydał gromki okrzyk, siekierą machnął w kierunku brzegu, jakby ostatni raz komuś groził, I wpadł do wody. Prawie natychmiast zatonął. Wszystko to działo się tak szybko, że ludzie, stojący wciąż jak porażeni, nie mieli czasu ratować.

Rozbita fortuna mahoniowa, ponure świadectwo dramatu, płynęła z prądem w dół rzeki. Po kwadransie przepływała obok tartaku „Astorii” w Nanay.

CZEŚĆ V

RZEKĄ UKAJALI W GÓRĘ

19. PIĘCDZIESIĄT

KROKÓW CYWILIZACJI

Pewnego dnia w lutym opuściłem Iquitos na pokładzie „Sinchi Roca”, by udać się do Kumarii nad Ukajali. Towarzyszyli mi pomocnik Pedro i mały Czikinio.

„Sinchi Roca” był rzeczny parowcem o pojemności czterdziestu ośmiu ton. Co półtora miesiąca wypływał z Iquitos w górę, wchodził do rzeki Ukajali i docierał niemal do jej źródeł, po czym tą samą drogą wracał. Mała to łupina, ale wystarczająca. Owymi czterdziestoma ośmioma tonami zaspokajała wszystkie potrzeby tej części świata i wraz z dwoma jeszcze parowcami dostarczała na przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów wszystkiego, czego mieszkańcom ukajalskim potrzeba było do życia: sukna, soli, nafty, narzędzi, pasażerów i wiadomości o rewolucjach.

Kapitanem statku i zarazem właścicielem był Larsen, Norweg z Oslo, pływający od trzydziestu lat po rzekach Montanii. Pierwszy po Bogu miał czterdzieści parę lat i posłuszny utartemu wyobrażeniu o klasycznych wilkach morskich, raz wraz okazywał, że był męski i bezwzględny. Z wyjątkiem statku „Sinchi Roca” stracił w wirach Ukajali wszystkie swoje parowce oraz część rodziny i twierdził o sobie, że sam umrze śmiercią marną – naturalną. Co półtora miesiąca docierał do każdego większego szalasu nad rzeką, dyktował ceny, sprzedawał, kupował, łupił, a w wolnym od tych zajęć czasie rozmawiał o metafizyce. Raz przydybałem go w kabinie, zadumanego – po ciężkim użeraniu się z jakimś Metysem – nad czytaniem Eddy. Lancię – jak nazywają mniejsze parowce na Amazonce i jej dopływach – prowadziło dwóch pilotów z Punchany. Punchana to wioska pod Iquitos, zamieszкана wyłącznie przez pilotów, pochodzących z różnych szczepów indiańskich. Zнали oni kaprysy wszystkich tutejszych rzek lepiej niż

kaprysy własnych żon i mogli żyć – według uporczywych pogłosek – w wodzie razem z rybami.

Jeden z naszych pilotów był jowialnym grubasem o cofniętym czole (niektóre szczepy deformują dzieciom czaszki), fotogeniczny typ jak gdyby inkaskiego eunucha; drugi pilot, chudy i smutny, wyglądał, jak gdyby stale knuł złe zamiary. Ale widocznie były to tylko pozory, gdyż oczyma, z których mu tak groźnie patrzyło, w ciemne, noce świetnie wynajdywał drogę dla statków między zdradzieckimi brzegami, unikając wirów i pni.

„Sinchi Roca” miał dwa pokłady, górny i dolny. Na górnym był ster, była pierwsza klasa i byli ludzie chodzący w trzewikach: Kreolowie oraz Metysi z górnymi ambicjami. Na dolnym pokładzie były maszyny, była trzecia klasa i byli ludzie chodzący boso: Indianie obok czolów, ubogich Metysów.

W pierwszej klasie między innymi jechała z Iquitos do Masisei *seniorita* Rosa de Borda. Była to dzielna panna, miała troje dzieci, ładną, żywą twarz czoli i zwiędłe kształty ciała. Jechał też senior Juan Pinto, młodzian o bladej, krostowej twarzy i czarnych, pięknie ulizanych włosach. Tych dwoje na lanczi i rzucało teraz ku sobie gorące spojrzenia. Larsen kpił głośno, że spojrzenia wykrzesają czwarte dziecko *seniority*. W tym gorącym kraju przyroda bujnie płodziła owoce, ryby i dzieci.

Jak nad całą Amazonką, tak i tutaj, nad Ukajali, towarzyszył nam bezustannie las. Na prawym i lewym brzegu las. Paroksyzm zieleni, obłęd miliarda drzew, aż w końcu budziło się pytanie, czy w tym rozpetanym szaleństwie nie było jakiejś ukrytej myśli? Może całun, rzucony na ów nizinny kraj, zasłaniał wielką, niezgłębianą tajemnicę? Niewątpliwie to naiwny tok myśli, lecz trudno było przed nim odpędzić się w obliczu takiego rozpasania zieleni.

Obecnie, w lutym, rzeka przybrała podobno o siedem metrów ponad normalny poziom. Niebawem powódź dojdzie do najwyższego punktu, tj. do dziesięciu metrów. Ale już teraz były zalane na brzegach rzeki wielkie połacie lasu i z wody sterczały wszędzie wysepki ziemi. Niektóre z nich miały kilkadziesiąt kroków średnicy, inne kilkaset. Na tych leśnych wyspach żył w przewiewnej chacie, zrobionej z trzciny kania brawa, w bezustannej wilgoci, odcięty od innych ludzi, tylko niebo, puszcę i wodę mając dokoła siebie – człowiek.

Trzykrotnym gwizdem syreny „Sinchi Roca” oznajmiał lasom, że dobiega do brzegu. Wielka chwila, oczekiwana niecierpliwie przez mieszkańca chaty od miesiąca. Ze statku rzucali na ląd wąską kładkę. Po niej chwiejnym krokiem wchodził na pokład człowiek. Obdarty, zażenowany, anemiczny, z tępym uśmiechem, nadrabiał trochę miną. Jeżeli był to biały i pochodził z miasta, „Sinchi Roca” dawał mu mgliste przypomnienie lepszych czasów; jeżeli był leśnym Metysem lub Indianinem, „Sinchi Roca” przedstawiał dlań świat oszałamiających marzeń. Lecz wrogi przepych jego pokładu był równie niebezpieczny dla białych, jak i dla Indian.

Człowiek wchodził na lanczę zawsze z nadzieją, że za worek fasoli, który uzbierał, dostanie w równej wartości innego towaru nafty, mydła, płótna (o sprzedaży za pieniądze nie było mowy). Kapitan Larsen dawał mu wszystko, czego mieszkaniac leśny zapragnął, lecz o połowę mniej, aniżeli mu się należało. Bo Larsen miał statek, był bezwzględny i chciał się szybko dorobić, a tamten był biedny, chory i statku nie posiadał. Miał tylko małe kanoe, a do Iquitos było pięćset czy tysiąc kilometrów.

Po złupieniu czakrera-rolnika „Sinchi Roca” gwizdał dwukrotnie, wciągał kładkę i odpływał. Przed chwilą mieszkańiec brzeżny i jego półko byli wciągnięci w krąg interesów świata, należeli do tego świata i podlegali jego prawidłom. Teraz, po zdjęciu pomostu, zerwała się łączność, człowiek należał już tylko do puszczy. Ociężałym krokiem wracał do swej chaty i do swego codziennego bytu, ubogiego, beznadziejnego, bezmyślnego bytu.

Nad brzegami Ukajali pędziło suchotniczy żywot kilka niewielkich miasteczek, jak Requena, Orellana, Contamana, Masisea, ale wątpliwe, czy na całej dwutysięczno-kilometrowej przestrzeni rzeki żyło dwa tysiące mieszkańców, poczuwających się do kontaktu z cywilizacją. Dla nich „Sinchi Roca” wiozł razem czternaście listów i trzy – dosłownie trzy – gazety, jedną do Contamany, drugą do Masisei, a trzecią dla doktora Szymońskiego w likwidującej się polskiej kolonii w Kumarii. Reszta mieszkańców widocznie nie czytała i nie chciała nic wiedzieć o świecie.

Ale nie wszyscy. Oto na którymś przystanku przyszło indywiduum, wystrojone w pocerowaną koszulę i czyste spodnie. Z ciemnej twarzy trudno było wyczytać, kto on zacz: słońce i klimat na równi wyniszczały wszystkich, mniej więcej upodabniając ich do siebie.

Okazało się, że był to Hiszpan, przebywający na Ukajali od czterdziestu lat. Dowiedziawszy się, że przybyłem wprost z Europy, podszedł do mnie i po wielu przepraszających grzecznościach zapytał:

– Czy w Europie noszą jeszcze cylindry?

– Noszą, owszem – odrzekłem rozbawiony.

– Czy często noszą? I kto nosi? Przy jakich okazjach? Nie czekając na moją odpowiedź westchnął z głębi serca:

– Ach, Dios, jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł raz jeszcze włożyć prawdziwy cylinder na głowę!...

„Sinchi Roca” płynął przez kraj o zadziwiającym bogactwie przyrody. Na brzegu rzeki bywały potężne drzewa o konarach tak rozłożystych, że każde mogłoby ocienić pół niemałej wioski. Rosły palmy o pióropuszech liści kilkunastometrowych. Powietrze dudniło i tętniło od krzyku liczego ptactwa. Stada po dwadzieścia arar, jaskrawoamarantowych od spodu, a lśniące niebieskich z wierzchu, to widok o niezatartym wrażeniu. Z gliniastego brzegu zsuwały się do rzeki kajmany, z wody wyskakiwały ryby-potwory, a las roił się przepychem najcudniejszych owadów. Tu, niedaleko stóp Kordylierów, przyroda była jeszcze potężniejsza niż tam, przy ujściu Amazonki. Wszystko dokoła kipiało najbujniejszym życiem, rozmnażało się i żyło, żyło.

Tylko człowiek chorował. Chorował na najróżniejsze choroby tropikalne, a przede wszystkim na anemię. Z wynędzniałej twarzy płynął smutek. Pasożyty pożerały jego wnętrzności. Istniały robaki i mikroby specjalne od jelit cienkich i grubych, od wątroby, nerek, pęcherza, krwi. Wszystko to żyło kosztem człowieka i gasiło mu uśmiech. Pomimo wielkiej ilości urodzeń ludność rozmnażała się słabo: dzieci umierały jak muchy.

Ponieważ don Juan Pinto i donna Rosa de Borda przysięgli sobie miłość, chodzili smutni po statku, a wszyscy złośliwie ukradkiem się cieszyli, że z tego nic nie będzie: trudno było znaleźć dyskretne miejsce do amorów na lanczi o dwudziestu pięciu metrach długości i pięciu szerokości, pełnej ruchliwych ludzi. Aż pewnego gwiaździstego wieczoru, kiedy tysiące komarów wypędziło ludzi z pokładów do kabin, podpatrzył ich

marynarz na gorącym uczynku na samym dachu statku. Tam ich zapędziła namiętność.

- Stało się! – zachichotał złośliwie kapitan Larsen. – Będzie!
- Będzie co? – spytał jakiś niedomyślny pasażer.
- Czwarte dziecko...

Gdy „Sinchi Roca” przystawał, wychodziłem na ląd, na czakrę. Malowniczy, choć ubogi szalas, półko bananów tonące w białych promieniach równikowego słońca, kwiaty i kapryśnie barwne motyle w pachnącym powietrzu składały się na zwodniczy obraz szczęścia i sielanki. Pięćdziesiąt kroków dalej kończyły się banany i zaczynała puszcza – wielki, mroczny świat pni drzewnych, u którego skraju urywał się, wraz z ludzką ścieżką, wszelki ślad cywilizacji.

20. SNY NA UKAJALI

Nigdy nie widziałem tak pięknych wieczorów, jak na rzece Ukajali ze statku „Sinchi Roca”. Z dziwną regularnością, prawie co dzień na godzinę przed zejściem słońca, skłębiały się na zachodzie, nad Andami, malownicze, strzeliste obłoki i lśniły wszystkimi barwami tęczy. Szedł od nich czerwony odblask na rzekę, zalewając ją niby potokami fantastycznej krwi. W kryształowo czystym powietrzu (które rano było mgliste jak para), zbliżały się do nas brzegi i wtedy w konarach drzew widać było dokładnie ptaki, a niekiedy harujące stada małp.

Około szóstej wieczorem zachodziło słońce, po czym zmierzch trwał trzy kwadranse. To nieprawda, jakoby w tropikach dzień z szybkością niemal błyskawicy przechodził w noc. Na nieboskłonie pojawiały się błyskawice. Luty to pora deszczowa, więc co dzień przeciągały tropikalne burze i ulewne deszcze. Pewnej nocy srożyło się nad nami szaleństwo. Tysiące błyskawic zlewało się w jedno bezustanne pasmo światła tworząc upiorną iluminację puszczy. Takiego żywiołu mało że się nie zapomina: trudno było uwierzyć w rzeczywistość tego przeżycia.

W czasie nocnych deszczów doskonale sypialiśmy i następnego dnia budziliśmy się wypoczęci i w najlepszych humorach. Natomiast ciche i pogodne noce przynosiły udrękę: komary. Były to zjadliwe bestie – stokroć przykrzejsze niż nasze polskie niewiniątka – napastliwe, nieustraszone, kłujące poprzez bieliznę i pościel. W kabinach bez siatek nie pozwalały nam zmrużyć oka; noc mijała wśród gorączkowych majaczeń, a przez cały następny dzień byliśmy zmęczeni i senni.

Piątego dnia po wyjeździe z Iquitos dotarliśmy do okolic zamieszkałych przez Indian Czamów. Byli to pierwsi niezależni Indianie, których podczas tej podróży spotkałem w większych skupiskach w naturalnym otoczeniu. Pierwsi? Wprawdzie widziałem już na Amazonce Indian, o których mi mówiono, że byli niezależni, ale przepływali obok naszego parowca na swych kanoach szybko, milczkiem, jak gdyby czuli się obco na wielkiej rzece i nieswojo w pobliżu statku. Nad Ukajali było inaczej. Czamowie uważali się tu, jeśli już nie za panów rzeki, to przynajmniej za współmieszkańców równych innym. Pomimo że nie unikali stosunków z białymi ludźmi, zachowali swą szczepową niezależność i odporność, utrwaloną własną, acz prymitywną tradycją.

Przystanek w Pontabello. Wywyższenie brzegu rozleglejsze niż gdzie indziej. Na szerokiej polanie stała chata białego czakrera. Przy skraju puszczy ukazało się kilkanaście postaci Czamów i Czamek, zwabionych przybyciem statku. Widziałem twarze

malowane w czarne i czerwone kreski; bujne czupryny zakrywające czoła aż po same brwi; ciała pokryte workowatą odzieżą własnego wyrobu, tak zwaną kuźnią; nosy kobiet przetykane srebrnymi kolczykami. Czamowie nie podchodzili bliżej do statku, obserwowali nas tylko z daleka. Widocznie znali białych ludzi i wiedzieli, że nie można im zbyt ufać. W ich ruchach była nerwowa ciekawość dzikiego zwierza, gotowego za lada przyczyną zerwać się do ucieczki.

Odwiedziłem ich pobliski obóz – kilka dachów z palmowych liści, bez bocznych ścian. Grupa mężczyzn zjadała właśnie wieczerzę. Siedzieli na ziemi w kucki dokoła jednego garnka, z którego wyciągali i jedli palcami jakąś żółtą maź. Jeden z nich miał kuźmę pomalowaną w czerwone i czarne, łamane linie. Cudo prymitywnej sztuki. Pod dalszym dachem stara Indianka, na pół naga, lepiła z gliny garnek. Wtem rozległy się zewsząd głośne okrzyki i dzikie śmiechy falsetowym „iii, iii!” To radość, że jeden z Czamów przywiózł na kanoe wielką rybę, przed chwilą upolowaną z łuku. Wszyscy popędzili nad brzeg podziwiać zdobycz.

Taki szal nieokiełznanej radości był czymś obcym i nieznanym wśród ludzi cywilizowanych. To jak gdyby żywiołowy głos samej przyrody w jej ekstazie. Mimo woli ogarnęło mnie wzruszenie: czyż dwa tysiące lat temu nasi pradziadkowie nie witali powrotu szczęśliwego łowcy podobnym uniesieniem?

Ze statku dali znać syreną, żebym wracał. Kilkadziesiąt kroków przeniosło mnie w inny świat i po dwóch minutach zasiadłem do sutej kolacji przy stole nakrytym białym, świeżo wyprasowanym obrusem. Dotyk talerza, noża i widelca wywołuje nowe dreszcze. Nagle spięcie tych dwóch światów sprawiało osobliwą rozkosz.

Niebawem ruszyliśmy w dalszą drogę. Tej nocy śniły mi się drogie postacie wczesnej młodości: Sokole Oko, Winnetou, Sitting Buli, prerie i Góry Skaliste.

A potem zbudził mnie wrzask. W półśnie stwierdziłem, że staliśmy znów przy brzegu i że jakieś ciemne postacie, uzbrojone w maczugi, szturmowały nasz statek. Napad Indian? – przeszło mnie osłupienie i zerwałem się z posłania. Po spędzeniu snu z oczu poznałem omyłkę: to ludzie z załogi statku, oczywiście także Indianie, wnosili na pokład kłody drzewa, przeznaczone do opalania maszyn. W blasku reflektora, na tle rozczapierzanych liści chlebowca, fantastycznie lśniły ich nagie, spocone ciała.

W miarę posuwania się w górę Ukajali prąd rzeki był coraz bardziej wartki, brzegi nieco wyższe, a wiry na skrętach głębsze. Nieraz parowczyk z trudem przepływał przez wodne leje, hamujące jego rozpęd i grożące rozbiciem. W takim wirze dwa lata temu zatonął statek „Ukajali”, należący, jak obecnie „Sinchí Roca”, również do Larsena.

Widziane za dnia wiry śniły nam się po nocach w koszmarnych wizjach. Oblani potem, budziliśmy się z pulsem walącym w skroniach i czepialiśmy się kurczowo krawędzi koi.

Pewnej nocy znowu zerwałem się z głębokiego snu. Maszyny statku stały. W głuchych ciemnościach rozlegał się silny trzask łamanego drzewa. Pocieszyłem się, że to znowu sen o rozbiciu statku. Ale wtem powietrze przeszył głos syreny, długi, przeraźliwy, nie kończący się. Sygnał alarmu. Zerwałem się na równe nogi. Niemożliwe, aby to był sen! A może jednak? Wątpliwości ustały, gdy usłyszałem biegających po pokładzie ludzi i poczułem uderzenie jakiejś niewidzialnej gałęzi o moją kabinę, uderzenie tak silne, że zatrzęszczały ściany.

– Światła! – słychać było ostry krzyk Larsena.

Na dziobie statku zapalono reflektor. Z ciemności wyskoczyły w światło potężne

gałęzie nadbrzeżnego drzewa. Statek wjechał w jego konary i wczepił się z niebywałą siłą stwarzając poważne niebezpieczeństwo wywrócenia się.

– Co to, do diabła?! – w ciemności wściekał się kapitan na pilota, który jak ślepy wprowadził statek w cały ten bałagan. Pilot w odpowiedzi coś mruczał pod nosem i nie sposób było zrozumieć jego słów.

– Czemuś, łajdaku, sterował na brzeg? – zachłystywał się Larsen. – Gadaj, czerwony kundlu! Czemuś tak sterował?...

– Pnie na rzece – mamrotał pilot.

– Łziesz, chamie, nie ma pni na rzece!

– Mgła – burczał pilot.

– Łziesz, nie ma mgły! Czyś pijany?

Larsen, cały w pasji, zamierzał się na pilota, lecz widząc mnie nadchodzącego powstrzymał się. Jakkolwiek z wysiłkiem, opanował swoją wściekłość i zwrócił się do mnie:

– Czy widzi pan jaką mgłę? – zasyczał oburzony.

Trudno było potwierdzić, że widziałem. Mgły nie było. Spojrzałem uważniej na pilota. Był to ów smutny Indianin z Punchany, któremu tak dziwnie patrzyło z oczu. Głuchy na groźby Larsena i nie zważając na podniecenie ludzi siedział skurczony na ławie, posepny i apatyczny. Nikt go nie rozumiał. W uporze trwał godzinami bez ruchu, i nie wiadomo, jakie myśli krążyły pod jego czaszką. Nad ranem zbudził się z odrętwienia i objął ster, przy którym dotychczas zastępował go kolega. Odtąd spełniał swe obowiązki znów bez zarzutu.

Takie morzyły nas sny w nocy na Ukajali. A w ciągu dnia? Gdy nadchodziła godzina piąta po południu, magiczna godzina tropikalnego czaru i zachodu słońca, kiedy na niebie szalały szkarłatne chmury, któż by uwierzył, że to jawa, a nie sen? A może to naprawdę był tylko sen o Indianach i kolibrach, o obłokach tęczowych i kapryśnych pilotach, o wielkiej rzece i gorącej puszczy, do której zabłąkał się – w marzeniach sennych – wędrowiec z Polski?

21. PAJĄKI

Kapitan Larsen posiadał na parowcu elektryczne światło i tym niewątpliwie bił swych współzawodników, statki „Libertad” i „Liberal”. Owe dwadzieścia kilka żarówek, oświetlających w nocy pokład, stanowiło nie lada sensację wzdłuż całej rzeki ;Ukajali. Blask tysiąca świec rzucał niesamowity urok na puszcę, szerzył na brzegu popłoch i przerażenie, wyrывał ze snu wszystkie istoty, wprowadzał w olśnienie. Burzył równowagę przyrody.

A przede wszystkim wabił na pokład mieszkańców lasu. Niezliczone roje leśnych owadów przylatywały do światła i siadały dokoła, otumanione i bezbronne. Światło je upijało. Łatwo wtedy było zgarniać je do słoja z trucizną.

Z bajecznych bogactw tej puszczy rosły moje zbiory. Lecz miałem na statku silną konkurencję: pająki. Myśliwi to zawzięci i zawodowi rozbójnicy. Nad stołem, przy którym jadalśmy, wisiała pod stropem najjaśniejsza na statku lampa i do niej najęśniej zlatywały owady.

Pewnego razu wypadł jak z procy, z pobliskiej szpary w dachu, włochaty pajak Mygale, olbrzym w swoim rodzaju, i wydarł mi prawie spod rąk rzadkiego motyla

prządkę, zwabionego światłem. Mygale to niezbyt bezpieczny dla ludzi sąsiad, więc kapitan Larsen zarządził na niego obławę. Niestety, „Sinchi Roca” to stare pudło, a szpary w jego dachu były głębokie. Pająka nie złowiono i w końcu trzeba było uznać jego istnienie za fakt nie dający się zmienić.

Mygale okazał się rabusiem taktownym; cechowały go, jak każdego prawdziwie wielkiego i silnego wojownika, skromność i dyskretna powściągliwość. Pojawiał się na widowni tylko jeden raz na dobę, mniej więcej w godzinę po zachodzie słońca. Wtedy jak błyskawica wyskakiwał ze swej zasadzki, porywał najsmaczniejszą ofiarę spośród owadów, przeważnie jakąś grubą ćmę, i wraz z nią uchodził do swej kryjówki. Później już go wcale nie widzieliśmy; teren był wolny i wówczas dopiero przychodziła kolej na mnie, łowcę dwunożnego: swobodnie i bez obawy mogłem łowić przy lampie. Wszakże po paru dniach udało mi się schwytać i unieszkodliwić olbrzyma.

Wszystkie inne żarówki na parowcu obsadzone były pająkami z rodziny Lycosidae, pogońców. Były to małe, żarłoczne bestie, ruchliwe i bezczelne, prawdziwe wilki w społeczeństwie pająków. Czyhały po dwa, po trzy dokoła każdej żarówki i ofiarą ich padały przeważnie muchy, ale lykosidy bynajmniej nie gardziły i większą zwierzyną: motylem, szarańczakiem, chrząszczem, sieciarką.

Napadały sposobem ich wielkiego kuzyna Mygale, gwałtownie rzucając się z ukrycia na zdobycz. Ich drapieżność była zadziwiająca. Schwyciwszy owada, tarmosiły go ze wściekłością i wysysały mu wnętrzności jeszcze z żywego ciała, zaraz na miejscu połowu, okazując przy tym nerwowy pośpiech. Nie zadowalały się jedną ofiarą. Polowały bez przerwy przez całą noc, miotane nienasyconą żarłocznością, trawione głodem zabijania. Bywało, że zaledwie rozpoczynały pożerać jakąś muchę, puszczały ją i rzucały się na drugą, by po chwili porzucić ją i złapać upatrzonego motyla. Tymczasem pod lampą na podłodze powstawała cmentarzysko resztek tej biesiady i nad ranem pełno tam było okaleczonych tułowi, rozdartych odwłoków i dogorywających inwalidów owadzych.

A puszcza po brzegach rzeki, obłędna niepohamowaną hojnością, przysyłała na rzeź wciąż nowe roje swych mieszkańców, urzeczonych światłem.

Serce statku, a zarazem największy skarb kapitana Larsena, tkwił w niewielkiej kabinie na środku parowca. Była to składnica towarów, przeznaczonych na sprzedaż dla ludności ukajalskiej. Przy wszystkich czterech ścianach kabiny, od podłogi do sufitu, ułożono na półkach artykuły, przywiezione ze świata cywilizowanego, a potrzebne do życia w puszczy. Było tu wszystko, od igły począwszy, poprzez naftę, sukno i płótno, do strzelb i konserw. Cztery żarówki, każda po sto świec, zalewały składnicę potokiem jaskrawego światła i czyniły cuda: kabinę z błyszczącym towarem zamieniały w krainę marzeń, gwałtownych pożądań i potężnych podniet. Nie było człowieka nad Ukajali, który oparłby się pokusie tej kabiny.

W kabinie siedział przy stole kapitan Larsen. Larsen miał niebieskie i zimne oczy. Ludzie nad Ukajali mieli oczy czarne i gorące. Larsen kalkulował, a ludziom nad Ukajali płonęły policzki, gdy błędnym wzrokiem pożerali skarby z dalekiego świata.

Indianin ze szczepu Kampa przyniósł cztery skóry dzikiej świni pekari i chciał za to wielki nóż, maczetę. Skóry były dobre i starannie wysuszone; miały wartość nie jednej, lecz dwóch maczet. Olśniony światłem Indianin rozglądał się dokoła i oczy mu błyszczały na widok tyłu dziwów. Był onieśmielony.

– Maczety nie dostaniesz! – oświadczył Larsen spokojnie. – Kosztuje sześć skór, a ty

masz tylko cztery skóry. Za cztery skóry możesz jedynie dostać materiał dla swej żony na suknię i na spodnie dla ciebie.

– Ja materiału nie potrzebuję – tłumaczył zaniepokojony Indianin i prosił z gorzkim uśmiechem: – Potrzebna mi maczeta.

– Nie mogę dać maczety! – brzmiała stanowcza odpowiedź Larsena.

Blask czterystu świec z czterech żarówek kusząco odbija się na stali maczety.

Larsen kazał dać sygnał syreną na znak bliskiego odjazdu. Larsen nie miał litości i nie wzruszało go zmartwienie Kampy. Indianin przyniósł jeszcze dwie skóry i dostał maczetę, którą trzykrotnie przepłacił.

Dokoła pokładu wznosiła się poręcz, chroniąca ludzi od wypadnięcia za burtę. Ponad poręczą, między nią a brzegiem dachu, musiały przelatywać wszystkie owady, zwabione do światła statku.

Korzystną tę sposobność wyzyskiwało wiele przemysłnych pajaków. Skoro tylko nastał mrok wieczorny, rozpoczynała się pod krawędzią dachu gorączkowa praca nad budowaniem siatek. Po krótkim czasie wisiały w powietrzu pajęczyny i przez całą noc spełniały swe ponure zadanie. Pajaki miały bogate żniwo. Jedynie gdy przelatywały wielkie piewiki lub motyle zawisaki, powstawały w tych zasiekach wyrwy i spustoszenia. Lecz tylko na chwilę; pajaki szybko naprawiały szkody.

Co dzień rano chłopiec okrętowy zgarniał miotłą pajęczyny i niszczył dzieło nocnych łowców. Ale co dzień wieczorem pajaki rozpoczynały pracę od nowa i zakładały siatki takie same jak poprzedniego dnia. Widocznie opłacało im się budować na jedną noc.

Pewnego wieczoru przy kolacji, gdy przy stole siedziało nas dwunastu pasażerów, z Larsenem na kapitańskim krześle, ktoś z obecnych odezwał się:

– Wstrętne paskudztwo te pajaki.

– Jak to? Czemu wstrętne? – obruszył się zdziwiony Larsen i dodał z dowcipnym uśmiechem: – Są to pasażerowie jak każdy inny pasażer, jak każdy z was, moi państwo!

Podobało mu się porównanie i rozprowadzał je dalej z sarkazmem wcale nie ukrywającym:

– To są pasażerowie lepsi od wielu ludzi: mają przynajmniej charakter!

Któregoś z biesiadników rozśmieszyła taka pochwała:

– Jaki tam charakter? Chyba zbójceki?

Lecz kapitan Larsen nie lubił drwiącego tonu swych pasażerów. Nagle znikł z jego twarzy uśmiech, oczy jego wodziły po obecnych zgryźliwym wejrzeniem i kapitan rzekł, jakby komuś rzucał obelgę:

– To są władcze owady, to są nadowady!

– Pajaki – wmieszałem się skromnie do rozmowy – nie są wcale owadami...

Chwila ciszy. Stężała w Larsenie jakaś jadłowita chęć zaczepki. Czuło się, że chciałby nas grzmotnąć. Ale opanował się.

Gdy w godzinę później odwiedziłem kapitana w jego kabinie, zastałem go w lirycznym usposobieniu. Czytał właśnie z przejęciem książkę angielskiego pisarza Stevensona pod tytułem: „Dr Jekyll i Mr. Hyde”, której bohater, jak wiadomo, przeżywał w sobie dualizm dwóch natur: dobrej – doktora Jekylla i złej – Mr. Hyde’a. Kapitan rozplątywał się w uprzejmości i usiłował załagodzić poprzedni nastrój. Wobec tego pozwoliłem sobie na zaczepny żart wskazując palcem na Larsena.

– Oto dr Jekyll: anioł, i równocześnie Mr. Hyde: diabeł.
– Nie! – kapitan pokiwał głową zamyślony i oświadczył nie bez dumy: – Tylko Mr. Hyde!

Mówił to poważnie, bez żartów.

Od kilku dni śledziłem pajaka z rodziny *Gasteracantha*, wyróżniającego się barwą i kształtem. Wspaniałe stworzenie było koloru lazuru i na niebieskim tle upstrzone jaskrawoczerwonymi cętkami. W oczy rzucała się jego groteskowa postać, gdyż z odwłoku wyrastały mu żółte, pałkowate kolce. Były kilka razy dłuższe niż sam pajak i przypominały jakiś osobliwy ogon. W przeciwieństwie do lykosiów, czyhających w pobliżu lamp, piękny pajak poruszał się zawsze powoli, z napuszczoną godnością i jak gdyby świadomy tego, że jest wśród swych szarych braci istnym pawiem.

Pajęczy Adonis jako jeden z najwcześniejszych, bo już o zachodzie słońca, prządl swoją kolistą pajęczyną. Potem ukrywał się i czatował w pobliżu. Nić jego sieci była szczególnie mocna; nie zrywał jej nawet napór większych motyli i szarańczaków. Pajak odznaczał się nadzwyczajną cierpliwością i wychodził z zasadzki dopiero wtedy, gdy w pajęczynie szamotało się kilka owadów. Do każdego z nich zbliżał się po kolei flegmatycznie, niedbałym ruchem i przytykał swoją głowę do więzienia, jak gdyby go całując. Był to fatalny pocałunek. Trwał zaledwie kilka lub kilkanaście sekund i wystarczył na wypicie soków żywotnych z nieszczęsnej ofiary. Następnie pajak wyrzucał ciało z pajęczyny i po dokonaniu sumiennego przeglądu wracał z godnością na swe stanowisko czekając tam wytrwale na przylot nowych ofiar.

Któregoś dnia przerwałem jego rozbójniczy byt. Piękny okaz, wcielony do moich zbiorów, sam stał się zdobyczą.

Za miejscowością Pucalpa kapitan Larsen poinformował mnie, że niebawem zajedziemy do pewnego czakrera-osadnika, wielkiego dziwaka, awanturnika i wykolejence. Był to Estończyk, który przed laty przybył z Europy i osiadł nad Ukajali. Straciwszy majątek, nie mógł wybrnąć z długów i wiódł nędzny żywot. Ze słów Larsena przebijała wyraźnie osobista niechęć do osadnika.

Następnej nocy poznałem Estończyka. Przyszedł na pokład wychudzony, wzbudzający litość biedaczysko o zniszczonej twarzy i zapadniętych oczach. Chciał kupić pudełko zastrzyków chininowych przeciw malarii. Nękała go choroba w ostatnim stadium. Ratować go mogły tylko zastrzyki. Ile kosztowały?

– Cztery sole! – rzekł Larsen.

– Mam tylko trzy sole – westchnął chory smętnym głosem.

– To ci zastrzyków sprzedać nie mogę. Albo... – i Larsen drwiąco uśmiechnął się w jego podsiniałe oczy – zrób wśród czolów i Indian w trzeciej klasie składkę dla siebie...

Na to szyderstwo Estończyk dostał ataku szału. Najpotworniejsze wyzwiska padały pod adresem Larsena, zachowującego niebywały spokój. Potem kapitan kazał marynarzom wyrzucić go, ze statku.

– Wyłożę za niego pieniądze – oznajmiłem Larsenowi chcąc przerwać przykrą scenę.

Kapitan zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

– Patrz pan swego nosa! – zasyczał. – Nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy.

Szalony osadnik nawet na lądzie nie przestał złorzeczyć. Podczas gdy powoli odbijaliśmy od brzegu, nadal miotał przekleństwa na statek i na kapitana. W gęstym

podszyciu leśnym nie było widać krzyczącego i naraz cała ta wrzawa nasunęła dziwaczne skojarzenie: to jak gdyby nie człowiek, lecz sama puszcza miotła przekleństwa na kapitana, na statek i na wszystkie lekarstwa.

Z nieukrywaną przyjemnością Larsen łowił odgłosy z lądu. Potem zaniósł się długim, szyderczym śmiechem.

Usunąłem się od tej sceny i idąc ku mej kabynie znów widziałem pająki zakładające sieci.

CZEŚĆ VI

OPARY PUSZCZY I HISTORII

22. KUMAM

Pewnego dnia o świcie chłopiec okrętowy otworzył gwałtownie maleńką kabinę i zbudził mnie ze snu:

– Proszę wstawać! Dobijamy do Kumarii!

Słowo jak pobudka, jak hasło. Zerwałem się z koi. Nareszcie po wielotygodniowej włóczędze na rzece dobijałem do celu mej peruwiańskiej wyprawy. Kumaria leży nad górnym biegiem Ukajali, o mniej więcej tysiąc osiemset kilometrów od Iquitos.

Kumaria: brzeg wysoki na kilka, miejscami na kilkanaście metrów, rozległa polana po wyciętym lesie, na polanie tuzin chałup z dzikiej trzciny cukrowej i jeden niski, rozległy dom murowany. To hacjenda Włocha Dolciego. Na tej hacjendzie pracowali przeważnie peoni ze szczepu Kampa. Dolci obchodził się z nimi po ludzku, ale fakt pozostawał faktem: byli to właściwie jego niewolnicy, a on ich panem. Za polaną hacjendy wszędzie puszcza. Rzeka, szeroka na blisko kilometr, dzika, pełna wirów.

Kumaria: cmentarzysko niedawnych polskich nadziei. Zwabieni wybujałymi opisami niesumiennych zapaleńców, przybyli tu koloniści z Polski marząc o lepszym jutrze, ponieśli sromotną klęskę, stracili wszystko i uciekli. Nie znieśli ciężkich warunków, jakie im narzuciła wroga puszcza, a przede wszystkim zła organizacja. Kilku ich jeszcze pozostało.

Kumaria: kipiąca, pijana puszcza, tu, niedaleko podnóży Andów, najbujniejsza. Tłok wrażeń: lśniące motyle, zjadliwe owady, piękne orchidee, dziwaczne ssaki, leniwce, węże. Kłęb zieleni: osławiony raj przyrodnika. Tu nareszcie wejść do środka puszczy i poznać, jak bije jej serce.

Tu dotarłem do zachodnio-południowego skraju tej najrozleglejszej na świecie puszczy tropikalnej. Gdyby stąd lecieć ptakiem na wschód, do Belem, będzie trzy tysiące kilometrów jednej, nieprzerwanej puszczy; gdyby lecieć na północ, ku stepom wenezuelskim – półtora tysiąca kilometrów nieprzebitego gąszczu; tylko na zachodzie las kończył się bliżej, o jakie ‘dwieście, trzysta stąd kilometrów, na wyżynnych punach Andów.

Na statku „Sinchí Roca” zatrzymały się maszyny. Czerwony marynarz rzucił pomost do brzegu. Powoli, prawie uroczyście wyszliśmy na ląd: Pedro, mały Czikinio i ja.

W pobliżu stało samotne drzewo, całe pokryte fioletowymi kwiatami. Na drzewie siedział ptak. Czarny tukan o olbrzymim pomarańczowym dziobie, niemal tak wielkim jak sam tułów ptaka. Gdy wychodziliśmy na ląd, skrzydlate dziwadło głośno zakrakowało głosem trochę podobnym do skrzeku naszych wron, i niechętnie odleciało do pobliskiego

lasu.

Leciała dziobata zjawą z nieprawdziwego zdarzenia, jaskrawy symbol leśnej niesamowitości, znak, że puszcza była tu rzeczywiście pijana.

23. POLUJEMY NA BINUI

– Jest mgła na rzece – tymi słowami zbudził mnie mój preparator i myśliwy, a zarazem prawa ręka do wszystkiego, Pedro Chuj utaili (czytaj Chuchutadzi), Metys, którego matka była Indianką ze szczepu Kiczuów.

– Czy przyszedł Valentin? – spytałem ubierając się.

– Nie ma jeszcze tego czoła! – odpowiedział Pedro z odcieniem pogardy, chociaż sam był czołem, czyli Metysem.

Pogarda Pedra do Valentina stała się palącym zagrożeniem mej wyprawy. Pedro przyjechał razem ze mną z Iquitos. W ciągu tych kilku miesięcy współpracy polubiłem go jako lebskiego i uczynnego towarzysza, choć trochę zamkniętego w sobie.

Gdy przed dwoma tygodniami przybyliśmy do Kumarii i zagospodarowali się na dobre, wziąłem do pomocy Valentina, młodego Metysa z tutejszego szczepu Kampów. Pedro był starszym i doświadczeńszym pracownikiem, lecz do tej zarozumiałej przewagi doszła jeszcze inna rzecz, już raczej kłopotliwa: megalomania szczepowa. Ponieważ Pedro pochodził z narodu Kiczuów, pół tysiąca lat temu stanowiącego ostoję państwa inkaskiego – spoglądał z góry na „dzikusa” Valentina, pochodzącego z leśnych Kampów. Musiałem użyć całej mej powagi, by Pedrowi wybić fumi z łepety. Nastął spokój, ale nie byłem całkiem przekonany, czy z Pedra wywietrzały wszystkie szczepowe uprzedzenia. Zatem tu, w dorzeczu górnej Amazonki, przyszło mi stwierdzić z humorem, że zadzieranie nosa to szacowny feblík, wyróżniający nie tylko pewne uprzywilejowane narody Europy.

Rzeka w nocy znów przybrała (kiedyż Ukajali przestanie wreszcie rosnać, to już potop!) i zatopiła nasze kanoe. Podczas wyciągania czołna z mułu zaczynało się rozwidniać – było wpół do szóstej rano. Zjawił się zaspany Valentin. Ruszyliśmy: ja siedząc w środku kanoe ze strzelbą, oni z przodu i z tyłu – wiosłując.

Mgła zakrywała nie tylko brzeg przeciwny, oddalony o blisko kilometr, ale i drzewa z tej strony rzeki. Najbliżej nas wyłaniała się z oparów palma *aguache*, śliczna, puszysta palma niby wspaniała strażniczka raju egzotycznego. Powiadają, że drzewo to, podobno najpiękniejsze w Peru, ma w sobie urok inkaskiej księżniczki zaczarowanej w palmę. Lecz daleko byliśmy od mitologii greckiej: nad Ukajali brakowało kochliwego Apollina i jego miłej Dafne zamienionej w drzewo. Kochliwy był tylko nasz Valentin, brązowy lowelas rodem z Kumarii, a nie z Olimpu.

Za tą palmą, w gęstych krzewach, budziły się pierwsze ptaki. Słyszeliśmy na razie dyskretne ćwierkanie wróblowatych i ospałe krzyki papug. Za to w miejscu, gdzie rzeka Binuja wpadała do Ukajali, rozlegało się co chwila donośne sapanie: to dwa półtorametrowe delfiny rzeczne, zwane bufeo, żerowały wesoło w wodzie i co kilkanaście sekund wypływały na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy, wynurzając do połowy swe lśniące cielska, wydawały z siebie głębokie westchnienia.

Wielka ilość delfinów w wodach Amazonki i jej dopływach była zadziwiająca. Nazwać by można owe piękne zwierzęta najznamienniejszą cechą tych wód. Ich obfitość tłumaczyła się może tym, że doznawały ze strony człowieka zupełnej ochrony: zabicie

buea przynosiło podobno nieszczęście, a spożywanie jego mięsa groziło trędem. Przetłumaczywszy to na język bardziej prozaiczny przypuszczałem, że mięso było niesmaczne dla człowieka.

Gdy przepływałem obok delfinów zaledwie o kilkanaście kroków, nagle Valentin poprosił mnie:

– Niech *usted* zastrzeli tego najbliższego!...

Odwrociłem się do niego zdziwiony; chyba żartował. Ale widać było z twarzy, że nie żartował. Pytając spojrzałem na Pedra.

– Valentin ma narzeczoną, która go zdradza! – wyjaśnił Kiczua powstrzymując drwiący uśmiech, a ja nic nie zrozumiałem, co jedno miało do drugiego: gdzie Rzym, gdzie Krym.

Valentin chciał zaprzeczyć, lecz w tej chwili uwagę naszą pochłonęły dwie czaple, siedzące niedaleko na drzewie. Były to tak zwane czaple królewskie, zupełnie białe, o żółtych dziobach i czarnych nogach. Stanowiły lepszą dla mnie zdobycz niż bufeo, który zraniony, zawsze nurkuje i uchodzi w głębiny.

Lecz czaple, płocze ptaki, miały się na baczości. Zerwały się z daleka i odleciały w głąb Binui. Zataczały nad jej brzegami wielkie koła, potem wracały w stronę Ukajali. Majestatycznym lotem zamierzały przelecieć tuż nad nami. Nieopatrnie! Huk strzału, wstrząsający puszcą, i jedna czapla spadała jak kula do wody.

– Dobry strzał! – usłyszałem z przodu i z tyłu pochwałę mych towarzyszy.

(O bufeach i narzeczonej Valentina zapomnieliśmy na śmierć. Dopiero w kilka dni później dowiedziałem się bliższych szczegółów tej sprawy. Oto zabobonni ludzie nad Ukajali niezłomnie wierzyli, że bufeo był najpewniejszym środkiem miłosnym. Wystarczyło wyciąć u samiczki bufea skórę części rodnych, nałożyć ją na swoją rękę jak bransoletkę i przytknąć potem na chwilę do ciała upragnionej kobiety, a skutek piorunujący: urzeczona bogdanka, trawiona miłością, szaleć będzie z tęsknoty. Valentin, siedemnastoletni uwodziciel ukajalski, potrzebował skórki bufea).

Wpłynęliśmy do Binui. Niezbyt szeroka, za to głęboka rzeka pozwalała nam ostrzeliwać z łodzi obydwie brzegi. Wobec wzbierających nurtów Ukajali Binuja płynęła teraz w odwrotnym niż zwykle kierunku, od ujścia ku źródłom.

Nagle przeżyliśmy chwilę osobliwych przemian w powietrzu: przyziemne dotychczas tumany mgły wznosiły się ponad puszcę i, dotychczas szare, zaczęły lśnić intensywnym różowym blaskiem. Unosiła się nad nami jak gdyby kopuła z miliona świecących róż. Potem mgła rozpułnęła się i pierwsze promienie słońca padały na wierzchołki drzew. Przed chwilą jeszcze było nam chłodno jak w poranek lipcowy w Polsce. Teraz w ciągu kilku minut nastały tropikalne upały. Pot lał się z czoła.

Na błotnistej kępie leżał dwumetrowy kajman, kłoda utajonej groźby. Nie spał. Gdy zbliżyliśmy się na dwadzieścia kroków, podniósł łeb i leniwym ruchem zsuwał się do wody. Aż dziw brał, że w tak małej rzece, o połowę węższej niż Warta pod Poznaniem, żyły tak wielkie potwory. Nie strzelałem do kajmana, bo chodziło mi o ptaki.

A ptaków było sporo. Tuż niedaleko miejsca, gdzie leżał gad, żerowało na roślinach rzecznych kilka pięknych kurek wodnych *jasana*, jak gdyby nieświadomych czyhającego na nie niebezpieczeństwa. Ruchliwe, jaskrawobrązowe ptaki o żółtych pod spodem skrzydłach były uosobieniem wdzięku i wesołości. Po polsku zwały się długoszpunami kasztanowatymi, gdyż przyroda obdarzyła je długimi, karykaturalnie długimi palcami, dzięki którym ptaki mogły utrzymywać się na liściach roślin na powierzchni wody.

Jasany, które widzieliśmy, biegały chyżo z liści na liście, mało zważając na naszą obecność. Dopiero na odgłos strzału Pedra wzleciały, lecz zaledwie sto kroków dalej znów opadły. Dziwna beztroska; czyżby beztroska kłamliwego raj?

Wciągnęliśmy zabitą kurkę do kanoe i już Pedro gotował się do następnego strzału, gdy nad nami przeleciał wielki jak jastrząb zimorodek, *Martin pescador*. Siadł na gałęzi niedaleko jasan.

A tu odezwał się w pobliżu inny ptak: „tok, tok”, bijący jakby młotem o drzewo. Żółty dzięcioł. Najcenniejszy to ze wszystkich ptaków dokoła, więc płynęliśmy w jego stronę.

Przyczepiony do pnia, uderzał zawzięcie w korę, lecz zanim podniosłem fuzję do strzału, ptak odleciał w głąb lasu na następne drzewo. My za nim.

Wpłynęliśmy między pnie i nagle otoczył nas zupełnie odmienny świat. Niezwykły widok powodzi w zielonym półmroku. Gdziekolwiek spojrzeć, z wody wyrastały drzewa. U góry, wśród konarów, było wiele światła i ptasich odgłosów, lecz tu, na dole, nieruchoma woda uwięziła w swej martwej tafli wszystkie pnie drzew i wszystkie krzewy: to jakaś niesamowita wizja potopu w dzień Sądu Ostatecznego, urojona gorączką średniowiecznego artysty. Tu drzewa jak gdyby nie należały do ziemi. W ich nienaturalnej ciszy legła się wroga zaduma. Wzbierało uczucie, że gdzieś tu czyhała jakaś zdrada, groziła zasadzka. Zasadzka na kogo, na co? Było to wrażenie wynikłe zapewne z podnieconej wyobraźni, a jednak za chwilę okazało się, że nie pozbawione słuszności.

Łódź przeciskała się między wilgotnymi pniami; gdzieniegdzie krzewiaste podszycie utrudniało nam pościg. Mimo to posuwaliśmy się naprzód. Tak podobno moglibyśmy płynąć pod drzewami w jednym kierunku przez wiele dni; las był zatopiony na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, a może i więcej.

Dzieciół lecąc z pnia na pień uwodził nas coraz dalej w głąb puszczy. Przed nami wyłoniła się jakaś mała wysepka, w której gąszczu ptak się ukrył i stukał. Dalszy pościg łodzią był niemożliwy. Pedro sięgnął po strzelbę i wyskoczył na ląd. Po chwili rozległ się jego strzał.

– Mam go! – zawołał Metys, lecz potem nagle usłyszeliśmy jego okrzyk przerażenia i odgłos panicznej ucieczki w naszą stronę. Z zieloną od przestachu twarzą, Pedro wyskoczył z zarośli, wpadł do łodzi i gwałtownie odepchnął ją od kępy krzyczac:

– *Czuszupi!* Goni mnie!

Za myśliwym usłyszeliśmy trzask i skrzypy i ujrzeliśmy ruch gałęzi tuż przy ziemi. Wąż migał wśród roślin w sprężystych skokach, jak gdyby rzeczywiście ścigał Pedra. Poznałem go po kolorze. Był to w istocie czuszupi, jasnobrązowy postrach ukajalskich lasów, wąż ponoć straszliwie jadowity i jedyny, napadający na człowieka.

Czuszupi! Żywo stanęło mi w pamięci zajście, o jakim kilka dni temu opowiadał mi osadnik Baranowski, mój obecny gospodarz. Gdy pewien młody Metys przechodził tuż niedaleko jego chaty, z krzewów, które właśnie mijał, wypadł trzymetrowy czuszupi i śmigał wprost na chłopaka. Ten ledwie uskoczył. Dał kilka susów i ukrył się w otwartej chacie Baranowskiego. Czuszupi za nim. W chacie nikogo nie było. Metys wybiegł drugimi drzwiami, które zatrzasnął za sobą, i wielkim krzykiem uderzył na trwogę. W pobliżu pracowali ludzie. Zbiegli się; dwóch miało strzelby. Rozwścieczony wąż wypadłszy z chaty runął w ich kierunku jak gdyby w zamiarze ataku. Myśliwi, na szczęście, nie stracili zimnej krwi. Strzałami z odległości kilku kroków położyli bestię trupem.

Podczas gdy wspomnienie tych wypadków błyskiem strzeliło mi do głowy, z rąk Pedra wyrwałem dubeltówkę. Czy wąż w istocie myślał napaść na nas? Był tuż, przedzierał się przez krzaki, stojące na pół w wodzie. Strzeliłem do niego bez celowania. Bryzgi wody prysnęły dokoła, przez chwilę zakotłowało się w krzakach i w głębinie, potem nastąpiła złowroga cisza: gdyby nie bańki na powierzchni wody, nic nie świadczyłoby o tym, że rozegrało się tu coś, co rozdarło na chwilę mroczny spokój tych drzew.

Pedro nerwowo wiosłował, by uciec z zagrożonego miejsca. Tymczasem Valentin siedział nieruchomo z tyłu łódki, a potem zaczął śmiać się nieludzkim, jęklwym śmiechem. Pedro wołał na niego, żeby zabrał się do wiosła. On nic, śmiał się nadal, przy czym niebezpiecznie wstrząsał całą łodzią. Odwróciłem się zaniepokojony. Chłopaka ogarnął szal. Śmiał się z przerażenia, w oczach miał jakiś obłęd.

– Milcz, psiakrew!!! – krzyknąłem z całych sił.

To poskutkowało. Valentin zamilkł i posłusznie chwycił za wiosło. Tylko szczękały mu zęby.

Zbliżaliśmy się do krawędzi lasu i przed nami poprzez pnie zamajaczyła już tu i ówdzie jaskrawa plama rzeki. Wtedy Pedro nagle przestał wiosłować i, skulony na przodzie łodzi, trwał bez ruchu.

– Halo, Pedro! – zawołałem na niego.

Żadnej odpowiedzi prócz głuchego jęku. Metys znieruchomiał jakby w stanie

katalepsji.

– Pedro, wiosłuj!

On starał się odwrócić twarz do mnie, na próżno. Natomiast zaczął się trząść. Drgał coraz bardziej i widocznie nie mógł tego opanować. A jednocześnie za mną Valentin wpadł znowu w głośny szloch i rzucał się porywczo. Wyrwałem z jego rąk wiosło, ale wówczas poczułem z osłupieniem, że ręce moje osłabły i także się trzęsły. Trudno było mi wiosłować.

Wtedy doznałem nagle jakiegoś wstrząsu. Zbudziło się we mnie zdumienie, strzeliła mi błyskawiczna refleksja:

Czyżby to masowa histeria?... – spytałem siebie ze zdziwieniem, ba, już nawet z pewnym rozbawieniem.

Nie, już nie masowa. W czas się opamiętałem. Zwyciężyło poczucie rzeczywistości i zbawczego humoru. Było jak powiew rozsądku, przepędzający strachy tropikalnej puszczy i przywracało mi równowagę. Ręce przestały drżeć i mogłem od nowa wiosłować.

Po chwili wydostałem łódź z lasu na otwartą przestrzeń rzeki. Dobiłem do najbliższej kępy ziemi, by na świeżym powietrzu odsapnąć i wyprostować członki. Jasne słońce i wietrzyk na Binui okazały się dla mych towarzyszy lekarstwem również krzepiącym, jak przed chwilą dla mnie przebłysk humoru. Po kwadransie przyszliśmy całkowicie do siebie.

– Czuszupi – tłumaczył mi z przejęciem Pedro nabierając znów kolorów na twarzy – czuszupi jest straszny wąż! *Usted* sam widział, że jego jad zatruł nas nawet na odległość!

– Aha! – przyznałem mu słuszość. Powstała nowa legenda.

24. OKRUCIEŃSTWO

W roku 1531 – żeby przypomnieć ówczesne wypadki – hiszpański awanturnik, Francisco Pizarro, wyruszył na czele stu osiemdziesięciu pięciu zabijaków i trzydziestu ośmiu koni, by podbić Peru, wielkie państwo indiańskie o rozwiniętej kulturze, niesłychanym bogactwie i niezłej organizacji wojskowej. Po wylądowaniu, wykorzystując właśnie między dwoma braćmi pretendującymi do tronu, spotkał się w Cajamarca z inkaskim królem Atahualpą, otoczonym wielkim orszakiem dworzan i trzydziestotysięcznym wojskiem. Pizarro, nie bawiąc się wielce w ceregiele wypowiedania wojny, dworzan wyciął, wojsko zdziesiątkował, a króla, syna boga słońca, wziął do niewoli.

– Złota! – wołali Hiszpanie.

Atahualpą zaproponował za zwrócenie mu wolności okup w takiej ilości złota, ile się zmieści w komnacie, w której właśnie byli, do wysokości podniesionej ręki stojącego człowieka. A komnata miała pięć na siedem metrów. Pizarro się zgodził, lecz gdy otrzymał złoto, nie myślał dotrzymać słowa. I wtedy cynizm doszedł do szczytu: hiszpańscy konkwistadorzy, mistrzowie bestialstwa, ucinania rąk i wypalania oczu, obłudnie oskarżyli króla inkaskiego o rzekome okrucieństwa wobec brata rywala i skazali go na karę śmierci przez spalenie na stosie. Przed śmiercią jednak, za cenę przyjęcia wiary chrześcijańskiej, obiecali mu ulaskawienie: że śmierć zadadzą mu nie na na stosie, lecz przez uduszenie. Atahualpą został ochrzczony, a następnie uduszony.

Korona hiszpańska wzbogaciła się o dwie rzeczy: o kraj bajecznego złota i liść

wątpliwej sławy.

Był w oddziale, który następnie poszedł zdobywać stolicę Cuzco, młody porucznik o płomiennych oczach i pełnym zapału sercu. Pewnego razu dostał rozkaz zabicia indiańskich jeńców, lecz rozkazu nie spełnił, gdyż na skraju polany ujrzał biały, piękny kwiat. Porwany jego czarem, klęknął i zaczął żarliwie się modlić. Gdy to zauważył dowódca oddziału, Alrnagro, podszedł, przeżegnał się, kwiat zerwał i podeptał, jeńców kazał natychmiast zgładzić, a porucznika oddał pod sąd wojenny. Młodzieńca skazano na śmierć, lecz biały kwiat nie poszedł w zapomnienie. Hiszpanie spotykali go często na swej drodze. A ponieważ podobny był do białego gołębia i piękno jego napełniało ich serca wiarą w zwycięstwo, nazwali go „kwiatem Ducha Świętego” i pod jego urokiem wycinali w pień mieszkańców zdobytego kraju. (Nauka nazwała ten nadobny a tragiczny storczyk – oczywiście znacznie później – *Peristeria elata*).

Wieści o legendarnych bogactwach złota w dolinie Amazonki przez długie lata nie dawały spokoju hiszpańskim konkwistadorom. Podróż Orellany po wielkiej rzece, jego przygody u ujścia Rio Negro i jego tajemnicza śmierć do tego stopnia rozpały ich wyobraźnię, że w roku 1560 wicekról Limy, Mendoza, wysłał w nizinne puszcze nową wyprawę na podbój krainy El Dorada.

Na jej dowódcę wyznaczył szlachetnego rycerza Pedro de Ursua, a wzięło w niej udział trzystu Hiszpanów, “między nimi najniesforniejsze zabijaki na ziemi amerykańskiej. Rzeką Hual-laga dotarli na czołnach do Amazonki i płynęli dalej, ale gdy mijały tygodnie i miesiące i zamiast złota wędrowcy napotykali jeno grozę parnej puszczy bez końca, zaczęło się ich szaleństwo. Srożyły się zdrady i zbrodnie, jak gdyby w gromadzie straceńców, otoczonych wrogim światem dręczącej przyrody, skupiła się cała występność hiszpańskiej kolonizacji.

Złym duchem wyprawy był Francisco Lope Aguirre, wyrodek obłąkany żądzą mordu. Na czele podjudzonych buntowników sterroryzował resztę Hiszpanów, uwięził Ursuę i kazał go zgładzić podpisując się szydlerczo na wyroku śmierci: „Aguirre – zdrajca”. W miejsce zabitego mianował dowódcą wyprawy Fernanda de Guzmána, swego popiecznika.

Płynęli dalej w dół Amazonki doznając głodu, szerząc przerażenie, mordując Indian, paląc i grabiąc – stado wściekłych wilków szarpiących wszystko dokoła i siebie wzajemnie. Gdy kilkunastu zdrowiej myślących oficerów sprzysięgło się przeciw upiornemu tyranowi, kazał ich wymordować. Aguirre uśmiercił również piękną Inez, dlatego że była przyjaciółką zgłodzonego Ursuy. W marcu 1561 roku, w sercu amazońskiej puszczy, gdzieś niedaleko ujścia Rio Negro, szalenie uroczystym aktem ni mniej, ni więcej tylko wyzuł hiszpańskiego króla Filipa II z jego posiadłości amerykańskich i księciem Peru mianował Guzmána. Ale wkrótce i „księcia” kazał zarżnąć w wyniku jakiegoś poróżnienia i sam stanął na czele.

W tym okresie już wszystkich pozostałych przy życiu uczestników makabrycznej wyprawy, oczadzonych na umyśle, ogarnął obłęd. Aguirre kazał na Amazonce zbudować okręty z zamiarem dokonania powtórnego podboju Ameryki i przepędzenia królewskich gubernatorów. Zrazu wszystko szło zadziwiająco po jego myśli. Mordując od czasu do czasu któregoś z towarzyszy dobrnął ze swą flotą do Atlantyku, pośpieszył morzem na północ, zdobył iważną wówczas na Morzu Karaibskim wyspę Margaritę, uwięził jej

gubernatora i przerzucił się na stały ląd. W bezprzykładnym zuchwalstwie Aguirry była taka moc urzekająca, że przyciągnął pod swą banderę wielu zatracieńców, i to niekoniecznie szumowiny, a sam gubernator Nowej Andaluzji uważał za roztropne wycofać się pod jego naporem.

Ale niedługo trwała świetność samozwańca. Siłą jego, zbudowana na szaleństwie, sama od wewnątrz uległa rozkładowi. Towarzysze furiata, niepewni dnia ani godziny, zaczęli otrząsać się spod jego uroku. Gubernator w Caracas przyrzekł im amnestię w razie unieszkodliwienia herszta. Usłuchali go. Aguirre zginął z ich własnych rąk, ale zanim to nastąpiło, jeszcze zdążył zamordować swą córkę, „ażeby nie wytykano jej, iż miała ojca zdrajcę”.

Przygodny obłęd narwańca? Przypadkowe dzieje garstki zawiedzionych poszukiwaczy skarbów, oszalałych w puszczy? A czy od pierwszych chwil podboju wszyscy konkwistadorzy nie dawali stale dowodów jakiegoś pomieszania umysłu, objawiającego się w ich niezwykłych czynach i wiecznych buntach, w ich okropnej żądzy niszczenia, w ich chorobliwych snach o złocie i panowaniu, w ich monstrualnej chciwości?

Ojciec Pedro de Aguado w swoim dziele: „Historia de Venezuela”, ukończonym w 1581 roku, opisuje przygody hiszpańskiego kapitana Gascuny i jego oddziału, przygody potwierdzone zresztą przez innych współczesnych kronikarzy.

Hiszpańscy i niemieccy konkwistadorzy urządzili na Indian w okolicy zatoki Maracaibo „szczęśliwą” wyprawę, uwieńczoną wielu rzeziami i zdobyciem okazałej ilości złota. W drodze powrotnej część wojska pod wodzą kapitana Gascuny zbłądziła w puszczy i głód zajął jej w oczy. Osłabieni jeńcy nie mogli już dźwigać złota, więc zakopano je w ziemię. Gdy w dalszym pochodzie Hiszpanie nie znaleźli pożywienia, zaczęli zabijać jeńców, Indian i Indianki, i jeść ich ciała. Pokrzepiło ich to na pewien czas, wszakże i to źródło się wyczerpało. Wtedy brnęli dalej rozprasając się w drobnych gromadkach w nadziei łatwiejszego znalezienia pokarmu.

Z kapitanem Gascuną przebijają się czterech Hiszpanów. Mieli szczęście. Na rzece napotkali życzliwych Indian, płynących na tratwie z wielkim zapasem jarzyn i kukurydzy. Skończyła się udręka: od dobrodusznym ludzi dostali tyle, że mogło im starczyć do końca drogi.

Wtedy stała się wstrząsająca rzecz. Uratowani chcieli obok warzyw i kukurydzy jeść mięso, ale Indianie nie posiadali go. Więc Hiszpanie znienacka jednego z nich zatłukli i zaraz na miejscu usmażyli.

Zjedli część ciała – kończył sumienny kronikarz – zostawiając resztę na dzień następny.

Pewnego dnia, polując na ptaki w puszczy kumaryjskiej, odkryłem przy ścieżce na gałązce młodego drzewa *setiki* wielki okaz modliszki. Już zamierzałem wsadzić ją do szklanki z trucizną, gdy na końcu tej samej gałęzi dostrzegłem inne stworzenie, mianowicie chrząszcza jednoroga z rodziny dynastesów. Zrozumiałem sytuację: modliszka, najdrapieżniejszy z owadów, odcięła dynastesowi odwrót na drzewo i gotowała się do napaści.

Chrząszcz mógł łatwo odfrunąć, ale tego nie uczynił, natomiast nasrożył się i wojowniczo skierował w stronę modliszki swój długi, ostro zakończony róg. Szansę walki były mniej więcej równe: drapieżności modliszki przeciwstawiał się twardy, chitynowy

pancerz dynastesa.

Kilkuminutowa obserwacja nie dała wyniku. Owady, zapatrzone w siebie, nie ruszały się z miejsca. Poszedłem na polowanie, a gdy po godzinie wróciłem, zastałem ku swemu zdziwieniu sytuację nie zmienioną. Groźnie wzniesione, długie, jak szczypce, przednie nogi modliszki sterczały w powietrzu wciąż bez najmniejszego ruchu, jak gdyby straszliwe kolce zanosily upiorną modlitwę o śmierć i pożarcie ofiary. Jakże głęboka musiała być zawziętość tych dwóch owadów, skoro kazała im czyhać na siebie od przeszło godziny, w bezustannym napięciu, zaledwie o kilka centymetrów od siebie!

Gdy wróciłem w dwie godziny później, dramat na liściu setiki dochodził do punktu szczytowego. Zastałem takie położenie: dynastes przebił swym rogiem na wylot odwłok modliszki. Z jej rozdartego brzucha wypływały zielonkawe wnętrzości. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziłem, że także i dynastes był stracony. Modliszka znalazła między odwłokiem a tułowiem przeciwnika najsłabsze miejsce, przegryzła je, wtargnęła głową do środka jego ciała i wyżarła już wielką jamę.

Najciekawsze i potworne było to, że owady, pomimo zadania sobie śmiertelnych ran, nie ustawały w walce. Nienawiść, która rzuciła je przeciw sobie, trwała dalej w rozdartych ciałach. Miarowym, niestrudzonym ruchem swych szczęk modliszka wgryzała się wciąż w odwłok dynastesa i połykała jego wnętrzości, ażeby następnie wydalić je z otwartej rany na odwłoku, skąd spływały po rogu chrząszcza. Tymczasem chrząszcz czynił daremne wysiłki pochwycenia jej tułowia swymi żuchwami: nie udawało mu się i zadowolić się musiał jej nogami, które obgryzał. Wyżeranie sobie ciała trwało niezmiennie przez kilka godzin aż do nocy. Następnego dnia z walczących owadów nie pozostało żadnego śladu, z wyjątkiem jednej pokrywy dynastesa. Reszta posłużyła innym mieszkańcom puszczy za pokarm.

25. UPARTY BÓJ

Czy Indianie peruwiańscy nie buntowali się przeciw obcym panom, czy nie usiłowali uwolnić się od jarzma, jakie narzucili im Hiszpanie?

Wszyscy znamy heroiczne walki Indian północnoamerykańskich z najeźdźcami angielskimi, ale mało lub nic nie wie się o tym, jak było przez wieki kolonialne w Peru lub Meksyku, tam właśnie gdzie przed podbojem żyły liczne, najkulturalniejsze ludy indiańskie. Stronniczy pisarze dziejów, wrogo usposobieni do tubylców, starali się wmówić światu, że owi Indianie, po złamaniu ich początkowego oporu przez hiszpańskich konkwistadorów, raz na zawsze poddali się losowi i pogodzili z niewolą niby zahukane stado potulnych baranów. Jakież kłamstwo, jak niesprawiedliwy sąd!

W rzeczywistości od pierwszych lat obcego panowania po dzień dzisiejszy wrzenie nigdy nie ustawało. To tu, to tam zrywali się deptani ludzie i jakkolwiek Hiszpanie z zacięłością mordowali ludność obracając w perzynę całe okolice, po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach Indianie od nowa porywali się do broni – broni zawsze lichtszej niż miecze oprawców – i od nowa ginęli.

W roku 1571 Tupak Amaru z rodu Inków wznicił powstanie peruwiańskich chłopów, ażeby uwolnić kraj i przywrócić dawne rządy. Hiszpanie, pomimo że już przez czterdzieści lat twardo władali podbitym krajem, znaleźli się w opałach. Dopiero wypróbowanym sposobem uciekwszy się do haniebnej zdrady, przełamali opór powstańców. Mianowicie zwodząc Tupaka Amaru rzekomym zamiarem zawarcia z nim

pokoju, zwabili go na wspólną naradę, uwięzili – tak samo podstępnie jak ongiś Francisco Pizarro Atahualpę – i publicznie ścięli mu głowę. Taka otchłań zdrady była dla prostych Indian czymś potwornie niezrozumiałym i podziałała podobnie jak ongiś śmierć Atahualpy: poraziła ich siłę oporu zabobonnym przerażeniem. I już nietrudno było Hiszpanom rozgromić przeciwników.

Nie tylko ciężka pańszczyzna Indian na hacjendach i w kopalniach, ale i nadużycia władzy ze strony urzędników często wywoływały zbrojne bunty. Na karb osławionych repartimientos – owego przymusu nabywania od prefektów drogich towarów, a bezlitosnej kary w razie niewykupienia ich – na karb owego nieludzkiego wyzysku zaliczyć można niejedno krwawe powstanie.

W roku 1742 kraj ogarnęła nowa pożoga, szalejąca zwłaszcza we wschodniej części Andów, graniczących z niziną puszcza dorzecza amazońskiego. Tam ucierpiały także misje franciszkanów, gdy Indianie się przekonali, że misjonarze szli ręką w rękę z ich ciemiężcami. Na terenie Indian Chunchu (czytaj: Czunczo) zniszczono wszystkie osiedla misyjne.

Z tej samej przyczyny: rozpacz Indian, spowodowanej srogimi repartimientos, w czterdzieści lat później wybuchło powstanie, chyba największe i najkrwawsze tego rodzaju w Ameryce. Doprowadzeni do ostateczności chłopcy w departamentach Chayanta i Tinta porwali się na swych prześladowców. Było to w roku 1780. Gdy na czele Indian stanął głośny potomek Inków, tego samego imienia co wódz sprzed dwustu lat, Tupak Amaru II, świetny organizator i waleczny żołnierz, w krótkim czasie burza ogarnęła olbrzymie połacie Peru. Przeszło sześćdziesiąt tysięcy Indian chwyciło za broń, głównie w okolicach Cuzco, dawnej stolicy Inków – potęgą, której Hiszpanie peruwiańscy nie potrafili zdusić. Na gwałt sprowadzali rezerwy wojskowe z Santiago i nawet z dalekiego Buenos Aires, ale i one natrafiały na nieprzewidywany opór. Miedziani wojownicy walczyli z niewzruszonym męstwem i zacięłością. Kraj pustoszał; Hiszpanie tracili wielu żołnierzy; ziemia usuwała im się spod nóg.

Przekonani, że orężem nie tak łatwo dadzą rady, zaproponowali Indianom zawieszenie broni obiecując ogólną amnestię dla wszystkich walczących. Rzecz prosta, że w tej okrutnej wojnie Indianie ponosili ogromne straty, wróg bowiem mordował wszystko, co mu wpadało w ręce. Jakkolwiek nie pokonani, przecież zmęczeni, pragnęli pokoju. Więc nie odrzucili ręki podanej im – jak mniemali – do przyjaznej zgody. Zapomnieli o nauce przeszłości: padli ofiarą tej samej zdrady co przed dwustu laty. Zaledwie Tupak Amaru II, ufny w dane słowo, ujawnił się wrogom, wiarołomni Hiszpanie złapali jego i towarzyszących mu wodzów nie myśląc dotrzymać przyrzeczenia.

Na wzór szalejącej w owych czasach inkwizycji urządzili na Plaża Central w Cuzco krwawe widowisko. Spędzili na nie tysiące Indian, żeby widzieli, jaką karę ponosi buntownik, występujący przeciw hiszpańskiej władzy. Masy otaczały taką cziłą ukochanego wodza, że pomimo zakazu wszyscy padli przed nim na kolana, gdy kaci prowadzili go na śmierć. Ażeby złamać mężne serce Indianina, zadusili na jego oczach najpierw żonę, dzieci i najbliższych krewnych. Następnie wyrwali mu język i czterema końmi rozdarli jego ciało, by w końcu wszystko spalić na popiół.

Śmierć Tupaka Amaru II wywołała nieoczekiwany przez Hiszpanów skutek. Spodziewali się, że jak przed dwustu laty, tak i obecnie błąd strachu padnie na Indian i skruszy ich siłę oporu. To nie nastąpiło. Podczas wieloletniej niewoli naród poznał

dostatecznie swych władców i zahartował się przeciw ich srogości. Więc nowe zastępy rzuciły się do walki. Bój wrzał ze zmiennym szczęściem. Trwał dwa lata. Powstańcy przez trzy i pół miesiąca oblegali warowne miasto La Paz. Tymczasem Hiszpanie ściągali z Europy świeże wojska. Ze wszystkich stron kolonii śpieszyły do nich posiłki. Pomimo heroicznej obrony Indianie ostatecznie ponieśli klęskę i od nowa popadli w jarzmo.

Zwycięzcy postanowili odebrać im jakąkolwiek otuchę na przyszłość. Wyłapali wszystkich żyjących potomków Inków, jakich mogli wytropić, i wywieźli ich do Hiszpanii. Tam resztki wielkiego ongiś rodu wyginęły w lochach więziennych.

Gdy w pierwszych latach XIX wieku Ameryka Łacińska szybko dojrzewała do rewolucji wyzwolenczej przeciw europejskim metropoliom, Hiszpanii i Portugalii, kierownictwo ruchu przechwycili Kreolowie, biali ludzie urodzeni w Nowym Świecie. Ale do tej walki porwały się również masy ludowe, pomimo że wyzyskiwane były tak samo bezwzględnie przez Kreolów, jak przez zamorskich panów. Indianie i Murzyni wierzyli, że usunięcie jarzma władców europejskich przyniesie poprawę ich warunków bytu. Zryw rewolucjonistów pod wodzą Bolívara i San Martína stanowi słuszną dumę całej Ameryki Południowej, warto jednak przypomnieć charakterystyczny fakt, że w Peru nie Kreole pierwsi uderzyli na potęgę Hiszpanów, lecz Indianie.

Mianowicie mieszkańcy słynnego Cuzco, wsławionego niejednym już buntem Indian, powstałi w roku 1814 przeciw władcom hiszpańskim, przekonani, że nadeszła i dla Peru chwila wyzwolenia, a peruwiańscy Kreole uderzając tak samo jak oni wesprą ich ruch. Nie wsparli. Kreole nie byli tu jeszcze przygotowani, a może przelękli się, jak w Meksyku, burzy ludowej. Czterdzieści tysięcy samych Indian pod wodzą Pomakaguy walczyło dzielnie przeciw przewadze Hiszpanów, a chociaż boliwijscy chłopci także chwycili za broń, hiszpańskie wojska regularne stłumiły powstanie. Gdzie indziej kontynent południowo-amerykański stał już dawno w płomieniach.

Poczęte w 1824 roku republikańskie Peru zawiodło nadzieje szerokich mas ludowych. Ich dola raczej pogarszała się z pokolenia na pokolenie w pętach dwóch grup dzierżących władzę: obszarników, zajmujących całą prawie ziemię, oraz obcych towarzystw, rabujących naturalne bogactwa kraju.

W Kumarii często spoglądałem poprzez Ukajali daleko na zachód. Tu, we wschodnim Peru, u stóp Andów, nie tylko brały początek największe rzeki świata, nie tylko puszcza amazońska szalała najbujniej, najrojnziej pieniał się świat zwierzęcy, ale nawet atmosferyczne burze, rozbijające się o ściany Kordylierów, były gwałtowniejsze. Mało istniało okolic na świecie, gdzie by tyle nagromadziło się żywiołów przyrody, tak pełnych niepohamowania. Był to jak gdyby sztafaż do dramatu tytanów, i w istocie wielki dramat rozegrał człowiek na tym tle – i wciąż jeszcze rozgrywa.

Tu, w Kumarii, było parno i gorąco. Ale bywały niektóre godziny popołudniowe, rzadkie zresztą, o tak czystym powietrzu, że można było dostrzec daleko na zachodzie pasma i szczyty gór; czyżby Andów, oddalonych od nas, jak przypuszczałem, jeszcze o sto pięćdziesiąt, może dwieście kilometrów? Nie dowiedziałem się, i także mieszkańcy Kumarii nie mogli dać mi dokładnej odpowiedzi. Przecież widok tych gór podniecał. Nie potrzeba było wielkiej wyobraźni, by uświadomić sobie, że tam rodziły się kiedyś wielkie kultury Indian i tam była kolebka ich minionej potęgi. I zaraz nasuwało się pytanie: czyżby minionej na zawsze, jak tego pragnęli wrogowie czerwonej rasy?

CZEŚĆ VII SZALEJĄCY PRZEPYCH

26. KWIATY, KTÓRE PORUSZYŁY BRYTYJCZYKÓW

Gdy Rabindranath Tagore miał dwanaście lat, podobno zadano mu w szkole pytanie, co Brytyjczycy zdziałali w ostatnich stu latach. Mały Hindus odpowiedział, że ujarzmili Indie, odkryli siłę pary i pokochali orchidee.

Fajka w zaciśniętych ustach, szkockie ubranie w kratkę, oschłość, małomówność i zarozumiałość – to niekoniecznie słuszne, a przynajmniej przesadne właściwości, w jakie obcy stroili wszystkich Brytyjczyków. Cechy te dotyczyły raczej tylko pewnej części narodu, może klas tak zwanych średnich i wyższych, natomiast ogół Brytyjczyków mało co miał z tym wspólnego.

Jak wiadomo, era królowej Wiktorii w XIX wieku była okresem niebywałego nagromadzenia bogactw w Brytanii. Korzystne wyniki wojen, rozkwit wolnego handlu i komunikacji na wszystkich szlakach świata, coraz sprawniejsza eksploatacja innych ludów i klasy robotniczej we własnym narodzie, a równocześnie żywiołowy rozwój przemysłu angielskiego – słowem: wzrost dobrobytu wytworzył w Brytanii sferę bogatych, nazwaną przez nich samych z dumą *leisured classes* – próżnującymi klasami. Owe *leisured classes* w końcu nie wiedziały, na co jeszczełożyć pieniądze i jakim oddawać się dziwactwom. Wielkie podróże dookoła ziemi, polowania na lwy w Afryce, na tygrysy w Azji, luksusowe jachty i wszelkiego rodzaju wyścigi już nie rozpraszały należycie ich znudzenia i spleenu. Potrzebne były bardziej wyszukane ekscentryczności; jedną z nich stała się namiętność do storczyków.

Kultem, sportem, psychozą, bzikiem czy wentylem bezpieczeństwa – nie wiadomo, jak nazwać owo upodobanie Brytyjczyków do orchidei. Istniało u nich od półtora wieku, a w połowie XIX wieku rozgorzało najokazalszym płomieniem, który do dziś bynajmniej nie wygasł. Ktokolwiek będzie badał historię rządzących klas Brytanii w ostatnich stu pięćdziesięciu latach, nie może pominąć dziwnego kompleksu. Po zdobyciu Indii i zgnieceniu Napoleona trzeźwy naród po trosze poddał się urokowi powabnych *Cattleyi*, *Odontoglossum* i *Oncidium*.

Lecz niezależnie od kapryśnego afektu Brytyjczyków storczyki zajmują w królestwie roślin wyjątkową pozycję. Nie dość, że są to piękne kwiaty, ubrane w fantastyczne nieraz kolory o szerokiej skali tonów, od mocnych i śmiałych do najsztudniejszych; nie dość, że wydzielają zapachy od woni fiołków i tuberoz począwszy aż do fetoru gnijącego mięsa; że często posiadają groteskowe kształty, niby pokręcone dziwolągi; nie dość, że dotyk mięsistych kwiatów pozostawia na palcach osobliwe, zmysłowe wrażenie i że rozwarte kielichy przypominają spragnione pocałunku usta (i nie tylko przypominają, lecz są ustami wabiącymi kolibry i motyle) – orchidee mają jeszcze w sobie nieuchwytny czar, jak gdyby pochodzący od żywej, kuszącej osobowości. Róża jest jednym z (najpiękniejszych kwiatów, lecz człowiek obdarzył ją zbyt oklepaną symboliką i odebrał jej urok prostoty. Natomiast do orchidei człowiek podchodzi jak do istoty żywej, impulsywnej: zbliżenie się do niej może być przeżyciem lub przygodą, która nie wiadomo jakie wyryje ślady i gdzie się skończy.

Podczas naszych włóczęg myśliwskich w okolicy Kumarii prawie co dzień

odkrywaliśmy nowe dla nas gatunki storczyków. Przeważnie miały kwiaty skromne, szare lub żółtawe. Lecz nagle, gdy człowiek najmniej się spodziewał, wzrok padał na wspaniałe okaz, ukryty wśród gałęzi drzewa-gospodarza, i trudno było już wtedy myśleć o czymś innym. Kwiat przykuwał, piękno jego podniecało.

Stosunkowo późno poznano biologię orchidei. Każdy kwiat wytwarza niezmiernie dużo bardzo małych nasion, których liczba niekiedy dochodzi do dwustu tysięcy. Lecz gdy z tych nasion chciano wyhodować roślinę, natrafiono na nieprzewidywane trudności: nasiona po wykiełkowaniu marniały. Dopiero żmudne badania wykryły przyczynę niepowodzenia. Mianowicie orchidee żyją w symbiozie z pewnego rodzaju drobnymi grzybkami, służącymi im w pierwszych dniach życia za pokarm. Bez tych grzybkowych „mamek” nie mogą sobie dać rady. Gdy to odkryto i do nasion dodano właściwe pożywki, orchidee okazały się wdzięcznymi obiektami hodowlanymi i od tej chwili zaczął się ich właściwy kult.

Na początku XIX stulecia znano tylko niespełna sto gatunków; dziś odróżnia się ich przeszło piętnaście tysięcy. Liczba ta z każdym rokiem rośnie, gdyż prócz wielu zdumiewających właściwości orchidee mają i tę, że można krzyżować ze sobą gatunki, sztucznie je zapładniając i tworząc w ten sposób niezliczoną ilość odmian.

Prawie wszystkie gatunki, żyjące dziko w przyrodzie, są dziś znane nauce. Lecz zanim do tego doszło, ile wysiłku dokonano, ile fortun poświęcono, ilu zbieraczy zginąć musiało wśród skał Andów czy Himalajów!

Sławne były licytacje orchidei światowej firmy londyńskiej „Protheroe and Morris” w Cheapside. Przybywali na nie ludzie różnych sfer, bywali często członkowie rodziny panującej, słowem, zbierał się „kwiat” socjety angielskiej, ażeby podziwiać „książąt” wśród kwiatów. Wtedy mężowie, przed którymi wówczas drżał świat, drżeli ze wzruszenia na widok nowego gatunku orchidei, odkrytego gdzieś w zapadłych lasach nad Orinoco. I wtedy to za jeden nieznany okaz płacono nieraz owe krezusowe sumy, które długo tłukły się jako legenda w opowiadaniach ludzi. Przytaczam jeden z wielu przykładów: na aukcji w Londynie w 1903 roku sprzedano jeden egzemplarz storczyka *Odontoglossum crispum*, przywieziony właśnie z gór Kolumbii, za mniej więcej dwa tysiące gwinej, co w owe czasy równało się wartości trzech okazałych will pod Londynem.

Ważniejsze gatunki storczyków miały swoją historię pisaną, historię często niezwykłą, romantyczną i awanturniczą.

Cattleya labiata, piękny, różowy storczyk, którego kwiat dochodzi do dwudziestu centymetrów średnicy, bardzo dziś rozpowszechniony wśród hodowców, został ponoć odkryty na początku XIX wieku w dziwny sposób. Zbieracz Swainson posyłał z okolicy Rio de Janeiro mchy brazylijskie do profesora botaniki Jackson Hookera w Glasgow. Pewnego razu zapakował je w jakieś zielsko, które przy odbiorze, ku radości profesora, okazało się nieznanym gatunkiem orchidei. Nazwano go *Cattleya labiata*, wyhodowano i rozmnożono. Lecz gdy później wielcy kupcy, jak Sander i Protheroe, posyłał do Rio de Janeiro swych poszukiwaczy, by znaleźli storczyk w przyrodzie, ci wracali bez wyniku: nie odkryli miejsca pochodzenia tajemniczej rośliny, a Swainson tymczasem przepadł gdzieś na Nowej Zelandii. I do dziś nie wiadomo, skąd pochodził ten pierwszy storczyk, którego miliony egzemplarzy zdobią wszystkie cieplarnie świata.

W roku 1862 firma „Protheroe and Morris” zelektryzowała cały świat hodowców sensacyjną zapowiedzią, że niebawem przedstawi nowy gatunek orchidei, najpiękniejszy,

jaki kiedykolwiek znaleziono. Ponieważ Protheroe and Morris uchodzili za wstrzemięźliwych kupców, taka entuzjastyczna zapowiedź wywarła wrażenie. Podobno nawet lord Stanhope odroczył swoją podróż do Indii. W dniu licytacji zebrali się hodowcy storczyków z całej Anglii, którzy w istocie przeżyli wielką chwilę na widok odsłoniętej orchidei o złotawożółtych prążkach na purpurowej warzce. Przywiózł ją z Kolumbii botanik Acre.

Młody lord Sussex nie mógł opanować nerwów i licytację rozpoczął od pięciuset gwinei. Cyfry padały coraz wyższe. Jedynie Stanhope siedział pochmurny w kącie, coś w myślach ważąc, a potem nagle poprosił zebranych o odroczenie licytacji na godzinę i wyszedł. Gdy wrócił, spóźnił się o dziesięć minut: licytację przeprowadzono w jego nieobecności i właśnie Sussex, który nabył okaz, wypisywał czek.

– Ile zapłaciłeś? – spytał go Stanhope.

– Tysiąc! – odparł Sussex z triumfem.

– O dziewięćset dziewięćdziesiąt gwinei za wiele! – stwierdził Stanhope lakonicznie i potem wytłumaczył sprawę.

Przed piętnastu laty otrzymał od pewnego przyrodnika z Kolumbii list, który oto trzymał w ręce. W liście tym badacz donosił mu o odkryciu nowej orchidei z rodziny Cattleya. Opis zgadzał się dokładnie z przedstawionym dziś okazem. Ponieważ entuzjastyczny opis wydawał mu się wtedy przesadzony, pomówił przyrodnika o zmyślenie i zlekceważył sobie jego wiadomość. Dziś okazało się, że popełnił wówczas błąd i że piękną orchideę rzeczywiście odkryto i opisano piętnaście lat temu. Było mu przykro, że wyrządził taką krzywdę dżentelmenowi, i prosił obecnych, ażeby byli świadkami, że przywraca w zupełności cześć badaczowi, który nazywał się Józef (tu Stanhope na chwilę zawahał się, gdyż nie wiedział, jak wymówić) Warszawicz i był, zdaje się, Polakiem.

A właśnie tak się składało, że Józef Warszawicz, odkrywca owej uroczej *Cattleya Dowiana* i wielu innych storczyków, umierał z nędzy w którejś z dolin kordylijskich. Przez całe burzliwe a owocne życie walczył z biedą.

Prowadził mnie Indianin ze szczepu Kanapa ścieżką przez puszcę. Wracaliśmy do domu nad rzeką Ukajali. Nie wiadomo było, ile jeszcze drogi, a tu słońce coraz niżej świeciło przez gąszcze drzew, lian i kłujących, olbrzymich bromeli. Nagle stanąłem jak wryty pomimo chmar komarów.

Spośród zapachów butwiejących liści, wanilii, cedru, kamfory i smrodliwego owada-pluskwia uderzyła mnie nowa woń, zupełnie odmienna, zmysłowa, jak gdyby przenikająca przez” .nozdrza do kości pacierzowej. Trudno było ją określić; jedynie odczuwało się, że to coś niezwykłego.

Indianin wskazał do góry na drzewo i rzekł:

– Gorące kwiaty.

Kilka metrów nad ziemią, pomiędzy gałęziami drzewa, sterczała cała rodzina storczyków o wielkich pomarańczowych kwiatach z liliowymi pręgami. Wisiały kwiaty niby przyczajone, wspaniałe tygrysiątka, niby bajkowe stworzenia, aż dech zapierało, skąd się nagle tyle piękna i jaskrawości brało w tym męczącym wrogim lesie.

Nie mieliśmy czasu; mrok zapadał. Poszliśmy dalej, a Kampa przyrzekł, że narwie później dla mnie cały snop tych „gorących kwiatów” i przyniesie do Kumarii.

27. STARZY, DOBRY PRZYJACIELE

W roku 1928 odbyłem do Brazylii po raz pierwszy wyprawę zoologiczną, podobną do obecnej, i zgromadziłem tam między innymi dwadzieścia kilka żywych zwierząt. O tych sympatycznych stworach napisałem potem książkę pod tytułem „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele”, a ponieważ była to książka sercem pisana, poświęciłem ją – komuż innemu! – mej córeczce Basi. Gdy mnie teraz tęsknota ponownie zapędziła do puszczy południowoamerykańskiej, znów, jak ongiś, było naokoło mnie pełno żywych zwierząt. Umieściłem je nad wysokim brzegiem rzeki Ukajali, skąd ich wrzask i harmider odbijał się od lasu aż hen, na środek wielkiej rzeki. Musiał to być wrzask nie lada, rozlegający się gromko, zwłaszcza w godzinach popołudniowych, bo przepływający Indianie Czamowie, zaintrygowani, wychodzili na ląd, zdziwieni spozierali do każdej paszczki i każdego dzioba i wsłuchując się z rozkoszą w piekielny wrzask zwierzęcy wyrażali bardzo dodatni sąd:

– Miły dźwięk, piękna muzyka!...

Potem schodząc ze sfery wzniosłej ku bardziej przyziemnej dodawali:

– Dobry przysmak też, wiele mięsa do gęby!...

I po wypowiedzeniu tego najwyższego uznania, kiwając głowami, zadowoleni wsiadali do czółen. Siedemdziesiąt zwierzątek to już ogród zoologiczny całą gębą, o którym słuchy szły na pięćset kilometrów w górę i dół rzeki.

Jeszcze w Iquitos kupiłem młodą kapibarę, śmiesznego gryzonia do świni podobnego, który odbywał razem ze mną długą podróż do puszczy kumaryjskiej. To tak jakby zawożenie sów do Aten w amerykańskiej odmianie. Kapibarka lubiła zielone banany, wolność i błoto. Pierwszego dnia przywiązałem ją skomplikowanymi sznurami: w nocy dziwnie łatwo się wyswobodziła i chociaż mogła uciec, nie uciekła. Okazała mi wiele wersalskiego zaufania i dlatego starałem się odtąd w miarę możliwości uwzględnić jej zachcianki.

W krótkim czasie kapibara zdemoralizowała się na dobre. Byłem wobec niej bezradny. Wszystkie sznury i więzy zsuwały się z tłustego cielska i wtedy triumfował duch wolności. Często kapibara znikła na rozległych kumaryjskich moczarach (na których nieszczęśni polscy koloniści mieli budować swą przyszłość) i wracała tylko po to, by najeść się bananów. Cieszyłem się, że w ogóle wracała.

Gorzej, że najwyraźniej psuła drugą, młodszą od siebie kapibarę i jeszcze młodszego tapira. Ów tapirek był naszym, ulubieńcem. Za to, że mu wyleczyłem brzydkie rany, zadane przez psy, odnosił się do mnie jak do swej matki, którą mu ludzie zabili.

Na tym tle panowała stała rywalizacja o serce tego słoniowatego bachora między mną a kapibarą-uwodzicielką. Kapibara nęciła go romantycznością, puszcza i wolnym życiem na łonie natury, ja starałem się przyciągnąć go ludzkim, dobrym słowem i duńskim skondensowanym mlekiem. Tapir był w rozterce. Szedł za kapibarą w las, ale gdy ją, zaniepokojony ich długą nieobecnością, pędziłem również w las i gwizdałem co sił, tapir odgwizdywał gdzieś w kniei, puszczał uwodzicielkę w trąbę i przychodził do nogi, po czym razem wracaliśmy do domu w najlepszej zgodzie.

Stwierdziłem, że rano kapibara miała na niego większy wpływ niż ja, natomiast wieczory należały niepodzielnie do mnie. Choćby nie wiem jak tapira wypędzać i wypraszać, z zapadaniem mroku przychodził pod stół, brał udział (jakkolwiek bierny) w

rozmowie ludzi przy kolacji i żaden diabeł czy inna siła nie potrafiła go stamtąd wypędzić.

Tapir był samiczką, oczywiście dziewczicą, wobec której doktor Żabiński, popularny dyrektor ogrodu zoologicznego w Warszawie, i ja – odgrywaliśmy rolę swatów. W drodze korespondencji między Polską a Peru ustaliliśmy, że dziewczicę przywiezę do Polski i że wydamy ją za mąż za tapira-samca, tęskniącego w Zoo warszawskim. Z tej pary, jak się to mówiło, będą chyba ludzie.

Największymi psotnikami wśród ptaków były tukany. Miałem ich kilka. Szatany, nie ptaki! Wszędzie wlażyły, wścibiały swe trzy grosze, zanurzały w zupie groteskowe dzioby, tymi dziobami chwyciły następnie człowieka za nos, skubały za włosy, a odepchnięte, spadały na ramiona. Gdy skakały z miejsca na miejsce, a człowiek stał im w drodze, żądały gderliwie, ażeby im się usunął. W dziedzinie alimentacji nie znały żartów i – wiecznie głodne – pożerały własne porcje tudzież porcje wszystkich słabszych od siebie zwierząt. Co tu wiele gadać: terroryzowały połowę mego zwierzyńca nie wykluczając nawet białego jastrzębia, który – młody i dlatego głupi – choć silniejszy, dawał się przez nie zawojować.

Wielki respekt miały tylko przed dziobami arar, bajecznie kolorowych matron, tronujących na najwyższych szczeblach – zarówno towarzystwa, jak i żerdzi. A poza tym unikały jak ognia dwóch trompeterów. Były to dostojne ptaki o czarnych skrzydłach, należące do rodziny brodzieńców. Trompetery wydawały z siebie głuche dźwięki, jak gdyby wychodzące z głębi ziemi, i walecznością swą trzymały w ryzach nawet natrętne plemię kur i kogutów. Napastliwe wobec zwierząt, darzyły ludzi najbardziej przyjaznym zaufaniem. Jeden z nich lubił gdy iskałem mu głowę i palcami obrabiałem okolice lubieżnie przymkniętych oczu; drugi natomiast zakochał się w pewnym dziesięcioletnim chłopczyku czamaskim. Na widok Indianinka pędził ku niemu, zataczał koło i z rozpostartymi skrzydłami kładł mu się u stóp.

Wiele hałasu o nic wyczyniało trzydzieści piwicz, maleńkich jak piąstka dziecka, zielonych, bezczelnych papużek. W moim zwierzyńcu piwicze miały zawsze głos. Byłem przekonany, że gdyby trzy piwicze umieścić w poznańskiej palmiarni, palmiarnia rozdułaby się odgłosami pełnej puszczy. Trzydzieści piwicz – to wrzask piekielny do trzeciej potęgi, działający z lekka na nerwy dwu- i czteronożnych sąsiadów.

Najdzikszy z moich zwierząt była irara, w Peru nazywana manko, przywieziona mi z drugiej strony rzeki. Dzielny ten zwierz, należący do kunowatych, w czasie swej krótkotrwałej niewoli bez wytchnienia gryzł. Tylko gryzł. Gryzł na miazgę szczeble klatki, zrobionej z drzewa cedrowego, gryzł żelazną blachę, gdy mu chcieliśmy pysk zatkać, i rozgryzał kłody, którymi Pedro spychał go do klatki. Dwóch ludzi stale go pilnowało odpychając wszelkimi sposobami, a ten niestrudzony zwierz, ogarnięty szalem, na przekór wszelkiej logice, walczył i walczył. Aż – rzecz nieprawdopodobna – zwyciężył. Wyrwał się spod czterech rąk uzbrojonych w kije i uciekł w las – dzielny, zawzięty bojownik wolności. Dał nam świetną naukę, że szaloną odwagą i wytrzymałością można dopiąć celu, nawet w najtrudniejszym położeniu.

Zgoła inne przygody mieliśmy z wężem anakondą. Czołe, pracownicy na hacjendzie Dolciego, znaleźli go na pobliskim polu trzciny cukrowej, złapali za pomocą lassa i przywieźli na czymś w rodzaju sani. Potwór miał pięć metrów długości i ważył około dwóch cetnarów. Łowcy chcieli mi go sprzedać, lecz żądali tak wysokiej ceny, że zawahałem się. Chętnie zabrałbym wspaniałego gada do Polski, gdyby można było

dowieźć go żywego.

Na razie umieściliśmy węża w odpowiedniej klatce, a czole, którzy mi go przywieźli, wpuścili mu na pożarcie żywego kurczaka. Aliści stała się rzecz zgoła nieoczekiwana i nader komiczna: kurczak zaprzyjaźnił się ze swym odwiecznym wrogiem. Kładł się spać w jego olbrzymich zwojach, dziobał bezczelnie jego skórę i laził mu dosłownie po głowie. A srogi anakonda nie myślał go zjadać.

Po dwóch tygodniach takiej sielanki wszyscy uznali, że anakonda musi być chory, i czole postanowili go zabić, a skórę jego spieniężyć. Lecz przed uśmierceniem go chciałem się z nim sfotografować, jako że była to okrutnie fotogeniczna bestia. Wtedy wąż, dotychczas wielce leniwy, nagle poderwał się i straszliwą paszczą chwycił mi rękę; jednakże zanim owinął się dokoła mego ciała i zabrał się do łamania mi żeber, towarzysze wetknęli pal między jego szczęki, podważyli je i uwolnili rękę, spływającą obficie krwią. Rozpaczliwy czyn nie uratował wężowi życia; zabili go i wytopili z niego sadło na tajemnicze leki, kurczaka zaś spotkał normalny los: powędrował do garnka, a następnie do żołądka ludzkiego.

W pierwszych dniach kwietnia zjawiała się u mnie stara Indianka Czamka z wysp powyżej Kumarii i spytała, czy nie kupię małpki. Kupię, powiedziałem, jeśli jest zdrowa. Na to Indianka rozwinęła szmatę, z której wyłaniały się wielkie, wystraszone oczy, czarna czupryna i pocziwa, w rurkę zawinięta gęba małpki-kapucynki. Na widok tej starej przyjaciółki, znajomej jeszcze z czasów brazylijskiej wyprawy, coś załopotало mi w sercu i chwyciło za gardło. Toż to był kubek w kubek ten sam Mikuś, z którym tak serdecznie zaprzyjaźniła się kiedyś moja biedna Basia. Ileż to wtedy było wspólnej radości, ile słońca i dziecięcych zabaw!

Indianka spytała, czy znam ten rodzaj małpek. Znam, odpowiedziałem, i w mej książce „Bichos” pokazałem jej reprodukcję fotografii, przedstawiającej Basie z Mikusiem.

Czamka poznała małpkę i ogromnie się ucieszyła. A potem spytała, gdzie jest ta dziewczynka. W tym sęk. Jakże tu było powiedzieć tej czerwonej pani, zdobnej w malowidła na policzkach i z wielkim kolczykiem w nosie, że akurat rok temu Basię pochowano w ziemi? I jak ukryć przed tą staruchą, że oczy podróżnika napełniły się łzami? (Dziwne jest serce ludzkie: białe słońce równikowe nic nie zdoła z niego wypalić, nic wypłukać ulewa tropikalna ni pokryć zapomnieniem wielka, wroga puszcza).

Sytuację uratował pocziwy tapirek. Przybiegł i prosił o mleko ciągnąc mnie natarczywie za kamasze. Dobrze, dobrze, dostaniesz mleka, urwipolciu!

28. CZARNA STRUGA ŚMIERCI

Polując pewnego razu w puszczy niedaleko rzeki Kumaria zaszedłem w okolice, w której wszystkie żyjące stwory dokoła mnie były w dziwnym, nienaturalnym podnieceniu. Ptaki różnych gatunków postradały rozum i jak narwane skakały z gałęzi na gałąź krzycząc i piszcząc zdenerwowanym głosem. Jakiś '7bpancernik, widocznie zbudzony przed chwilą ze snu, pędził hałaśliwie na oślep przez krzewy. Chrząszcze, szarańczaki i inne owady leciały w powietrzu, głośno szeleszcząc i burcząc; niektóre siadały na liściach, ale niedługo odpoczywały i podrywały się do dalszej ucieczki.

Wszystko to waliło pośpiesznie w jednym kierunku. A gdy przemykał tuż obok mnie

wystraszony pająk-ptasznik z rodzaju Mygale, olbrzymi jak dłoń ludzka – rabuś, który niczego się nie lękał, a przed którym wszystko tchórzyło – domyśliłem się że tam, w puszczy, stać się musiał jakiś kataklizm i że zrodziło się niebezpieczeństwo przejmujące strachem leśne istoty.

Ścisnąłem mocniej strzelbę i ukryłem się za drzewem, ciekawy, co nastąpi. Niespokojny krzyk ptaków i przerażenie owadów działały również i na moje nerwy. Bacznie zacząłem rozglądać się dokoła. Niemiałą rzeczą w puszczy było oczekiwanie niebezpieczeństwa, którego się nie znało. Na wszelki, wypadek z luf strzel-‘ by wyjąłem naboje z cienkim śrutem i wsadziłem w jedną lufę loftki, w drugą kulę brenekę na grubego zwierza.

Po pewnym czasie lot owadów ustał, natomiast doszedł mych uszu stłumiony szelest jak gdyby łamanego papieru. Zachodziłem w głowę, skąd pochodził tajemniczy odgłos. Równocześnie rozplywała się w powietrzu lekka woń kwasu i jakby nadgniętego mięsa.

Wreszcie spostrzegłem i zrozumiałem wszystko. O kilka kroków ode mnie, wśród gęstej roślinności, pojawiła się na ziemi czarna, szeroka masa – mrówki.

Wędrówka drapieżnych mrówek, ecitonów, zagłada wszystkich napotkanych zwierząt, pochód, przed którym nie ostoja się nic żywego: ni człowiek, ni zwierz, ni robak. Wszystko, co niezdolne uciec – ginęło rozszarpane przez rozbójników.

Piekące ukłucia na nogach przypomniały mi, że trzeba uciekać. Kilkanaście mrówek zdołało już wleźć na mnie. Uskoczyłem w bok, lecz stwierdziłem, że odwrót nie tak prosty. Nie sposób było przeskoczyć łatwo, wśród hamujących krzewów, przez prawie metrowy, zbity pas mrówek. Były one czymś rozjuszony i natychmiast przytwierdzały się do nóg. Pobiegłem w przeciwną stronę – to samo! I tam toczyła się ruchliwa struga. Tymczasem przybliżała się do drzewa, pod którym poprzednio stałem, trzecia kolumna ecitonów i położenie stało się nieco kłopotliwe. Byłem z trzech stron otoczony.

Nie tracąc czasu wyszukałem najdogodniejsze miejsce, gdzie mrówek ciągnęło mniej, i przedarłem się przez ich kordon. Ucieczka udała się, lecz niezupełnie, gdyż podczas szamotania się z krzewami wlaźło na mnie kilka nowych mrówek. Niektóre wnikały pod kamasze, wcinały się szczypcami w ciało i tak były zażarte, że nie mogłem ich odczepić. Przerwane wpół, wgryzały się nadal w nogę i trzeba je było rozkruszyć, by się od nich uwolnić. Pozostawiały po sobie silny ból, spowodowany prawdopodobnie jadem; ukłute miejsca puchły. Zacisnąłem zęby i starałem się skupić uwagę na ciekawym zjawisku.

Procesja mrówek miała kilkadziesiąt kroków długości i dzieliła się na kilka równoległych kolumn, jak gdyby kroczących obok siebie wojsk. Któż zgadnie, ile było tych mrówek? Może sto tysięcy, może milion? Kolumny pełne czarnego mrowia, szerokie, każda na ćwierć metra, postępowały z szybkością czterech do pięciu kroków na minutę. Stanowiły przeważnie zwartą masę, więc mogłem przybliżyć się do nich na małą odległość bez narażenia się na ukłucia.

Wędrowało, zdaje się, całe mrowisko, gdyż widziałem mrówki różnych rozmiarów: małe, średnie, większe. Największe, blisko półtoracentymetrowi żołnierze, trzymały się po bokach kolumn i biegły to naprzód, to w tył, niby boczne straże pilnujące porządku. Były to wyjątkowo ruchliwe i szybkie indywidua, które badały okolicę. Właziły po drodze na krzaki i na drzewa, lecz nie wyżej niż dwa metry ponad ziemię. Potem wracały do szeregów.

W środku kolumn, w miejscu jak gdyby najlepiej zabezpieczonym, wiele mrówek dźwigało potomstwo mrowiska: białe larwy i poczwarki.

Armia głodna, niezwalczona, wściekła, straszliwa armia nie dawała nikomu pardonu. Kilka zielonych gąsienic motyli, wielkości wskazującego palca, wiodło sielankowy żywot na gałęzi pobliskiego krzaku. Już odkryła je mrówka wywiadowczyni i doniosła rówieśniczkom. Cała ich setka zwała się na żer. Bez wielkich ceregieli mrówki rozciąły gąsienice na strzępy i zniosły na ziemię jako prowiant. Likwidacja liszek trwała niespełna pół minuty.

Trudniejsze były łowy na pajaka, który chociaż trzydzieści razy większy niż każda z mrówek, uciekał tchórzliwie na sam koniec gałęzi. Ale i tam go dopadły. Pająk chwycił dwie mrówki w szczęki, trzecią przydusił nogą. Lecz inne już wpiły się w niego, już odcięły mu odwłok, rozdarły na kawałki tułów i głowę i wnet wszystko zniosły na dół nie zapominając nawet o nogach ofiary.

A oto zmurszały pień powalonego przez burzę drzewa, obfita spiżarnia dla ecitonów. W pniu gnieździło się kilkadziesiąt wielkich, tłustych pędraków. Mrówki wyciągnęły je wszystkie na światło dzienne i migiem pokrajały na drobne części. Przy tej operacji były – nie wiadomo czemu – podniecone i z wściekłością wrywały sobie wzajemnie zdobycz, jak gdyby chodziło o pośpiech w zabijaniu.

Lecz były inne owady, cieszące się względami, nawet przyjaźnią czarnych rozbójniczek. Z mego stanowiska, tuż w pobliżu jednej z zewnętrznych kolumn, widziałem dokładnie, co się działo w mrówczym pochodzie. Od czasu do czasu spostrzegałem w samym środku kolumny czerwone chrząszczyki, należące do zupełnie innej rodziny owadów aniżeli mrówki, a jednak kroczące rażno razem z nimi. Chrząszczyki należały do liczego plemienia mrówczych niewolników, zazdrośnie przez ecitony strzeżone i dostarczające swym gospodarzom smacznych olejków.

Dla ciekawości porwałem za pomocą gałęzi takiego chrząszczyka i umieściłem go o metr poza kolumną. Wywołało to wśród czarnej czeredy nieopisane zamieszanie. Liczne patrole rozbiegły się na wszystkie strony. Trzy mrówki chwyciły uciekiniera za nogi i wlokły go przemocą do kolumny, przy czym jedna z nich w zapale odgryzła mu nogę. Może chciała go ukarać? Zanim chrząszczykowi zdołała zaświtać myśl o wolności (choć wątpię, czy był do tego zdolny), wepchnęły go w szeregi i od nowa przykrył go czarny strumień ciał. Ecitony załatwiały wszystkie swe czynności sprężysto, gwałtownie, bez namysłu i wahań, a zawsze z wielką celowością.

Jednak w tym państwie nie wszystko było w porządku. W czarnej masie dostrzegłem białe owady kroczące razem z mrówkami.

To nie były mrówki. Chwyciłem jednego z nich i stwierdziłem, że niesamowite straszdyło było larwą muchy: niesamowite dlatego, że larwa nosiła na swej głowie, jak kołpak, autentyczny, wyżarty od środka łeb mrówki. A gdy nad mrowiskiem zobaczyłem chmary pewnego gatunku much, zrozumiałem makabryczną zjawę. Były to muchy-pasożyty, towarzyszące stale w cichym, falistym locie mrówczym wędrówkom. Muchy wypatrywały sposobności, by niepostrzeżenie złożyć na ciałach mrówek swe jajka. Po kilku dniach z jajka wykluwała się larwa, która pożerała powoli ciało mrówki i wyrastała, aż w końcu dobierała się do samej głowy i wypróżniała ją. Odtąd, uzbrojona w tę maskę, kroczyła bezczelnie w pochodzie mrówek aż do czasu zamienienia się w poczwarkę.

Takich larw dostrzegłem mnóstwo wśród ecitonów. Tkwiła w tym paradoksalna tragedia: drapieżne mrówki, pożerając bez litości wszystkie napotkane istoty, bez oporu znosiły w swym mrowisku marne larwy służące im same z kolei za pokarm. Były zupełnie ślepe, na kroczące w ich środku niebezpieczeństwo. Obserwowano ponoć wypadki, że ten

„wróg społeczny” doprowadzał do zupełnej zagłady całe mrowisko.

Ecitony służyły także za pokarm innemu rzędowi istot: ptakom. Liczne ich gatunki pilnowały procesji, a wśród nich specjaliści od mrówek, brązowe mrówkojady. Donośnie rozlegały się w puszczy ich krzyki.

Gniazdo os, wielkie jak dwie piłki nożne, wisiało na gałęziach krzewu tuż ponad ziemią. Kilkanaście ecitonów ze straży łatwo je wykryło i natychmiast rzuciło się na szarą jego powłokę. Dla ich ostrych żuchw był to drobiazg: rozdzierały powłokę jak papier. Ale w powietrzu zaroilo się od os. Z gniewnym bzykiem spadły na napastników i niemal w oka mgnieniu rozniosły ich. Po prostu porywały w powietrze i nawet trudno było stwierdzić, co z nimi tam robiły. Po chwili krzak był oczyszczony od wroga.

Na krótko tylko. Kolumna na ziemi dowiedziała się o istnieniu gniazda, może od niedobitków patrolu. W czarnej masie powstało nerwowe zamieszanie, potem co zuchwalsze mrówki popędziły w górę na krzak. Wszakże nie dotarły do gniazda, napadnięte przez osy. Zacięta walka wybuchła wśród gałęzi. Każda z os była kilka razy większa i mocniejsza niż przeciwniczki, przy tym zwinniejsza, bo uskrzydłona, więc śmierć gęsto sprzątała mrówki. Rozszarpane ich ciała spadały na ziemię. Jednak w ich miejsce coraz więcej towarzyszek wdzierało się na krzew. W kotłowisku, jakie dokoła gniazda się rozsrożyło, nie mogłem już objąć szczegółów bitwy. Chyba kilkaset os szalało szumiąc, brzęcząc, furcząc, a mrówek – tysiące.

Ostrożnie odszedłem o kilka kroków w obawie, żeby nie oberwać od rozwścieczonych owadów. Tymczasem coś ważnego nastąpiło w samym gnieździe. Mrówki musiały dostać się do samego środka. Z rozdartej ku dołowi powłoki wypadły nagle białe larwy, zrazu pojedynczo, potem coraz gęściej. Było to potomstwo os. Między nimi dostrzegłem także pierwsze pokonane osy, które, obsiadłe mrówkami i pogryzione, już tylko niemrawo się broniły.

Tymczasem setki ecitonów, nie wmieszanych dotychczas do bójki, włączyły wysoko na wszystkie sąsiednie krzaki i stamtąd starały się dotrzeć do gniazda. Osy broniły im dostępu, jak mogły, ale mrówek było coraz więcej.

W pewnej chwili szala zwycięstwa raptownie przechyliła się na stronę mrówek. Zbyt wiele wtargnęło ich do gniazda. Rozpruły je na strzępy, które spadały na ziemię wraz z walczącymi. Na ziemi osy natychmiast ginęły w mrowiu czarnych ciał. Osy były tak rozjuszzone, że napadały na mrówki nawet wtedy jeszcze, gdy ich gniazda już nie było. Zaślepione, rzucały się na kupy wrogów w jakiejś samobójczej desperacji – toteż niewiele ich uszło z życiem. Kolonia os i ich gniazdo przestały istnieć.

Tymczasem kilkadziesiąt kroków dalej przednie straże sąsiedniej mrówczej kolumny wypłoszyły wielkiego jaszczura *teju*, olbrzymia prawie metrowego, który uciekając schował się do niedalekiej nory. Za nim podążył tłum ecitonów. Niewidzialna dla mnie walka w głębi nie trwała długo. Po pewnym czasie gad pojawił się na powierzchni, czarny od oblepiających go mrówek. Oczy miał wyżarte i wypełnione owadami. Czołgał się osłabiony i nie uszedł dalej niż kilka kroków. Jak gdyby porażony, przystanął i tylko szeroko rozwarł paszczę. Nie mogłem wytrzymać widoku cierpiącej jaszczurki, wystrząłem z fuzji dobiłem ją. Mrówki wybierały jej wnętrzności.

Gdy tylne straże pochodu miały ją po kwadransie, nie miały już nic do zabrania, gdyż z całego gada pozostała tylko bezkształtna kupa kości i nielicznych łusek.

Mrówki przeszły.

Znikł czarny koszar w głębinach puszczy, oddalił się krzyk ptaków. Gorące słońce

nadal oświecało las i przedzierało się gdzieniegdzie aż do ziemi.

Wtem przyleciał wesół motyl *heliconius*, okaz niezwykle piękny o żółtej plamie i czerwonej wstędze na czarnym tle, i w pobliżu resztek jaszczura zaczął gorliwie znosić jajka na liściach krzewu. Wiele troskliwości o przyszłe potomstwo wkładał w tę czynność. Z jajek za miesiąc wylęgną się zielone gąsienice, które rozpoczną sielankowy żywot w ciepłym słońcu.

Znany w Anglii felietonista Leigh Hunt pisał: „Kolory są uśmiechem przyrody. Gdy bardzo silnie się uśmiechają, a przy tym przybierają jeszcze formę piękną, wtedy przeobrażają się w radosny uśmiech, jak na przykład w kwiatach lub w motylach”.

Jeżeli kolory puszczy tropikalnej kiedykolwiek się śmiały, to chyba najwyraźniej w tym dziarskim, barwnym, beztroskim motylu helikoniusie. Był to zdrowy, kolorowy śmiech, wszystkim czarnym strugom śmierci na pohybel.

A jednak ktoś, i to niekoniecznie zręda lub cynik, mógłby zachnąć się i oświadczyć, że ów śmiech czasem brzmiał w przyrodzie jak sardoniczny chichot.

29. SZALEJĄCA PRZYRODA

Któregoś dnia wymierzyliśmy krokami jeden kilometr kwadratowy puszczy tuż za naszą chatą niedaleko brzegu Ukajali. Polecilem Pedrowi, by na tym kawałku uzbierał przy pomocy Czikinia po jednym okazie wszystkich rosnących tam gatunków drzew do średnicy dwudziestu centymetrów i przyniósł mi je w przekrojach pni. Po tygodniu pracy Pedro miał już sto różnych gatunków drzew, ale całej pracy jeszcze nie ukończył.

U nas, w środkowej Europie, na obszarze mniej więcej dwóch milionów kilometrów kwadratowych rośnie podobno jakie czterdzieści gatunków rodzimych drzew; na jednym kilometrze puszczy ukajalskiej niewprawy Metys znalazł ich przeszło sto. Różnica wymowna.

Gdy pewnego razu spacerowaliśmy po ulicach Iquitos, mój przyjaciel Tadeusz Wiktor potknął się o jakiś suchy kijaszek, zawianą z daleka gałązkę, zakurzoną, połamaną, bez liści i pozornie bez życia. Chciał ją trącić jeszcze raz, ale spojrzał na nią uważniej, podniósł, zabrał ze sobą do domu, w ogrodzie wsadził do ziemi i podlał wodą. A ja drwinkowałem. W trzy miesiące później – zatkało mnie: z lichego, przyschniętego kijaszka wyrósł pęk liści, a wśród nich piękny, olbrzymi kwiat do lilii podobny. W kwiecie sterczały już szeregi bujnych pręcików i słupków, spragnionych stokrotnego rozmnażania się.

W ogrodzie zoologicznym w Peru ujrzałem niedaleko wejścia niebosiężne drzewo, *sumaua*. Drzewo to, jak wynikało z napisu, miało dopiero trzydzieści siedem lat życia, a już cztery metry obwodu przy ziemi.

Później niejedną raz w puszczy spotkałem olbrzymie *sumaubu*, o obwodach dwudziesto- i trzydziestometrowych. Z pni wyrastały im nad ziemią potężne odnogi, niby podpierające ściany, co jeszcze potęgowało wrażenie nieprzepartej siły, dziwacznej piękna i niezwykłości tej puszczy.

Zasiany owoc *mamonu* po kilku miesiącach wyrastał do czterech metrów wysokości i wnet można było zbierać owoce wielkości ananasa. Powiadali żartownisie, że gdy wetknąć do ziemi nad Amazonką parasol, to po dwóch miesiącach wyrośnie drugi parasol. Nie wiem, czy można wierzyć temu bez zastrzeżeń.

Natomiast wiem, że w puszczy amazońskiej czai się groza i oblęd. Bywało wiele wypadków, że doświadczeni podróżnicy i badacze wracali jako nieuleczalni pacjenci sanatoriów lub wcale nie wracali. Po prostu ginęli w lesie jak kamień w wodzie. Puszcza jest zazdrosna i do dziś pochłania wiele ofiar, nawet spośród tubylców.

Indianin nie zapuści się w las bez pozostawienia za sobą znaków na drzewach: to jego nieć Ariadny. Bez tych znaków nie wiadomo, co go czeka. W normalnych warunkach nic złego; zmysł orientacyjny zawiedzie go sam do domu. Ale w puszczy panuje stan wyjątkowy i przypadkowe ukąszenie małej muchy lub dotknięcie trującej rośliny może spowodować zaćmienie przytomności. Puszcza gotuje człowiekowi tysiące niespodzianek; to jej groza, a zarazem nieodparty czar dla tych, którzy znają i cenią dreszcze hazardu.

W książkach podróżniczych często czytamy opisy zbłądzenia w puszczy i szczególnego lęku, jaki wtedy obezwładnia nawet ludzi o zdrowych nerwach i równowadze duchowej. Sam dwukrotnie doznałem podobnych wrażeń: raz nad rzeką Ivai w Paranie, drugi raz tu, w Kumarii. W obydwóch wypadkach zboczyłem ze ścieżki w pogoni za zwierzyną, ale nasłyszawszy się o niebezpieczeństwie w takich okolicznościach, wciąż o nim pamiętałem. Więc wdzierając się w głąb puszczy, w miejscach nawet mniej gęstych niż zazwyczaj, zapamiętywałem sobie wygląd mijanych drzew. Poza tym nie traciłem ani na chwilę świadomości, w którym kierunku była ścieżka, a gdy oddalałem się od niej o jakie sto kroków, uznawałem za roztropne, by zaniechać dalszej pogoni i wracać.

Otóż w obydwóch wypadkach wracałem sto kroków, sto pięćdziesiąt – ścieżki nie było. Rozglądałem się po drzewach. Wszystkie obce. Zawróciłem, by po własnych śladach dotrzeć do miejsca, skąd poprzednio rozpocząłem odwrót w kierunku ścieżki. Chciałem stamtąd powtórnie spróbować pójścia we właściwym kierunku. Lecz i tego miejsca już nie znalazłem. Jakby się w gąszczu zapadło, i co gorsza, kroczyłem wśród zupełnie nieznanymi ugrupowań drzew. Miałem jeszcze na tyle przytomności umysłu, by nie pędzić na oślep. Stałem. Wiedziałem, że tylko w jednym kierunku była zbawcza ścieżka; w trzech pozostałych ciągnęła się bezludna puszcza, właściwie bez końca, więc uderzyć w błędną stronę – znaczyło kusić los. Zimny pot spływał mi z czoła i mroczył wzrok.

W obydwóch wypadkach miałem w pobliżu towarzyszy. Spostrzegłszy moją zbyt długą nieobecność, wrócili do miejsca naszego rozstania się. Wtedy okrzykami tam i sam łatwo wskazaliśmy sobie drogę. Byłem oddalony od ścieżki nie więcej niż dwieście kroków. Słońce w owych dniach nie świeciło; gdyby nie towarzysze, przygoda mogłaby się skończyć niewesoło.

Amazońscy Indianie od niepamiętnych czasów wierzą w istnienie leśnego demona Kurupiry. Jest to potwór dwunożny, przy czym jedną nogę ma ludzką, drugą jaguara. Krąży po puszczy i w swej bezgranicznej złośliwości niesie kłopoty i zgubę napotkanym istotom. Tajemnicze odgłosy, tak często straszące w puszczy, pochodzą właśnie z jego gardzieli. Wszystkie nieszczęścia są jego sprawką, a że ta mściwa mara wszędzie się wałęsa, puszcza amazońska jest straszna. Największą rozkoszą napawa Kurupirę, gdy zbłąkanym ludziom może pomieszać zmysły i przyglądać im się, jak giną w pustkowiu.

Pierwszą poważniejszą wyprawę naukową w nieznane okolice dorzecza Amazonki

odbył Francuz, Karol La Condamine, w latach 1743/4. Na jej tle rozegrała się jedna z najbardziej wstrząsających tragedii, jaką notują dzieje puszczy amazońskiej.

Towarzyszem Condamine'a był Godin de Odonais, który przyjechał do Ameryki Południowej wraz z żoną i dziećmi. Zostawiwszy rodzinę pod dobrą opieką w Quito, Godin wyruszył do Gujany na okres niespełna roku. Tymczasem wyprawa ta przeciągnęła się na całe lata. Brak wiadomości niepokoił żonę. Dochodziły do niewiasty tylko sprzeczne słuchy o ciężkich przeprawach badaczy, nawet o ich śmierci. Więc gdy ktoś po latach przyniósł jej wiarogodną, jak przysięgał, nowinę, że widziano jej męża nad Górną Amazonką, a zatem właściwie stosunkowo niezbyt daleko od Quito, bo o jakie pięćset kilometrów w linii powietrznej – śmiała kobieta, nie chcąc dłużej czekać, wyruszyła przez puszcę do męża. Towarzyszyli jej zaufani przyjaciele: francuski lekarz, szwagier, dzieci, tudzież grono wypróbowanej służby. Doświadczeni ludzie starali się odwieść ją od szaleńczego zamiaru, ale daremnie: ona wierzyła w swoją energię i dobrą gwiazdę.

W pierwszych tygodniach garstka zuchwalców przekraczała łańcuchy Kordylierów niemal tymi samymi przesmykami, przez które dwieście lat przedtem niefortunny Gonzalo Pizarro brnął marząc o złotym królu. Wyprawa dzielnie przewyciężyła góry, potem w parnej nizinie zwróciła się na południe i szczęśliwie dotarła do rzeki Pastazy, dopływu Amazonki. Tu udało się nabyć łódź i mając indiańskich wiosłarzy, po wielu tygodniach podróżnicy dobili do misyjnej wioski nad dolnym biegiem Pastazy. Niestety, nie zastali w niej żywej duszy; mieszkańcy wymarli na epidemię ospy, co tak przeraziło wiosłarzy i przewodników, że wszyscy uciekli obawiając się zemsty Kurupiry.

Wkrótce na wyprawę zaczęły spadać nieszczęścia. Łódź, źle sterowana, nabrała wody i utonęła, a ludzie ledwo się uratowali. Otaczała ich dzika, wroga przyroda. Nie umieli budować tratwy. Głód zaglądał im w oczy. Lekarz i służący Murzyn wyszli w gąszcz w poszukiwaniu pokarmu i przepadli. Reszta, gnana rozpaczą, przebijając się dalej przez puszcę. Co kilka dni ktoś ginął: ten od jadu węża, tamten wciągnięty w przepastny moczar, inni z obłędu i wycieńczenia.

Madame Godin, najdzielniej znosząca niedolę, kolejno chowała wszystkich w ziemi. Wszystkich: szwagra, służbę i własne dzieci. Patrząc musiała na ich śmierć, a jednak sama przeżyła. Przypadek zawiódł ją z powrotem na brzeg rzeki i tu, gdy leżała już bezsilna, traf chciał, że znaleźli ją przepływający Indianie. Dzięki ich pomocy dotarła w końcu do Para-Belem i tam spotkała męża.

Puszcza amazońska odsłoniła swe groźne oblicze. Co prawda niezwykła kobieta uszła śmierci, ale nie była już pełna rozumu.

Europejczyk, który nie widział puszczy amazońskiej, ma na ogół mylne o niej wyobrażenie. Jakże więc wygląda ów osławiony las? Przede wszystkim jest stosunkowo jasny. Rozkład zieleni jest tego rodzaju, że bardzo wielkich i cienistych drzew rośnie mało w zbitej masie: są one rozproszone tylko tu i ówdzie. Dzięki temu słońce może oświetlać niższe piętra i stąd przedzierać się ku ziemi. Uroczysty półmrok, panujący w naszych lasach bukowych, spotyka się tu rzadko; jeżeli zaś spotka się, to wtedy w puszczy bywa prawie ciemno. Ale to wyjątki.

Drzewa amazońskie posiadają wiele drewna, lecz stosunkowo mało liści. Rozczarowany przybysz stwierdza, że przeważna część roślin ma liście małe i skromne, podobne do śliwowych. Są twarde, połyskliwe i nieprzejrzyste, co stanowi najlepszą

ochronę przed gorącymi promieniami słońca i silnymi deszczami. Olbrzymie liście w rodzaju bananowych nie są charakterystyczne dla puszczy tropikalnej. Banan to malownicza, lecz raczej sztuczna ozdoba tutejszego krajobrazu w pobliżu siedlisk ludzkich.

Uderza również pozorny brak kwiatów. U nas kwiaty ukazują się głównie w porze wiosenno-letniej i zazwyczaj w jednym miejscu, na łąkach, podczas gdy w puszczy tropikalnej nie ma wyraźnej pory kwiatowej. Kwiaty kwitną przez cały rok i giną w powodzi zieleni, przeważnie na wierzchołkach drzew.

W puszczy rosną właściwie dwa lasy: jeden – ów normalny – na ziemi, to drzewa, zbity gąszcz krzewów, bambusów i zielsk; drugi las rośnie ponad ziemią, na drzewach i krzewach; to naroślą, czyli epifity.

One właśnie są elementem bardzo egzotycznym w puszczy: wielka ich ilość, groteskowy kształt i fantastycznie piękny nieraz kwiat stanowią swoisty urok. Wśród nich barwne storczyki pokrywają, bywa, całe pnie; bromelie, czyli ananasowce, wyrastają z gałęzi drzew-gospodarzy jak bajeczne, wielkie rozety; niesamowicie zwisają kędziory „bród Absalona”.

Liany! Drzewa puszczy chciały widocznie rozszaleć się i ktoś zapobiegł temu wiążąc je w liny, zasięki i okratowania z lian. Sznury ich wiją się po ziemi, wspinają na pnie, przeskakują z gałęzi na gałąź drugiego drzewa, zsuwają się na ziemię, giną w gąszczu. W płataninie roślin nie sposób dociec ich początku ani końca. Girlandy i festony z bajki jak gdyby czekały od tysięcy lat na przybycie jakiegoś królewicza.

Wyobraźnia Indian nie zaludniła tych uroczyisk rycerskimi królewiczami ani czarującymi nimfami, ani faunami grającymi na flecie. Tu w gąszczu lian czyha na zbłąkanego przechodnia jedynie złośliwy Kurupira, krąży nocna mara Jurupary, skrzeczy zabójczy karzeł Maty-Tapere.

Z sędziwego drzewa kumała zwisa kilkadziesiąt lian niby zerwane nerwy olbrzyma, aż nieźnośne uczucie udziela się nerwom patrzącego na to człowieka. Inne zdradzieckie liany opasują pnie tak silnymi objęciami, że drzewa, zdławione, po kilku latach giną w tym śmiertelnym uścisku, a na ich trupie rozrastają się, liany i później przemieniają się w drzewa: to figowce.

Puszcza amazońska jest krainą lian. Niektóre są cienkie jak nici, inne dochodzą do grubości ciała ludzkiego. Człowiek co krok potyka się o nie i ociera.

Chcesz zdobyć, zuchwały człowieku, do swego zbioru kilka ptaków, których głosy rozlegają się w głębi puszczy? Bierz zatem strzelbę i nóż-maczetę, tnij gęstwinę i wchodź. Zważaj na drzewo, z którego zranionej kory sączą się krople białej żywicy. Jest to *assacu*. Jedna kropla, która dostanie się do oka, może pozbawić cię wzroku na zawsze.

Coś groźnie zaszeleściło na ziemi i ucieka. Wąż? Nie, wielka jaszczurka.

Palma *pacziuba* rozstawia w piramidę swe dziwaczne, nadziemne korzenie, uzbrojone w straszliwie długie kolce. Ukłucie tymi kolcami sprawia bolesne rany, nie gojące się przez tygodnie.

Z jakiejś rośliny uderzają wonie przyprawiające nagle o ból głowy i chęć wymiotowania. Po chwili przykry zapach mija i głowa przestaje cię boleć.

W pobliżu płacze kilkoro dzieci. Najprawdziwszy płacz zawodzących, głodnych bachorów. To prawdopodobnie żaby.

Z daleka słychać zbliżający się pociąg. Żłuda jest tak doskonała, że odróżniasz syk

pary wychodzącej z wentylów. Nie wiesz, co wywołuje te głosy, i zdumiony starasz się przedrzeć wzrokiem zieloną dzicz dokoła. Najbliższa kolej żelazna oddalona jest o tysiąc kilometrów.

Powalone przez burzę drzewo zagradza ci drogę. Wstępujesz na nie i wpadasz po pas w próchnicę. Wybiegają długie skolopendry, jadowite bestie. Nagle na skolopendry rzucają się mrówki-olbrzymy, przeszło dwucentymetrowe *insule*, i przy twoim boku wszczynają się walki. Uciekaj, bo w rozjuszeniu żółtnice mogą się rzucić także i na ciebie: od jadu skolopendry zachorujesz na kilka tygodni, a od ukłucia insuli przez pięć dni trawić cię będzie gorączka.

Uciekając płaczesz się w kolczastym gąszczu i padasz na ziemię. A wtem uroczy, błyszczący motyl *Morpho* przelatuje nad tobą jak olbrzymi szmaragd.

Bagnista, czarna woda do przebycia, jedna z miliona tak zwanych „tałamp” amazońskich, mokradło nieskończenie długie, lecz wąskie na kilka metrów. Czy głębokie i czy nie będzie tam jakiej drzewy, która uderzy ciebie prądem elektrycznym? Przechodzisz ostrożnie. Cieszysz się: nie jest głęboko, tylko kilka pijawek przyczepiło się do kamaszy. Strącasz je i ostrożne spojrzenie rzucasz na przebytą tałampę. Truchlejesz, w mętnej wodzie kotłuje się tajemniczo i złowrogo. Jakiś stwór rusza się tam w twoich śladach. Chwytasz najbliższą gałąź i wspinasz się na brzeg.

Biedaku, nie trzeba było chwytąć gałęzi! Na twojej dłoni powstają piekące pęcherzyki, a nim znajdziesz do domu, spuchnie ci ręka.

Pieć czy raj – nie wiadomo. Gorący kocioł bujności, wścieklej rozrodczości, szału życia, gdzie pożąda się ponad miarę i pożera doszczętnie, rozmnaża się i pożera. Wychodzisz z puszczy zmieszany, znużony nadmiarem wrażeń, przytłoczony wrogą obcością. A w głębi gąszczu słysząc wciąż wabiące głosy rzadkich ptaków, które chciałeś upolować.

Wyrwiesz się z puszczy, by uciec do jasnego świata i do ludzkich istot, by swobodnie odetchnąć w ich braterskim gronie. I niewątpliwie odetchniesz. Lecz taki jest już urok tropikalnej puszczy, że tysiące nierozwiązanych w niej zagadnień wciąż przyciągać będą przyrodnika – zagadnień, które wystąpią raz pod postacią dzikości skolopender i mrówek, innym razem pod postacią urzekającego motyla.

A oto wśród zabójczych moczarów i złej zieleni rośnie nad brzegami Ukajali czarowny, czerwony kwiat. Tubylcy nazywają go *situli*. Ma dwa szeregi wielkich jak dłoni ludzka pokryw o kształcie spłaszczonych serc, a koloru szkarłatnego tak intensywnego i żywego, że serca zdają się promienić w mrokach puszczy. Na widok tej zjawy przystaniesz olśniony i przemknie ci przez myśl, że warto było przyjeżdżać na ten koniec świata, by podziwiać pokryw kwiatów *situli*.

Często patrzyłem na kwiat *situli* i dotykałem jego mięsistych pokryw.

Wspaniały *situli* ma skromniejszego kuzyna, rosnącego w bardziej cywilizowanych okolicach, na Antylach. Anglicy nazwali go *Lobster Claw*, bo mięsiste pokryw kwiatów przypominały im szczypce skorupiaków – nauka zaś nazwała go *Heliconia humilis*.

CZEŚĆ VIII

GDZIE RYBY ŚPIEWAŁY

30. INDIANIE POGARDZAJĄCY BIAŁYMI LUDŹMI I MAŁPAMI

Niektóre narody europejskie, i nie tylko europejskie, były dumne z tego, że podbijały świat swą wyższą kulturą, silniejszym charakterem i sprawniejszą organizacją. Że tworzyły mądre systemy filozofii i dalekonośne armaty. Co prawda oddawały grzeczny pokłon filozofii hinduskich braminów i starej kulturze chińskiej, ale na pokłonie się kończyło. Indie uznano za bezcenną „perłę” korony brytyjskiej. Chińczykom wypowiadano wojny opiumowe, a inne ludy usiłowano cywilizować błogosławieństwem karabinów maszynowych.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa, gdy biały człowiek przybywał na Ukajali, gdzie mieszkał szczep Indian Czamów. Ci poczciwi pożeracze ryb ukajalskich do dnia dzisiejszego mieli o inteligencji białego człowieka jak najgorsze pojęcie. W ich mniemaniu rasa biała była upośledzona, a biały człowiek to niedołęga.

– Czemu uważasz, że jestem głupszy niż ty? – pytał półnagi Czamę urażony w swej dumie biały człowiek.

– Powodów jest tak wiele, jak ryb w rzece. Na przykład nie umiesz porządnie wiosłować – odpowiadał Indianin.

– To prawda, że nie umiem wiosłować tak jak ty, ale za to my umiemy budować parowce! – odcinał się biały.

Czarna śmiał się pogardliwie:

– Powiedz, jak często przyjeżdżają tu parowce?

– Mniej więcej raz na miesiąc.

– Widzisz, a wiosłować musisz trzy razy na dzień. Więc powiedz, co tu ważniejsze?

W istocie, w puszcy ważniejsze było wiosło.

Jeszcze dotkliwszy cios spotykał białego człowieka, gdy chodziło o kobiety Czamki. Biały człowiek, łatwo zdobywający kobiety na całym świecie, u Czamek ponosił druzgocącą klęskę. Wydawało to się dziwne, bo u kobiet ze szczepu Kampów, sąsiadujących z Czamami, miał niezłe szanse.

– Dlaczego nie chcesz mi dać swej córki na kompanierę? – pytał biały człowiek Czamę.

Ojciec indiańskiej rodziny niechętnie wyjawiał swe myśli.

– Nie chcę ciebie obrazić! – bronił się.

– Powiedz śmiało, nie obrażę się! – zapewniał biały.

– Dobrze, kumie, więc powiem. My wiemy, że gdy nasza dziewczyna odda się białemu, to z krwi białego zrodzi się głupie i do niczego dziecko. Krew białego człowieka jest nieczysta. Ale jest jeszcze inny powód. Nie chcą was nasze kobiety, bo biali ludzie wydają z siebie bardzo przykrą woń. Wybacz, kumie, ale wy paskudnie śmierdzą...

I Indianin zawijał się szczelnie w swoją kuźmę, rodzaj samodzielnego worka bawełnianego narzucanego na ciało, jako że komary ukajalskie cięły niemiłosiernie. Kuźmę utkała mu przed dwudziestu laty jego matka i od tego czasu Czarna nosił tę odzież bezustannie, nigdy jej nie piorąc. Bo po co? Kuźnia była kiedyś biała, dziś jest brudna i szara. Za pięć lat, gdy jeszcze bardziej się przepoci, nie upiorą jej, lecz wsadzą do wywaru z kory mahoniowej i pofarbują na ciemnobrązowy kolor. Taką kuźmę Indianin będzie mógł nosić do końca życia bez prania. Jak widać, kwestia czystości i zapachu to bardzo względna rzecz.

Przebywając nad Górnym Ukajali żyłem z Czamami w stałej styczności. Poznałem wielu z nich i niektóre ich zwyczaje. Był to szczep wyłącznie rybacki. Żył tylko nad

środkowym i górnym biegiem Ukajali. Nie było go w głębi lasów ani nad mniejszymi dopływami. W lasach polowali Indianie Kampowie, wojowniczy ludek, i w obawie przed nimi Czamowie uciekali się pod opiekę białych. Nie lubili białych przybyszów, ale dzisiejsi Czamowie nie byli wojownikami i jeszcze bardziej niż białych natrętów nie lubili wojen.

Czamowie są niskiej i krępej postawy, o zaokrąglonych kształtach. Rysy twarzy, wyraźnie mongolskie, zdają się potwierdzać opinię tych antropologów, którzy przypisują azjatyckie pochodzenie niektórym szczepom indiańskim. Czamowie żywią się przeważnie rybami i bananami, przyrządzanymi na różne sposoby. Tak zwana *pataraszka*, ryba pieczona w liściu pewnej palmy, mogłaby być przysmakiem także dla podniebienia wybrednego smakosza. O każdej porze dnia spożywają niebywale ilości *ciapu*, rodzaju zupy z bananów, rozgniecionych ręką i ugotowanych. Przepadają za wódką trzinową, lecz gdy jej nie mają, piją *masatu*, sfermentowaną jukę, którą kobiety przeżuwały poprzednio w ustach.

Widocznie ryby i banany służą im wybornie, bo Czamowie prawie nie znają chorób i są bezustannie w dobrym humorze. To ich uderzające znamię: zawsze się śmieją, zawsze są weseli i co najciekawsze, śmieją się nawet wtedy, gdy przydarzy im się jakieś nieszczęście. Na białym człowieku czyni to zrazu dziwne wrażenie i jak na wariata patrzy on na Indiania śmiejącego się dlatego, że rozciął sobie boleśnie rękę. Ich śmiech nie jest taki, jak nasz; przypomina raczej rżenie konia lub chichot i sprawia wrażenie, że to najczęściej drwiące podśmiewywanie się z siebie i innych. Czama to wesoły Indianin.

Chociaż Czama żyje wśród białych ludzi i niemal codziennie obcuje z nimi, umiał odgraniczyć się chińskim murem od wpływu ich kultury i cywilizacji. Może dlatego szczep nie ginie, lecz przeciwnie, Czamów jest podobno coraz więcej. Są bardzo odporni na różne choroby i przypadłości, stanowiące nad Ukajali udrękę ludności białej i mieszanej z białą.

Głównym rysem ich charakteru w stosunkach z białymi jest naiwna chytryść. Czarna chętnie oddaje się hacjendadowi w niewolę pańszczyźnianą, będącą w zwyczaju nad Ukajali, za co biały obowiązany jest ubierać go, dawać mu narzędzia i bronić we wszystkich opałach. Biały wychodzi na tym przeważnie jak Zabłocki na mydle. Albowiem Czarna nie lubi wysilać się przy pracy i więcej niż dwa dni z rzędu nie wytrzymuje na jednym miejscu. Ponieważ czerwony jegomość wszystko tłumaczy sobie na swój sposób, uważa prawdopodobnie białego hacjendado za swego opiekuna i obrońcę, który bierze na siebie wszystkie przykrości życia, aby zapewnić Czamie spokojny i szczęśliwy byt.

Czamowie przyjęli chrześcijaństwo, lecz tylko pozornie. Pozostali wierni obrządkom pogańskim, a o Bogu mają dość mętne pojęcie. „Ludzie bez Boga” to tytuł jedynej, zdaje się, monografii o Czamach, pióra wybitnego ich znawcy, Tessmanna. Czary odgrywają w ich życiu doniosłą rolę. Niektórzy umieją liczyć na palcach obydwóch rąk, a kiedyś słynął kuraka, czyli wódz, który liczył tak do 10 000. Czamowie nie mają wcale pojęcia o pieniądzu, a może nie chcą mieć pojęcia. Nie znają w ogóle wartości rzeczy, natomiast znają wartość kaprysu i tym się, szczęśliwcy, kierują. Bywa, że gdy im się spodoba nóż sąsiada, dadzą mu zań chętnie swoją *eskopetę*, tj. indiańską strzelbę, wartą dwadzieścia razy więcej niż nóż. Czamowie nie potrzebują walczyć o byt. Pełno jest ryb w rzece, a pęków bananów nad brzegiem, więc wolno im żyć kaprysem dziecka i nastrojem chwili.

Misjonarze tudzież właściciele hacjend narzekają, że nie ma na świecie tak zakutych łbów jak Czamowie. W ogóle wieszają na nich wszystkie psy. Ojciec Jose Gumilla pisał o

nich w 1882 roku: „Strach i tchórzliwość są matkami złośliwości; wszędzie Czamowie podejrzewają oszustwo lub podstęp na ich szkodę, dlatego wielu nie mówi prawdy, w kłamaniu zaś są mistrzami”.

Wydaje się, że Czamowie dopiekli dobremu ojcu, ale jeśli tak było, jak pisał, to czy dziwić się temu, że odpychali cywilizację, skoro przynosili ją konkwistadorzy i ich następcy?

Spośród innych szczepów Czamowie wybijają się zdolnościami artystycznymi. Z zastrzeżeniem: zdolności te posiadają tylko kobiety Czamki. Z gliny lepią misterne garnki różnych kształtów i potem ozdabiają je charakterystycznymi malowidłami. Są to czerwone i ciemnobrązowe kreski, łamane pod kątem prostym i ułożone na płaszczyźnie w tajemniczą, o swoistym systemie szachownicę. Kreski przypominają do pewnego stopnia rysunki geometryczne. Rzadko kiedy przedstawiają stylizowane zwierzęta lub ludzi, tak zniekształconych, że i oni przemieniają się w figury kreskowe. Ponieważ wszyscy Czamowie używają dokładnie tych samych ozdób, łatwo poddać się przypuszczeniu, że rysunki te mają jakieś głębsze znaczenie i są może oddźwiękiem zagubionego pisma, podobnego do hieroglifów. Tymi samymi rysunkami ozdabiają Czamki tkane przez siebie kuźmy oraz kobiece chusty i zapaski na biodra.

Czamowie żyją zasadniczo w jednożeństwie. Dziewczyny czamskie dojrzewają wcześniej: gdy mają osiem, dziesięć lat, rozglądają się za kandydatem na męża. Same go sobie wybierają, chociaż ojciec musi dać zgodę. Właściwe małżeństwo następuje dopiero wtedy, gdy młoda panna nauczy się wszystkich robót domowych i obowiązków kobiecych. Często bywa, że dziewczynę już od dziecka przyszły mąż wychowuje u swego boku i z chwilą dojścia do dojrzałości bierze w posiadanie.

Czamowie to na pewno najbardziej zazdrośni małżonkowie na świecie. Ci znawcy kobiet nie spuszczają z żon oka, a gdy wypada im gdziekolwiek wędrować, zawsze zabierają je ze sobą.

Na tle zazdrości małżeńskiej powstał ciekawy obyczaj noszenia *usiaty*. Usiaty to mały, pięciocentymetrowy nożyk, zaokrąglony w formie serca. Można nim zadać dotkliwe rany przecinając skórę, lecz trudno zabić. Oto zwyczaj nakazuje, by wszyscy mężowie nosili stale na szyi usiaty. Gdy żona przyprawi mężowi rogi, ówże ma nie tylko prawo, lecz obowiązek pocięcia rywalowi skóry na głowie, ile wlezie i ile sił w ramieniu zdradzonego małżonka. Jest to zatem rodzaj wymierzenia sobie satysfakcji honorowej za doznaną krzywdę, co się dzieje najczęściej podczas tak zwanego „święta pojednania”, obchodzonego raz do roku. Rzecz najciekawsza, że rywal, śmiejąc się szyderczo, nie unika zbytnio tych cięć, a rozgłaszaniem szczegółów zdrady stara się małżonka doprowadzić do białej pasji; im więcej będzie miał młodzian ran na głowie, tym większa jego sława donżuana. Są tacy, którzy po zdobyciu cudzej żony sami zgłaszają się do małżonka i nadstawiają mu głowy.

Czamowie twierdzą, że małpy można co prawda jeść, lecz niedobrze, gdy ludzie są podobni do małp i mają okrągłe głowy. Dlatego noworodkom zakładają z przodu i z tyłu głowy deszczułki, spłaszczające po kilku miesiącach czaszkę. Taka zdeformowana głowa stanowi później dumę jej posiadacza i zwiększa jego samopoczucie człowieczeństwa. Włosy na ciele, z wyjątkiem głowy, również zbytnio przypominają małpę, więc skrzątnie wszędzie się je wyrzywa. Albowiem unikać wypada zarówno skojarzenia się z białymi ludźmi, jak i podobieństwa do małp. Jedno i drugie jest na równi upokarzające.

Dla białego człowieka niełatwą rzeczą jest wniknąć w umysłowość Czamów.

Czamowie chowają swoje myśli przed białymi sąsiadami. Chowają również swoje wierzenia i obyczaje. Chcą żyć wśród białych, ale nie chcą się z nimi bratać. Mądry, wesoły szczep chce żyć wyłącznie własnym sposobem.

Jeżeli dokuczają ci, biały człowieku, niedobrzy przyjaciele, biurokratyczne urzędy, rozstrojone nerwy, to prawdopodobnie zapragniesz żyć z daleka od krzyku, w błogosławionej ciszy, na łonie najbujniejszej w świecie przyrody, pod palmami, nad wielką, rybną rzeką, wśród skromnych, pogodnych ludzi, którzy nie chcą znać pieniędzy. Zechcesz razem z nimi śmiać się jak dziecko i wiosłować, rzucać harpunem do wielkich ryb, jeść ciapu i podziwiać ich prymitywną sztukę. Słowem, chciałbyś przyjść nad Ukajali do Czamów i prosić ich z wezbranym sercem, by ci pozwolili żyć pod swymi namiotami i przyjaźnić się z nimi.

Wtedy, niestety, spotka cię gorzki zawód. Zakłopotany kuraka czamaski będzie długo drapał się po karku, a potem poradzi ci grzecznie, żebyś zamiast ich przyjacielem, został ich panem i patronem, a oni twoimi podwładnymi. I żebyś zbudował sobie wielką, osobną chałupę, z dala od ich kiepskich szałasów.

31. KOLIBRY

Dolores była córką Eutinia Arechaga, zbieracza kauczuku, mego sąsiada o kilometr. Dolores miała dwanaście lat, jasnobrązową cerę, wilgotne usta i śmiałe oczy, a pod jej kaftanikiem zaczynały dojrzywać kształty kobiece. Był to typowy produkt tych stron, zrodzony na pograniczu puszczy i cywilizacji, gdzie tworzyły się przepastne wiry pojęć, równie zawrotne, jak owe na rzece. Jakkolwiek Dolores była córką Metysa i czystej krwi Indianki Kam-pa, to jednak uczęszczała przez trzy lata do szkoły i nauczyła się czytać i pisać po hiszpańsku. Dziewczyna należała jeszcze do puszczy, która nie wypuściła jej ze swych objęć, lecz świat cywilizacji już zaszczerpił w niej ogromną ciekawość i rozliczne tęsknoty. Przeciętny Indianin tych okolic, Indianin-analfabeta, nie był ciekawy zawilych dróg białego człowieka, a oczy miał smutne i tępe. Dolores miała oczy śmiałe i promienne.

Pewnego dnia rano Dolores przybiegła do mnie i zawołała:

– *Senior*, niech *usted* przyjdzie do nas. Koło naszej chaty zbiegło się wiele ptaszków.

Wziąłem strzelbę i poszedłem za Dolores.

Arechago wyciął dokoła swej chaty kawałek lasu. Rosły tam teraz pod bokiem drzew bujne krzaki, które właśnie pokryły się żółtymi kwiatami.

Do tych żółtych kwiatów przylatywały bajeczne ptaki, kolibry. Trrrr, słyhać było energiczny warkot, niby odległego samolotu, i znieńacka, zaledwie o dwa kroki przed nami, zatrzymał się w powietrzu, jak wryty, ptak nie-ptak, właściwie szmaragd, który nagle zmieniał się w błyszczący rubin, a potem w lśniące złoto. W następnej chwili znikał nam z oczu. Coś w błyskotliwym locie mignęło, burknęło i już koliber sterczał o trzydzieści kroków dalej przed innym żółtym kwiatem i zanurzał w kielichu długi, ostry dzióbek.

Trrrrrr, przelatywał w tej chwili tuż blisko nas drugi koliber, a potem trzeci i czwarty. Unosiły się nad bliskimi kwiatami i znikwały. Trzy inne przecinały głośno powietrze, potem naraz widzieliśmy wkoło siebie kilkunastu małych lotników. Patrząc na taką ich obfitość uświadomiłem sobie, że oto przed naszymi oczami odsłaniało się podniecające zjawisko przyrody: żywiołowy przylot kolibrów do żółtych kwiatów na

krzewach.

Kolibry! Jeżeli bujna przyroda południowoamerykańska stworzyła liczne cuda piękności, to kolibry bezsprzecznie zaliczyć należało do jej najszczytniejszych arcydzieł.

Mimo że najmniejsze na świecie, umiały ściągnąć na siebie ludzką uwagę bardziej niż jakiegokolwiek inne ptaki. Chociaż drogi nam Kornel Makuszyński w jednej ze swych humoresek pisał szpetnie o pewnej niewieście, że mózgu nie miała więcej niż koliberek, to jednak, w innym zestawieniu, ptak ten stał się w oczach ludzi uosobieniem całego czaru, jaki istnieje w przyrodzie południowoamerykańskiej, o tyle bogatszej od przyrody innych części świata.

Wszyscy podróżnicy w Ameryce Południowej prawie bez wyjątku uważali za obowiązek wpadać w zachwyt i sławić „skrzydlate klejnoty”. Biorę na przykład pierwszą pod ręką książkę o Brazylii, brytyjskiego malarza Keith Hendersona, zatytułowaną: „Gaje palmowe i kolibry” („Palm Groves and Humming Birds”, London 1924), i czytam między jednym uniesieniem a drugim, co następuje: „Kocham cię, o tyciuteńki kolibrze, za twoją odwagę i za twe przejmujące piękno. Uroczy czarodzieju, chylę czoło przed tobą, którego kiedyś za boga miano!” Henderson był co prawda artystą wrażliwym na piękno, lecz podobny zachwyt udzielał się także i skończonym snobom.

I w istocie, ptaszki te zasługiwały na wyjątkowe wyróżnienie. Niektóre gatunki miały ciała trochę większe niż nasze szerszenie. Uderzała nie tylko ich olśniewająca szata, pełna metalicznych połysków; zdumiewał – to chyba najwłaściwszy wyraz: zdumiewał – ich wdzięk i zawrotna szybkość, nieziemski polot i zadziwiająca zwinność, czupurność, zuchwalstwo. Drobne ciała posiadały nieproporcjonalnie silne mięśnie.

Ptaki te zjawiały się przy nas niespodzianie jak istoty z bajki i przystawały w powietrzu nad kwiatem, przy czym skrzydełkami uderzały tak szybko, że miast skrzydeł widziało się tylko mgiełkę. Nie siadając, wybierały z kielicha małe chrząszczyki i miód i tak zdobywały sobie pokarm. Do życia tych szmaragdów i rubinów, zamienionych w ptaki, potrzebne były kwiaty, tak samo jak kwiaty potrzebne były motylom.

Dwa wojownicze samczyki staczały zaciętą walkę. Piszcząc i zataczając w powietrzu dokoła siebie błyskawiczne kręgi wzbijały się wysoko w górę. Potem, niewiele snadź wyrządziwszy sobie krzywdy, rozleciały się w przeciwne strony, a jeden z nich furknął lotem strzał w naszym kierunku i siadł w pobliżu na suchej gałązce krzaku.

Brutalny huk z mej strzelby rozdarł powietrze. Koliber spadł jak kamień na ziemię. Dostoczyłem. Szukaliśmy zdobyczy w gęstej trawie, szukaliśmy długo i daremnie.

– Tu spadł! – wołała Dolores rozżalonym głosem.

Spadł, to prawda, ale przepadł w zielsku jak kamfora. Nie znaleźliśmy go.

Tak zaczęło się moje polowanie na najmniejszą zwierzynę. Serce się krajało, że trzeba było do niej strzelać, lecz wymagał tego obowiązek: miałem przecież przywieźć zbiory tutejszej fauny do muzeum w Polsce. Obowiązek przykry, wręcz odrażający, ale – jak mi się wtedy wydawało – nieunikniony.

Częste strzały rozlegały się wśród krzaków; często padały kolibry. Dolores, rozkoszna dziewczyna, porwana żyłką myśliwską, była nieodstępną towarzyszką. Uwijała się jak sarna wśród gąszczy, zbierała zastrzelone ptaki i promieniała radością. Pałającym wzrokiem ogarniała kolibry, moją strzelbę i czasem mnie. Dolores stała się bardzo użyteczna. Gdy co dzień rano, w godzinę po wschodzie słońca zjawiałem się z Czikiniem na polu Arechaga, Dolores już czekała i witała nas wesołym uśmiechem.

Dziwna to zwierzyna: kolibry nie znały strachu przed człowiekiem i przylatywały

czasem tak blisko, że nie można było strzelać. W pierwszy dzień zabiłem w dwie godziny piętnaście ptaszków, w tym, niestety, kilka zupełnie rozszarpanych śrutem. Do wszystkich innych zwierząt w przyrodzie trzeba czujnie podchodzić i zbliżać się na strzał; polując na kolibry trzeba było oddalać się na strzał.

W trzecim dniu polowania byliśmy świadkami przejmującego zdarzenia. Wielki sokół zataczał nad polaną koła i szukając ofiary coraz bardziej zniżał lot. Kolibry spostrzegły niebezpieczeństwo i wszystkie nagle się schowały. Z wyjątkiem jednego. Nieustraszony malec podjął walkę z olbrzymem i z wojowniczym piskiem rzucił się na niego. Rozegrała się w powietrzu niebywała scena: zacięta walka dwóch przeciwników o tak nierównych siłach, że – zdawałoby się – potrzeba było jeszcze jednego machnięcia wielkim sokolim skrzydłem, by karzełka zabić. A jednak w końcu zwyciężył koliber. Jego błyskawiczny lot, nieprawdopodobna zwinność i ciągle napaści w kierunku oczu wielkiego wroga wytrąciły ostatecznie drapieżnika z równowagi. Znekany sokół dał za wygraną i ulotnił się, a na miejscu pozostał koliberek.

Dolores nie posiadała się z radości i klaskała głośno w dłonie na cześć walecznego junaka.

Zwycięski ptaszek nie oddalił się, lecz zleciał ku ziemi i siadł w pobliżu na gałęzi. Był to nowy gatunek, z wysokim czubem na głowie. Nie miałem go jeszcze w zbiorach, po raz pierwszy go widziałem. Wydawał mi się wyjątkowo cennym okazem, jednak wahałem się. Bezwiednie przyłożyłem rękojeść strzelby do ramienia, ale nie strzelałem. Byłem w rozterce z sumieniem. Nieustraszony rycerzyk przejmował podziwem: nie miałem odwagi zabić go.

– Strzelaj! – usłyszałem obok porywczy szept. – Strzelaj, bo ucieknie!

Dolores cała aż kipiała ze zniecierpliwienia.

Rzeczywiście w tej chwili koliber zerwał się z gałęzi i odleciał. Niedaleko. Kilkanaście kroków dalej przystanął, zawieszony nad kwiatem.

– Strzelaj! – zawołała dziewczyna.

Czy już byłem tylko nieczułym przyrodnikiem, niczym więcej?

Czy widziałem tylko rzadki okaz, który za chwilę ucieknie, przypuszczalnie na zawsze? Padł strzał. Pomimo odległości ptaszek trafiony.

Przyniosła go Dolores. Błyszczące jej oczy pochłaniały śmierć ptaka z wielkim zaciekawieniem. Były to oczy myśliwych od pokoleń.

– Lubisz zabijać! – stwierdziłem z wyrzutem.

– Lubię. Tak samo jak pan.

– O nie, Dolores! Ja nie lubię zabijać!

– To czemu pan strzela do nich?

– Musze zbierać materiały do muzeum.

– Zbiera pan, bo lubi zabijać; gdyby nie chciał zabijać, nie zbierałby. Jasne!

Rozumowanie nie pozbawione logiki. Gdy mimo to przeczyłem jej słowom, Dolores rzuciła ku mnie drwiące spojrzenie, wielce zabawne w jej dziecięcej twarzyczce:

– Czy *usted* wstydzi się przyznać?

Seniorita Dolores, jak na swój wiek, była dość rezolutna. Tego widocznie nauczyła się w szkole. Starłem się zachwiać nieco jej pewną siebie postawę, a swoją wzmocnić:

– Czy wiesz, Dolores, jak nazywa się ptaszek, którego przed chwilą musieliśmy zabić?

– Koliber.

– Ale jak Indianie go nazwali?

Dolores wybuchnęła rozbawionym śmiechem:

- Nie miałabym wiedzieć? Oczywiście, że wiem...
- „Żywe promienie słońca” – powiedziałem.
- Oo!

Dolores była zaskoczona. Tego nie wiedziała. Była zachwycona. Nazwa podobała jej się bardzo. Ale wnet odezwała się w niej dziewczęca przekora:

– Promienie słońca? Żywe promienie? To dziwna nazwa. Promieni nie można zabić, a my zabijamy kolibry, więc co? Indianie źle to nazwali.

– Dlaczegożby promieni nie można zabić?

– Bo jakże? No, po prostu, promienie nie żyją! – upierała się Dolores.

– A te właśnie żyją! Ale czekaj, Dolores! Czy wiesz na pewno, że prawdziwe promienie, te słoneczne, nie mają związku z życiem?

Nadleciało kilka kolibrów i całą uwagę skierowaliśmy ku polowaniu. Nie można było rozmawiać. Dziewczyna spoważniała. Dopiero gdy w godzinę później zbieraliśmy się do powrotu, Dolores odezwała się:

– *Senior*, byłam niemądra. Oczywiście, że promienie można zabić. Wiele innych rzeczy kona. Gdy słońce zachodzi, kona dzień. Gdy dziecko umrze matce, zamiera jej serce. Jestem głupia!

– Nie jesteś głupia, Dolores! – zaprzeczyłem z żartobliwym wyrazem twarzy, której starałem się nadać wielką powagę. – Skonał ci jedynie na buzi uśmiech przekory...

Pewnego razu przy krzakach zjawiał się niezwykle okaz. Strzeliłem do niego raz, drugi i trzeci, a on nic, dalej spokojnie unosił się nad żółtym kwiatem. Nareszcie po czwartym strzale padł na ziemię i teraz dopiero zobaczyliśmy, że to wcale nie koliber, lecz motyl z rodziny dziennych zawisaków. Jego lot i sposób żerowania przy kwiatkach był łudząco podobny do lotu kolibrów. Później dowiedziałem się jego entomologicznej nazwy: *Macroglossa Titan*.

Któregoś dnia pracowałem w domu do późnej nocy i następnego rana spałem dłużej niż zazwyczaj. Zbudziło mnie łagodne muśnięcie w policzek. Otwierając oczy zdziwiony poznałem Dolores.

– Czego tu chcesz?

– Wstań i chodź. Dziś pełno ptaków przy kwiatkach.

– A czy wiesz, ty nicponiu – spytałem z udanym oburzeniem – że tu moja chata?

Oczy Dolores umiały ślicznie uśmiechać się z przekorą. Odpowiedziała:

– A czy wiesz, że ja jestem twoją pilną pracownicą?

Przez kilka dni z rzędu przylot kolibrów był tak obfity, że co dzień widzieliśmy ich sto kilkadziesiąt i w ciągu dwóch godzin zdobywaliśmy dziesięć, dwanaście okazów. Był to wystarczający plon, ażeby potem przez resztę dnia spokojnie móc ściągać i preparować skórki.

Lecz po tygodniu napływ osłabł; z każdym następnym dniem coraz mniej przylatywało kolibrów. I wtedy stała się rzecz niezmiernie typowa dla przyrody południowoamerykańskiej, tak bogatej w przeróżne objawy mimikry. Miejsce ustępujących kolibrów zajęli ich naśladowcy i – co najciekawsze – naśladowe z rodu motyli.

Sąsiedni las roił się od pewnego gatunku papilionidów, motyli czarnych z białymi i czerwonymi plamami, przystrojonych dwoma ogonami, dłuższymi niż u naszego pazia królowej. Owe leśne motyle wylatywały teraz na polanę, czego dotychczas nie czyniły i

gęsto odwiedzały żółte kwiaty na krzewach. Nieomylny instynkt musiał im podszeptać, że polana, która onegdaj była jeszcze niepodzielną domeną kolibrów, dziś jest najbezpieczniejszym dla życia ustroniem, gdyż wojownicze ptaki wypędziły wszystkich wrogów.

I nie dość tego: motyle najwyraźniej naśladowały ruchy kolibrów. W lesie te same papilionidy szybowały powolnym, równym lotem statecznie trzepocząc skrzydłami; teraz zbliżając się do krzaków drgały szybko i nerwowo skrzydłami, zupełnie jak to czyniły kolibry.

Motyle nie mają inteligencji indywidualnej, mają tylko instynkt. A instynkt potrzebuje przecież tysięcy lat, by zrodzić nowy logiczny wniosek. Więc jakiś inteligentny duch, rządzący prawami tej dziwnej puszczy, wywabił motyle na polanę? Gdzież było tajemnicze źródło, które motylini głuptaskom podsuwało na poczekaniu tak przebiegły a trafny sposób samoobrony?

W końcu kolibrów pokazywało się tak mało, że nie warto było na nie polować i pewnego dnia pozostałem w domu. Zjawiła się urażona Dolores:

- Dlaczego dziś nie przyszedłeś?
- Bo nie ma już kolibrów.
- Kolibrów nie ma, ale jest za naszą chatą cała masa innych ptaków...

Dolores miała wiele wdzięku i trudno było jej się oprzeć, gdy prosiła miękkim głosem:

- Przyjdź jutro do nas na polowanie...

32. HUMOR KABOKLI

Od trzech dni lał deszcz nad Ukajali. Wpadał również do mej chaty poprzez nadgniły dach z palmy *jariny*. Siedziałem skulony w gumowym płaszczu. Melancholię zwalczałyśmy gorącą, dobrą kawą i mocnym kaszasem, to jest wódką z trzciny cukrowej. P,o kątach ziewały zgnębione postacie, moi towarzysze. Było nam bardzo smutno, rzeka rosła.

Wtedy pomyślałem o innej rzece, południowobrazylijskiej Rio Ivai, nad którą przebywałem przed pięciu laty. Tam było słońce (o tamtejszych deszczach widocznie już zapomniałem!), tam krzatali się weseli ludzie i panował – do krośset! – humor brazylijskich kabokli. A nad Ukajali lały deszcze. Tu wszystko nasiąkało wilgocią i nie było humoru, tu piło się kaszasz i tylko wspominało o dalekich, radosnych ludziach.

Brazylia jest zaludniona przeważnie w pasie nadmorskim, gdzie koncentruje się jej kulturalne, gospodarcze i: polityczne życie. Natomiast olbrzymie zaplecze, tak zwany interior, pokryty na ogół lasami, ma do dnia dzisiejszego nieliczną ludność. Za to ludność oryginalną, o wybitnie odrębnych cechach i dość zawiłym pochodzeniu, pomimo że mówi po portugalsku. Są to kabokle. Sami o sobie powiadają z dumą, że są jedynymi prawdziwymi Brazylijczykami, gdyż oprócz krwi białych ludzi płynie w ich żyłach także sporo krwi murzyńskiej i indiańskiej. Przede wszystkim indiańskiej. Zaszyci w puszczy, mało co wiedzą o szerokim świecie, który ich niewiele interesuje. Są gościnni, śmiesznie honorowi, w obronie własnej godności porywczo-zawadiaccy i przeniknięci jakąś zamierzchłą romantycznością.

Kabokle, pomimo zupełnego nieuctwa, są ważnym czynnikiem cywilizacyjnym: nieprzebyte puszcze przecinają ścieżkami, a tymi ścieżkami wdzierają się koloniści, by

zakładać kolonie, a za nimi handlarz i mierniczy. W południowych stanach Brazylii sąsiadują z polskimi osadnikami, na których przeważnie patrzą niechętnym okiem, gdyż przybysze zabierają im puszcę, rażą swą ruchliwością i zakłócają im ulubiony spokój.

Kabokle są ubodzy jak mysz kościelna, lecz równocześnie dumni ze swej niezależności. Żywot na bezludziu, w rozproszeniu, naraża ich na różne wypadki i niebezpieczeństwa, pozbawia wszystkiego, do czego przywykł człowiek cywilizacji, a jednak wolą oni prowadzić taki żywot, jakkolwiek nędzny, aniżeli pójść jako najemnicy na wielkie posiadłości, położone w bardziej zaludnionych okolicach, bliżej miast i morza.

Światlejsi kabokle, zapijając przy ognisku gorący szimaron, odwar herwy maty, czyli herbaty parańskiej, z szacunkiem wymawiali imię Luisa Prestesa. Niezlomnego obrońcę praw ludu brazylijskiego ten i ów znał osobiście, zwłaszcza gdy brał udział w jego słynnym marszu rewolucyjnym poprzez Brazylię w latach od 1924 do 1927.

Nad rzeką Ivai żyłem wśród brazylijskich kabokli doznając niejednemu raz ich gościnności i pomocy. Przekonałem się, że to na ogół mili ludzie i bardzo poczciwi, co sprawiło, że krążyło o nich mnóstwo anegdot, zwłaszcza na temat ich wątpliwej rzekomo inteligencji. Dowcipy te opowiadali mi sami kabokle, tak jak Szkoci lubią wyśmiewać się z własnego skąpstwa.

Nasz zacny Łukasz Górnicki w „Dworzaniu polskim” opowiadał kawał, jak to podróżni, wracający z jarmarku do domu, zaskoczeni nocą, musieli przenocować na drzewie. Rano schodzili z drzewa w sposób trochę dziwny, bo najmocniejszy z nich uczeplił się gałęzi i zawisł w powietrzu, drugi uchwycił się jego nóg, drugiego w ten sam sposób trzeci, aż utworzyli z siebie żywą drabinę, po której inni, starsi, zsunęli się na ziemię. Tymczasem pierwszemu, który trzymał się gałęzi, zaczęły drętwieć ręce, więc za radą towarzyszy chciał popluć w dłonie; puścił gałąź i oczywiście wszyscy runęli razem z nim na ziemię.

Tak opowiadał Łukasz Górnicki przed kilkuset laty. Ta sama fabuła poprzez wieki i morza zawędrowała do Brazylii i tu spotkałem ją w głębi puszczy, ale już w formie mniej nedorzecznnej i naiwnej, natomiast lepiej dostosowanej do okoliczności.

W lesie brazylijskim rośnie wiele użytecznych lian, zwieszających się z drzew jak potężne, kilkunastometrowe sznury. Używa ich się do wiązania płotów i różnych innych rzeczy. Pewnego razu dwóch kabokli wybrało się, ażeby naciąć sobie lian. Pierwszy wspinał się na lianie jak na linie, a gdy już był u góry, dobył noża i przeciął ją ponad sobą. Oczywiście wraz z lianą runął na ziemię.

– A, ty głupi! – wyśmiał go towarzysz. – Zrobiłeś to na opak, kumie. Musisz to tak zrobić!

Sam wlaź na inną lianę i będąc u góry przeciął ją poniżej siebie, odcinając sobie tym samym powrót na ziemię. Więc i on spadł.

Najpopularniejszym w interiorze dowcipem brazylijskim, który w ciągu miesiąca słyszało się chyba kilkanaście razy, a który – co najciekawsze – zawsze wzbudzał wesołość wśród kabokli, był dowcip z sarakurą i buziu. Kawał typowo brazylijski; poza Brazylią trudno by go zrozumieć, natomiast tam, w puszczy, Brazylijczycy tak samo śmiali się słysząc go po raz setny jak za pierwszym razem. Gdzie ten dowcip się przypominał, tam właśnie ustawały deszcze, lejące jak z cebra przestawały być udręką, komary mniej dokuczały.

Otóż sarakurą jest pospolitym w Brazylii ptakiem z rzędu brodzieńców, mającym tę właściwość, że zazwyczaj odzywa się wtedy, gdy zanoszą się na deszcz. Małpa buziu, czyli

po polsku wyjec, również przepowiada swoim głosem ulewę. Tak więc ptak sarakurą i małpa buziu odgrywają rolę barometrów, przy czym do małpy buziu, jako pewniejszej wróżki, kabokle mają więcej zaufania.

Kawał jest krótki. Dwóch kabokli siedziało przy ognisku. Wtem w zaroślach odezwała się sarakurą. Rzekł pierwszy kabokło:

– Słyszysz? Sarakurą. Będzie deszcz!

A drugi odrzekł sceptycznie w tym sensie, że nie ma zaufania do sarakury jako wróżki deszczu, natomiast lepszą wyrocznią jest małpa buziu, i ujął to w słowa;

– *Saracura nao e Deus, bugiu – si!* – co dosłownie znaczyło: Sarakura nie jest Bogiem, buziu – tak!

I dlatego cała Brazylia, jak długa i szeroka, śmieje się z kabokla, że małpa buziu była dla niego Bogiem.

W okolicach puszczy bardziej zaludnionych, zwłaszcza tam gdzie krzyżowało się kilka ścieżek, powstawała zwykle karczma, czyli venda, w której można było zakupić wszystkich towarów potrzebnych w interiorze: strzelb, prochu, narzędzi, tkanin, wódki itp. Karczmarz albo wendziarz, jak go polscy koloniści nazywali, umiał często trochę pisać i czytać i dlatego uchodził za spryciarza i oczajduszę.

Przed wendą takiego to spryciarza rosło drzewo zwane *pao de ferro*, drzewo żelazne; żelazne dlatego, że jest prawie tak twarde jak żelazo. Drzewo to było źródłem dobrego zarobku chytrego karczmarza, który wyzyskiwał ambicję kabokli, lubiących chępić się swoją siłą fizyczną. Mianowicie gdy przybywał jakiś obcy kabokło, posiadający siekiere lub inne podobne narzędzie, wendziarz umiał go sprowokować i zakładał się z nim o kolejkę wódki dla wszystkich obecnych, że przybyszowi nie uda się zrąbać twardego *pao de ferro*. Kabokło zabierał się ochoczo do drzewa i zawsze przegrywał. Siekiere niszczył szczerbiąc ją lub zgola łamiąc jej ostrze, a żelazne drzewo jak stało, tak stało. W końcu kabokło dawał za wygraną i musiał stawiać wszystkim wódkę. A karczmarz robił na nim podwójny interes. Sprzedawał nie tylko wódkę, lecz i nową siekiere.

Zabawa z twardym drzewem podobno smętnie się zakończyła, bo pewien dziarski kabokło, który sto razy bezskutecznie uderzał siekiere w drzewo, tak się rozsierdził niepowodzeniem, że za setnym pierwszym razem uderzył w karczmarza i tym razem bardziej skutecznie: rozłupał mu głowę.

Chlup, chlup, chlup, padał deszcz na dach chaty nad IJkajali. Jakie to przykre i smutne!

Pojęcie etyki w lesie brazylijskim było nieco odmienne od naszego. Na przykład oszukać kogoś wcale nie uchodziło za grzech, przeciwnie: dowcipnego oszusta ceni się jako człowieka inteligentnego, cała zaś niesława spadała na oszukanego. Dwóch kumów mogło przyjaźnić się bardzo poufale, a mimo to, gdy przyszło do interesu, jeden drugiego potrafił oszukać i na domiar wyszydzić.

Gdy podczas mej pierwszej podróży południowoamerykańskiej zbierałem okazy fauny brazylijskiej w stanie Parana, miałem ciekawą przygodę, nie pozbawioną lokalnego kolorytu. Pewnego dnia, polując w odludnym gąszczu nad rzeką Ivai, spotkałem zebraka. Jechał na pięknym koniu, był boso i w obdartych łachmanach, ale na gołych nogach widniały przypięte srebrne olbrzymie ostrogi, głowę zaś miał ogromnie dumną i zbójcką. Trzymając w garści strzelbę poprosił mnie o jałmużnę. Chociaż nie

byłem bez broni, znalazłem się w drażliwym położeniu. Wiedziałem, że w okolicy włóczyło się kilku zabijaków, niebezpiecznych *valentaonów*. By jakoś wybrnąć z tarapatów, zagadnąłem go, wskazując na jego strzelbę:

– Czy *senhor* dobrze strzela?

Żebak, zdziwiony, odrzekł ze skromną miną, chociaż z ironią w głosie:

– Na sto kroków trafię w oko *senhora*.

Na to ucieszyłem się bardzo i zapytałem go, co w ogóle porabia, czy ma wolny czas.

– Jestem wolny jak ptak – odrzekł – niezależny, jak spod prawa wyjęty...

– To znakomicie się składa! – zawołałem. – Szukam właśnie takiego kawalera.

Czułbym się zaszczycony, gdyby *senhor* zechciał przystąpić do mej wyprawy jako szlachetny przyjaciel, opiekun i chlubny myśliwy na ptaki.

Drapichrust był tak zaskoczony i rozbawiony propozycją, że zapomniał o jałmużnie i zgodził się; odtąd Octavio – tak mu było na imię – stale u mnie pracował.

Miał swój własny, bezprzykładowy kodeks honorowy. W okresach, w których uważał mnie za swego przyjaciela, był pilny, uczciwy i przynosił mi moc ptaków jako podarki, mimo że chciałem mu za nie płacić. Gdy natomiast uświadomił sobie, że jest właściwie tylko najemnikiem wyprawy, wtedy był nieznośny, mało polował, wiele się targował i oszukiwał na każdym kroku. Wyznaczyliśmy ceny w ten sposób, że za pospolite ptaki płaciłem mu mniej, za nowe, nieznane okazy – znacznie więcej. W owe czasy zdobyliśmy kilka tangarów, ślicznych ptaków o czerwonej głowie i czerwonym dziobie. Octavio przyniósł mi raz nowego tangara i oświadczył, że to niebywały okaz.

– Niebywały! – powtórzył z naciskiem i triumfem na zbójckiej gębie.

Spojrzałem: nasz stary tangar czy nie tangar? Miał czerwoną głowę, ale dziób czarny, a nie czerwony. Badając przez lupę wpadłem na ślad oszustwa Octavia. Gałgan po mistrzowsku pomalował dziób aaa czarny kolor i stworzył nowy gatunek, ażeby mu więcej za niego zapłacił.

– Oszust! – zawyrokowałem na pół wesoło, żeby go nie zrazić, o co było łatwo.

– Nie, *senhor*! – wyprostował się Octavio niezmiernie uroczyście. – To opinia krzywdząca i pozbawiona wszelkiego prześlysku sprawiedliwości. Czy nie mówiłem wyraźnie, że to „niebywały” okaz?

– Ale cel tego wszystkiego był gałgański, Octavio, przyznajmy się!

– O święty Józefie! Cel był najszlachetniejszy, nacechowany najgłębszą dla ludzkości przyjaźnią! Żywiłem szczytną intencję, by przyjemność sprawić obydwom równocześnie, *senhorowi* i sobie. Ale – jak nie, to nie!

Mimo to byłem rozżalony i wygarnąłem mu kazanie o pojęciu przyjaźni. Na to skruszony grzesznik przyrzekając solennie poprawę oświadczył wspaniałomyślnie, że daruje mi tangara, i potem skromnie poprosił, żebym jeszcze coś zrobił: mianowicie, żebym wyciągnął z ptasiego ogona pióra, bo i tam hultaj poprawił przyrodę i wsadził tangarowi obce piórka do ogona.

Przeciętny śmiertelnik nie mógł sobie wyobrazić, do jakiego stopnia w Ameryce Południowej panowało przekupstwo i łapownictwo, i to przekupstwo zupełnie jawne. Tam nie pytano się urzędnika państwowego, jaką pensję pobiera, tylko: jaki dochód przynosi mu urząd, dochód uboczny. Częste „rewolucje” w tej części świata zazwyczaj nie były walką o idee, lecz bójką o dorwanie się do złobów.

W czasie mej bytności w Brazylii opowiadano sobie powszechnie kawał na tle stosunków w wojsku, nie będący, jak mnie zapewniano, wymysłem.

W mieście Kurytybie stacjonował pułk piechoty, w Ponta Grossie stał inny pułk. Oficerowie i żołnierze obydwóch jednostek byli zdemoralizowani, gdyż zbyt długo siedzieli na jednym miejscu. Przełożone władze poleciły więc obydwom pułkom zamienić wzajemnie miejsca stacjonowania i przekazały na ten cel odpowiednie sumy. A jak dowódcy pułków wywiązali się z zadania? Po prostu pozostawiając pułki na starych miejscach, zamienili jedynie ich numery i nazwy i tylko sami osobiście się przeprowadzili, po czym władzom zdali piękne raporty, że rozkaz wykonano. Oczywiście, sumą przeznaczoną na transport pułków podzielili się między sobą.

W tych czasach spotkała mnie taka przygoda: z Kurytyby wiozłem koleją do Ponta Grossy znaczny bagaż, który nadałem do wagonu bagażowego. Urzędnik na stacji w Kurytybie rzeczy zważył, ale potem, wypisując pokwitowanie, zamyślił się i w końcu zwrócił się do mnie z propozycją ubicia wspólnego interesu. Bagaż ważył trzysta kilogramów i przewóz miał kosztować około stu milrejsów. Otóż on wypisze na pokwitowaniu, że bagaż waży tylko piątą część i kosztuje dwadzieścia milrejsów, a resztą, to jest osiemdziesięcioma milrejsami, podzielimy się rzetelnie do połowy, on czterdzieści, ja czterdzieści, tak że zamiast stu milrejsów zapłacę tylko sześćdziesiąt. Propozycja zaskoczyła mnie tym bardziej, że przysłuchiwało jej się czterech obcych świadków: dwóch moich towarzyszy podróży i dwóch tragarzy z miasta. Gdy chciałem wyrazić wątpliwość, towarzysz mój, obeznany ze stosunkami krajowymi, doradził mi szeptem, że nie mam innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na propozycję, bo inaczej bagaż zaginie w czasie podróży lub powstaną inne kłopoty. Wobec tego się zgodziłem. Bagaż w istocie zajechał w porządku i nic po drodze nie zginęło.

Gdy później opowiadałem ową historię znajomym w Kurytybie, ci byli zdziwieni, że rzecz na tym się skończyła i że w Ponta Grossie nie było przykłej niespodzianki.

Mianowicie urzędnik z Kurytyby mógł być zatelefonować do swego kolegi w Ponta Grossie i polecić mu, ażeby jeszcze raz zbadał wagę naszego bagażu i pobrał od nas różnicę osiemdziesięciu milrejsów, którą to sumą znowu podzieliliby się obydwaj urzędnicy. Że tego nie zrobił, mieliśmy szczęście – oświadczone nam – natrafiając na wyjątkowo uczciwego urzędnika.

Ameryka Południowa zrodziła na temat swych licznych buntów i „rewolucji” również liczny legion dowcipów, a niektóre były diabelnie realistyczne i cięte. Oto jeden z nich:

W czasie zamieszek w kraju pewien generał posyłając do kolegi, będącego w opalach, na pomoc swoją najlepszą jednostkę, kompanię ochotników, taki dołączył list: „Do Twej dyspozycji przesyłam stu dzielnych ochotników. Będę Ci niezmiernie wdzięczny za rychły zwrot kajdanków”.

Przestało wreszcie padać. Z drugiej strony Ukajali pojawił się niebieski otwór w niebie. Całe szczęście, bo zabrakło w chacie kaszaszu, jedyne lekarstwa, poza wspomnieniami, na deszcze nad Ukajali.

33. WODA, WODA, WODA

Obok ogromnej, pełnej okrucieństwa i zachłanności puszczy jest w dorzeczu Amazonki żywioł jeszcze zachłanniejszy i okrutniejszy, świat jeszcze bardziej nieobliczalny: to woda.

Najpotężniejsze rzeki i rozlewiska na ziemi toczą tu swe nurty, największe ryby

słodkowodne żyją w głębinach, woda unosi się w rozgrzanym powietrzu gęstą parą. Dzięki wodzie powstały te rozległe, wspaniałe puszcze.

Ukajali jest jednym z wielu dopływów Amazonki. Mieszkając w Kumarii żyłem niedaleko miejsca, skąd Ukajali czerpie swój początek, i tu, prawie u podnóża Andów, młoda ta rzeka miała już szerokość blisko kilometr. Chciałem raz zmierzyć głębokość wody w pobliżu mej chaty i wziąłem ośmiometrowy sznur z ciężarkiem. Cóż, kiedy już w odległości pięciu metrów od brzegu nie mogłem dosięgnąć gruntu. Było tam głębiej niż osiem metrów.

W mieście Iquitos jest tak wiele wody w Amazonce, że ongiś, za czasów lepszej koniunktury, dopływały tu z Atlantyku wielkie statki oceaniczne. W czasie mego pobytu w Iquitos podziwiałem manewry peruwiańskiej floty wojennej, które odbywały się z taką swobodą, jak gdyby to było w rozległej zatoce morskiej.

W Tabatinga, na pograniczu peruwiańsko-brazylijskim, stosunkowo niedaleko jeszcze Kordylierów, Amazonka ma już dwa razy więcej wody niż nasza największa rzeka europejska, Wołga. Natomiast przy ujściu ta rzeczna lawina wtłacza do oceanu wody dwunastu Wołg.

Pewnego dnia w marcu przeżywaliśmy piekło nad Ukajali. W nocy srożyła się gwałtowna burza tropikalna, która postępowała z biegiem wody i nie pozwalała nam zmrużyć oka. Rano nie poznaliśmy rzeki. Wzrosła przez noc o cztery metry, czyli przybrała mniej więcej o tyle wody, ile ma Ren przy swym ujściu. To już nie była woda, lecz upłynnione szaleństwo. Pieniła się, bryzgała pianą, ścierała zawrotnymi prądami, otwierała nagle przepastne leje i potworne wiry. Liczne pale i pnie leśnych olbrzymów, pojawiające się zawsze podczas przyboru wód, płynęły z góry i uderzając z hukiem o siebie potęgowały grozę.

Tych pni w rzece było tak wiele, że często, szczepione gałęziami ze sobą, tworzyły wyspy. Wtedy z drzewnej płataniny, potwornej jak mara z dantejskiego piekła, sterczały ku górze rozdarte konary niby okaleczone ramiona leśnych tytanów. To właściwie spory las płynął w rzece, toczyło się bez przerwy dniem i nocą nieobliczalne bogactwo. I znowu człowiek z osłupieniem patrzył na niepojętą hojność tutejszej przyrody: na brzegach rzeki, wciąż oblepionych nieprzerwaną gęstwą zieleni, nie było golizn, nie było widać żadnego ubytku drzew.

Przez trzy dni wszelka łączność z drugim brzegiem Ukajali była zerwana. Ludzie, których nagły przybór wody zastał na nie swoim brzegu, nie mogli wracać do domu. Dopiero na czwarty dzień rzeka przyszła powoli do równowagi.

Larsen, brat obecnego komendanta statku „Sinchi Roca”, po pijanemu stracił w ukajalskim wirze swój okazały parowiec i własne życie. Powyżej Kumarii wysunięta w rzekę skała tworzy półwysep i powoduje wir, osławiony Posso de Chicoza. Na wiosnę 1932 roku rzeka tak szybko przybierała, że patrząc w górę biegu widziało się wyraźnie rosnące fale i różnicę poziomu wody. Wstawiony Larsen zlekceważył niebezpieczeństwo i chciał przepłynąć przez wir. Rzeka nie pozwoliła. Rzuciła parowiec o skałę, zgmiotła go jak pudełko zapalek i wchłonęła. Wiele osób zginęło.

Woda amazońska rzuca na ludzi zabobonny postrach. Żyją na niej od pokoleń, lecz mimo to jest dla nich nieobliczalną, tajemniczą i złowrogą potęgą. Na rzekach Huallaga i Alto Mara-nion są liczne miejsca „zaczarowane” gdzie przepływającym flisakom nie wolno pisać słowa. Skoro by który z nich przemówił lub, co gorsza, krzyknął, rzekomo otworzyłby się nagle na rzece wir, grożący rozbiciem tratwy. Ciemni Indianie i Metysi

przypisują to duchom i czarom, światlejsi zaś wyrażają zdanie, że owe niebezpieczne miejsca podlegają jakimś niedocieczonym przez ludzi, dziwnym prawom przyrody.

Gdy Tadeusz Wiktor szukał złota w jednym z wąwozów górskich Ekwadoru i wystrzelił z karabinu, o mało co przy tym nie utonął. Na huk wystrzału skłębiły się nagle w dolinie czarne chmury i wśród gwałtownych błyskawic spadła tak rześista ulewa, że potok w wąwozie migiem wezbrał o kilka metrów.

W Kumarii rozlegały się od czasu do czasu zagadkowe, głuche grzmoty. Sądziłem z początku, że to pioruny były gdzieś niedaleko. Kiedyś potężny huk wstrząsnął naszą chatą i wówczas wytłumaczono mi, że to barranco – walka rzeki z puszcą. W czasie powodzi nurty podmywały nadbrzeżne drzewa, a gdy woda opadała, drzewa traciły oparcie i z wielkim łomotem waliły do rzeki. Biada wtedy wioślarzom na kanoach! Wiszące nad głowami drzewa tworzyły dla nich nieustanną groźbę. Ludzie panicznie bali się barranco.

W tych ogromnych wodach przewala się bajeczne wprost bogactwo fauny. W samej Amazonce, pomijając jej dopływy, odkryto dotychczas przeszło jedną trzecią wszystkich gatunków ryb słodkowodnych, jakie w ogóle istnieją na kuli ziemskiej – a podobno sześć razy więcej, aniżeli jest ich w całej Europie od Przylądka Północnego do Gibraltaru. Ryby Amazonki to olbrzymi, fantastyczny świat, zadziwiający wielkością niektórych gatunków, pstrokatym często ubarwieniem, upiornym kształtem, a przede wszystkim jest to świat niebywalej drapieżności. Nadmierna ilość ryb przywodzi na myśl mętne wyobrażenie rajy kipiącego bujnym życiem, ale to przekłety raj pożerających się wzajemnie stworzeń. Ryby Amazonki stanowią główne pożywienie człowieka, lecz zarazem przejmują go utajonym strachem.

W miejscowości Orellana nad Ukajali poznałem kilkunastoletniego młodzieńca, którego przed trzema laty pokąsały straszliwe ryby. Był to wtedy zuchwały chłopak, nie znający lęku nawet przed wodą. W rzekach Amazonki nie kąpie się żaden rozsądny człowiek, jeżeli chce żyć. Chłopak kąpał się w Ukajali i w pewnej chwili zaczął krzyczeć. Na szczęście byli w pobliżu ludzie z łódką, którzy w ciągu kilkunastu sekund tonącego wyciągnęli z wody. Jednakże już w tym krótkim czasie napastujące ryby zdołały nieszczęsnemu powyrywać w wielu miejscach kawałki ciała.

Były to piranie, postrach tych wód, ryby krępe, z boków spłaszczone, nie większe niż nasze leszcze, ale żarłoczniejsze od rekinów. Ryby te napadają wielkimi stadami i mogą podobno objeść człowieka w ciągu niewielu minut do szkieletu. W wodach południowoamerykańskich wiele ludzi i wiele zwierząt ginie pożartych przez piranie. Te małe stosunkowo ryby mają w silnych szczękach tak ostre zęby i są przy tym tak dzikie, że nawet wydobyte z wody starają się kąsać i mogą odgryźć palec.

Pokąsany chłopak przez kilka miesięcy walczył ze śmiercią. Potem rany się zagoiły. Ale od tego czasu był niespełna rozumu i często płakał.

Czym niedźwiedź grizli dla Ameryki Północnej, tym jest pirania dla Południowej: tradycyjną, niemal oficjalną bohaterką wielu sensacyjnych historii. Każdy ambitniejszy podróżnik po Ameryce Południowej odczuwał niezwalczony pociąg do skrzyżowania swego pióra z tą bestią i do opisania jej: albo we własnej, mrożącej krew przygodzie, albo – na odwrót – drwiąc sobie z jej grozy, rzekomo wyolbrzymianej w ludzkiej fantazji. Ten drugi sposób obrał angielski literat Peter Fleming w swej dowcipnie i żywo napisanej książce „Przygoda brazylijska”, przetłumaczonej przed wojną także na język polski. Co do mnie, to nie udało mi się nawiązać osobistego kontaktu z krwiożerczymi rybkami i – na szczęście czy nieszczęście – ominęła mnie niebezpieczna pokusa.

Amazonka i Ukajali mają żółtą, mętną wodę, tak mętną, że nic w niej nie widać, i wszystko, co się dzieje w głębi, zasłania nieprzenikniona tajemnica. Widzi się tylko na powierzchni olbrzymie delfiny i ryby *piraruku*, wyłaniające swe cielska z wody. Natomiast gdy człowiek spycha łódź do rzeki, może łatwo nastąpić przy płytkim brzegu na wielką raję, która mu wbije jadowity kolec w piętę. Czasem pod wieczór słychać w wodzie niesamowite dźwięki, jak gdyby bijących dzwonów. To niektóre ryby, postaciami zbliżone do sumów, wąsate i o walcowatych ciałach, śpiewają w Ukajali.

Usłyszałem je po raz pierwszy w pobliżu naszej chaty pod wieczór, gdy słońce zachodziło wyjątkowo barwnie i malowniczo po burzliwym dniu. W powietrzu i na rzece panowała zupełna cisza, a tu nagle rozległ się spod wody cicho, lecz wyraźnie dźwięk dzwonu, potem dwóch dzwonów, potem już w kilkunastu miejscach. Dźwięki miały kilka tonacji, wyższych i niższych, jak gdyby powstawały od dzwonów różnych rozmiarów, dzwonek, a nawet dziecięcych brząkadłek. Niektóre zdawały się przychodzić z daleka, inne z bliska; jeden słychać było wprost spod czoła, przymocowanego u brzegu.

– Co to? – spytałem obecnych Pedra i Valentina nie dowierzając własnym uszom. – Czy to ryby?

– *Si, senhor*, ryby – odpowiedział Pedro. – Czy znacie je?

– Znamy. Nazywają się *corviny*.

– To nie wiadomo – żywo zaprzeczył Valentin.

Pedro nie ukrywał drwiącego uśmieszku, wywołanego wątpliwościami towarzysza.

– On – wskazał kciukiem w stronę Valentina – on jest mędrszy niż inni ludzie. Mądrość czerpie od swej prababci. Od niej wie, skąd te głosy...

Valentin gwałtownie się zachnął, jednak Pedro, spoglądając na niego z pobłażliwą ironią, i zwrócił się do mnie:

– Czy *usted* widział, jaki odważny nasz Valentin? Jak cofnął się od brzegu, gdy usłyszał te głosy?

– I co z tego? – spytałem rozweselony.

– Prababcia wbiła mu w mądrą głowę, że to głosy duchów. A dla Valentina wszystko święte, co od prababci...

Chłopak zamierzał się odgryźć w swojej obronie, ale przerwałem ich spór i kazałem im zamilknąć. Chciałem lepiej przysłuchać się dźwiękom spod wody.

Śpiew był tak osobliwy i harmonijny, przy tym zjawisko tak niezwykle, że mimo woli wywołało nastrój sennej halucynacji, jakiej często doznaje się na sali koncertowej. Zapomniałem o komarach, o zachodzie słońca. Wsłuchiwałem się urzeczony i znowu uprzytomniłem sobie, ile odrębności było w tej puszczy – ale komary, coraz wścieklej kłujące, przywołały mnie do rzeczywistości i kazały mi czym prędzej zmykać do chaty.

Ichtiologia zna owe śpiewające ryby, należące do rodzaju *Umbrina*. Różne ich

gatunki żyją zarówno w morzach, jak rzekach i odznaczają się tym, że posiadają bardziej złożony pęcherz niż inne ryby, składający się z kilku komór. Powietrze, przechodzące z jednej komory do drugiej, wywołuje wibrację ścianek pęcherza i tak powstają dźwięki.

Przez dziewięć do dziesięciu miesięcy w roku padają deszcze w całej Amazonii i napełniają rzeki, przybierające wówczas do piętnastu metrów. Amazonka dwa razy w roku rośnie i dwa razy opada. To jak gdyby niezmierna pierś nadymała się i wzbierała długim oddechem. Około maja, podczas najwyższego stanu rzeki, powódzie zmieniają się w potop i kraj staje się widownią koszmarnego zjawiska: woda zalewa olbrzymie połacie puszczy amazońskiej na dziesiątki kilometrów w głąb lądu. Jest to osławione *igapo*, piekło na ziemi. Dokąd nie dosięgną rozlewiska rzek, tam deszcze stwarzają bagna i jeziora i zatapiają pnie lasu nieraz do kilku metrów wysokości. Człowiek nie opuszcza swej chaty, którą przeczornie zbudował na wysokich palach.

We wrześniu wszystko się zmienia. Na krótko ustają deszcze, woda opada, wychylają się z rzeki białe plaże, przylatuje zewsząd gwarne ptactwo i nad wodami unosi się w promieniach słońca radość. Pożywienia jest w bród. Podczas tarła ryby ciągną taką ławą, że ich szum słychać z daleka i nie potrzeba się wysilać: miejscami zgarniać je można koszykami. Z rzeki wychodzą na plaże olbrzymie żółwie i składają jaja. Żółwie jaja stanowią wielki przysmak i mieszkańcy nadbrzeżni całymi rodzinami wyruszają na ich połów.

Sielanka nad Amazonką – jeśli sielanką w ogóle nazwać można życie w tej puszczy – trwa przez dwa, trzy miesiące, aż do listopada. Wtedy nadciągają ulewę. Woda znów wzbiera i wraz z chmurami powracają ludzkie troski i kłopoty.

A w sercu człowieka wzmagają się niepokój, dojmujący niepokój wioślarza, świadomego, że płyńcie na kruchym kanoe na powierzchni kapryśnej, wrogiej tajemnicy.

34. NIEWOLNICTWO NAD UKAJALI

Gdy jechałem parowczykiem „Sinchí Roca” z Iquitos w górę rzeki Ukajali do Kumarii, wsiadła w Contamania na statek pewna anemiczna niewiasta, Peruwianka, z jeszcze bledszym synem o głupkowatej minie i z młodym Indianinkiem. Czerwony chłopczyk miał ładną, puciołowatą twarzyczkę, czarne ślepki, wypukły brzuszec i był ich służącym. Błademu synowi czyścił buty, chorowitej pani wynosił nocnik.

Zaprzyjaźniłem się z sympatycznym malcem. Uśmiechaliśmy się do siebie, nic zresztą nie mówiąc. Zauważyła to niewiasta i pewnego dnia zagadnęła mnie:

- Ładny chłopiec, prawda? Jest zdrowy i dość pilny.
- Pilny? Czy chodzi do szkoły? – spytałem z głupia frant. Ona nieco zmieszała się:
- Nie, skądże? Pilny w pracy. Czy podoba się panu?
- Bardzo. Ile ma lat?
- Dziesięć. Jest to Kampa i jeśli *usted* sobie życzy, mogę go niedrogo sprzedać.

Wiedziałem coś niecoś o zwyczajach nad Ukajali, więc oferta nie spadła na mnie jak ów przysłowiowy piorun z jasnego nieba. Przeciwnie, dość rzeczowo zapytałem:

- Za ile?
- Za sto soli.

Stanowiło to wartość jednego męskiego ubrania; cena niezbyt wygórowana za tak

ładnego chłopczyka. Chodziło tylko o to, jakie prawa nabyłbym do chłopca.

– Jakie prawa? Wszystkie! – oświadczyła niewiasta. – Będzie on pana własnością jak każda pańska rzecz, jak ubranie, jak strzelba albo zegarek. Istnieje tylko jedno ograniczenie – dodała z filuterną miną. – Nie wolno go bez istotnej przyczyny zabić, gdyż tego zabrania prawo.

– A prawo nie zabrania mieć niewolnika?

– Prawo nie zabrania „adoptować syna”.

Gdy niewiasta tak mnie zachęcała do kupna chłopczyka, on stał niedaleko i – jak zwykle – uśmiechał się do mnie rozumnymi, czarnymi oczyma nie przeczuwając, że ważą się jego losy.

Tej nocy nie miałem spokojnego snu. Komarów nie było na statku, za to tłukła mi się po głowie rozmowa z niewiastą. Sprawa poruszyła mnie i wymagała ludzkiego załatwienia. Lecz jakiego? Kupić chłopca i mieć go na własność? Absurd. W wątpliwej roli posiadacza „ludzkiego towaru” byłbym jak ta baba, która nie mając kłopotu kupiła sobie koguta. Ażeby jakoś rozwikłać rozterkę, zacząłem sobie wyobrażać, jak w moim położeniu postąpiłby przeciętny kulturalny Europejczyk, dajmy na to mieszkaniec Pragi czy Oxfordu. Nie było wątpliwości: wykupiłby chłopca i zwróciłby mu wolność. Postanowiłem zrobić to samo.

Następnego dnia po śniadaniu zwierzyłem się kapitanowi Larsenowi z mego zamiaru prosząc go o radę. Larsen wybałuszył na mnie ślepią, w których malowało się niemal oszołomienie, i patrząc na mnie jak na kogoś bez piątej kleпки rzekł:

– Rozumiem, chce pan kupić chłopca. Rozumiem, czuje pan litość dla niego, zgoda... Ale potem, co chce pan potem zrobić? Dać mu wolność? Jak pan to sobie wyobraża, he? –

– Na najbliższym przystanku powierzyć chłopca miejscowym władzom.

– Powierzyć władzom?! – parsknął kapitan zanosząc się szyderczym rechem.

– Albo powierzyć jakiemuś uczciwemu obywatelowi! – poprawiłem.

– Uczciwemu obywatelowi! – powtórzył Larsen i dalej ryczał ze śmiechu.

Dopiero od niektórych pasażerów statku dowiedziałem się istoty rzeczy. Gdybym powierzył chłopczyka komukolwiek nad rzeką, obojętnie komu, powiernik uznałby go od razu za swą własność. Po moim odjeździe zaprzęgliby niewolnika do pracy lub sprzedaliby go na którymś ze statków do Iquitos. Nie było wyjścia. Brzegi Ukajali, nasycone wrogością do małego Kampy, zewsząd wyciągały po niego drapieżne łapy.

Nawet pasażerowie na statku wpadli w podniecenie. Doszli do przekonania, że jestem sentymentalnym filantropem (czytaj: półgłówkiem), który widocznie za wiele ma pieniędzy i którego należy oskubać. Więc zaczęli kombinować, jak wycyganić dla siebie małego chłopca. Podchodzili do mnie różnie: pochlebstwem, spryciarstwem, plotąc duby smalone, albo z rozbijającą szczerością, jak to uczynił chwalebny don Juan Pinto, kawaler o powłóczyстым spojrzeniu i o sercu oddanym donnie Rosa de Borda. Wielbiciel ów prosił mnie z uprzejmą łagodnością, ażebym kupił mu chłopczyka, bo chciałby go podarować wybranej swego serca.

– Przecież ona ma już troje dzieci! – wyraziłem swój podziw.

– Właśnie! – westchnął zadumany Juan. – Dlatego potrzeba jej czwartego – sługi...

Ostatecznie zgrzytnąwszy zębami musiałem poniechać wszelkich zamiarów i rozwiązać zarówno marzenia mych współpasażerów, jak i me własne. Pomimo najlepszych chęci

nie udało mi się uwolnić małego niewolnika.

Górne Ukajali to odległy od cywilizacji zakątek ziemi. Nad Górne Ukajali ściągali łowcy fortuny różnych narodowości i zakładali hacjendy kawy, bawełny, barbasco i trzciny cukrowej. Do uprawy potrzeba było rąk. Więc zwabiano się ręce hiszpańskie, włoskie, niemieckie i inne, także i polskie. Ale Europejczycy nie znosili twardych warunków bytu, niskich zarobków i zupełnego braku cywilizacji: buntowali się i uciekali. A tymczasem hacjendy potrzebowały wiele rąk, tanich, uległych rąk, jak najwięcej rąk.

W Kumarii patrzałem co dzień na błękitny łańcuch gór, wznoszący się na zachodnim nieboskłonie. Za tym łańcuchem gór, wcale nie tak daleko od Kumarii, rozciągała się aż do samych podnóży wysokich Kordyliarów tajemnicza, mało zbadana, białą plamą na mapach oznaczona kraina Grań Pajonał. Mieszkał tam myśliwski szczep Kampów, nie ujarzmionych, roślących, zdrowych Indian. Kampowie wiedli koczowniczy tryb życia i utrzymywali się głównie z polowania. Znali głąb puszczy, kochali wolność, unikali jak ognia białych ludzi i mieli twarde, wytrzymałe na klimat ręce. Ręce potrzebne hacjendom.

Na połów Kampów hacjendadowie posyłali wyprawy, które wyrobiły sobie ustalony system działania. Dobrze uzbrojeni peoni otaczali w nocy szałas swych ofiar, puszczali na dachy pałace strzały i po wzniesieniu pożaru wybijali broniących się mężczyzn, a resztę – najchętniej dzieci i młodzież – brali żywcem jako zdobycz. Hacjendy nad Ukajali otrzymywały ręce robocze.

Nad Górnym Ukajali żyło mnóstwo ludzi, zajmujących się zawodowo łapaniem i sprzedażą Indian. Wykorzystywali oni lub wręcz podsycali niesnaski między szczepami. Oprócz Kampów i Czamów, żyły tu szczepy Maczigenga, Piro, Kaszibo, Ama-huaca, Aguaruria. I tu tak samo jak na północy, na terenach Hibarów, mistrzów preparowania główek ludzkich, biały człowiek wzniewał wojny między mieszkańcami puszczy, ażeby korzystać z ich niedoli.

Największym spośród łowców ludzi był hacjendado nad Tambo i Urubamba, Pancho Vargas, człowiek okrutny i nie przebierający w środkach. Nie setki, lecz tysiące Kampów podobno wylapał z Grań Pajonału wyludniając większe połacie kraju. „Szczęśliwą rękę” miał również Trigo, sędzia pokoju i właściciel hacjendy „Vainilia” niedaleko Kumarii, człowiek gładki w obejściu, którego poznałem osobiście.

Do Iquitos wywoził żywy towar na swym parowczyku „Libertad” („Wolność”!!) zawsze mile uśmiechnięty grubasek, Gregorio Delgado, wychowany i kształcony w Genewie.

Dalsze losy porwanego dziecka płynęły już w ramach legalności. Hacjendado, czyli patron, adoptował je i wcielał w skład swej licznej rodziny. Tym samym dziecko zmuszone było pracować dla niego za darmo, a w razie ucieczki wszystkie władze goniły i chwytaly „niewdzięcznego syna”. Taki syn, niestety, miał tylko synowskie obowiązki bez żadnych praw, nie mógł też dziedziczyć po śmierci patrona. Gdy patron chciał odstąpić dziecko komu innemu, czynił to za odpowiednią zapłatą, która jednakże nie nazywała się ceną sprzedaży, lecz zwrotem kosztów za wychowanie i wykształcenie dziecka. Nabywca wchodził we wszystkie prawa patrona i mógł Indianina dalej odstąpić, jak sprzedaje się jakikolwiek towar lub zwierzę domowe.

Gdy Indianin dorósł, los jego pozornie się poprawiał. Patron wyznaczał mu jakąś dziewczynę za żonę, „sprzedawał” mu w pobliżu hacjendy trochę ziemi, wielki nóż-maczetę i nieco nasion i kazał mu gospodarować. Sprzedawał oczywiście nie za gotówkę,

bo Indianin pieniędzy nie miał ani się na nich nie znał, lecz za przyszłe płody ziemi i za przyszłą pracę na hacjendzie. I tu było sedno sprawy. Indianin musiał na hacjendzie odrabiać swe długi. Hacjendado kalkulował w ten sposób, że Indianin był mu zawsze winien, i bywało, że za otrzymany od patrona kawał drelichu na ubranie musiał pracować przez rok w polu, znosić mu z lasu zwierzynę, łowić ryby, rąbać drzewo. I z tego zaczarowanego koła długów nigdy już nie wychodził.

Jeśli Indianin chciał się uwolnić i uciekał, wszystkie władze gonili go, łapały i odstawiały patronowi jako „nieuczciwego dłużnika”, tak jak poprzednio, w młodych latach, łapały niewdzięcznego syna. Należało się, aby dłużnik spłacił najpierw swe długi pracą, potem mógł być wolny; ale w tym już głowa patrona, żeby odrabiając zaległości czerwony nędzarz wpadał w nowe długi.

Zresztą wypadki ucieczki bywały rzadko. Hacjendado umiał tak otumanić Indianina i tak przywiązać go do hacjendy, iż biedaczysko był mu wdzięczny, że żył i że miał kogoś, kto za niego myślał. Wszyscy Indianie nad Ukajali, Czamowie i Kampowie, z małymi wyjątkami, byli pod patronami, w przeciwieństwie do Indian żyjących z dala od Ukajali, w głębi lasów.

Niewiele lepiej wiodło się Metysom, pracującym jako peoni na hacjendach. Chociaż nie przesiąknięci przesadami jak Indianie, jednak tak samo pozbawieni oświaty, nie umiejący czytać, pisać ani liczyć, byli w rzeczywistości „własnością” swych wierzycieli-hacjendadów. Często los ich bywał gorszy niż los Indian, którzy od zbyt nieludzkiego pana mogli ostatecznie próbować ucieczki w lasy i schronić się u swych niezależnych braci, podczas gdy Metysi nigdzie uciekać nie mogli, zdani na łaskę i nienadziejność patrona.

Podobno nie zawsze gwałtem i rozlewem krwi zdobywano niewolników. Często sami Indianie, zwłaszcza ze szczepu Kampów, sprzedawali dobrowolnie swe dzieci. Były to biedactwa uznane przez zabobonną wyrocznię za niebezpieczne dla szczepu i dlatego skazane na zagładę lub wydalenie. Takie dziecko miało podczas mej bytności w Kumarii ustaloną cenę. Rodzicom płaciło się jedną indiańską strzelbę kapiszonówkę z prochem i ołowiem, jeden nóż-maczetę, materiał na jedną parę spodni i koszulę dla ojca, a na suknię dla matki – wszystko razem wartości siedemdziesięciu soli, czyli około dziewięciu dolarów, przy czym za chłopczyka płaciło się na ogół nieco więcej niż za dziewczynkę. Natomiast piętnasto-osiemnastoletnia, wyuczona (to jest umiejąca gotować, prać i prasować) dziewczyna posiadała wartość do dwustu soli. Za dwadzieścia pięć dolarów można tu było nabyć dorosłego człowieka na całe życie.

Tu, w samej Kumarii, w pierwszych miesiącach istnienia polskiej kolonii, w 1930 roku zaszedł znamieny wypadek, będący niezłą ilustracją stosunków nad Ukajali. Pewien niewolnik-dłużnik, Metys, zbiegł z hacjendy Pancho Vargasa i przypłynął do Kumarii. Polscy koloniści, przejęci jego losem, wzięli go w opiekę i dali mu schronienie w jednym ze swych baraków. Miejscowa policja kilkakrotnie żądała wydania go właścicielowi, lecz Polacy się uwzięli. Powołując się na konstytucyjne prawa kraju nie uznawali niewolnictwa w Kumarii. W końcu Pancho Vargas nasłał kilku zbirów ze swej hacjendy, którym udało się wykraść ofiarę podczas nieobecności osadników i zawlec do łodzi. Zaledwie o tym dowiedzieli się Polacy, kilku z nich, z dzielnym Józefem Dąbskim na czele, chwyciło za broń i wsiadło na parowczyk, który akurat przypadkiem przepływał. Łódź swą przyczepili do jego burty. Wkrótce wyminęli ludzi Vargasa i skoczywszy do swej łodzi zagrodzili im drogę. Wobec stanowczej postawy ścigających, tamci nie odważyli się stawiać oporu. Ofiarę, którą zbitą i związaną znaleziono na spodzie łodzi,

obrońcy uwolnili i zawieźli z powrotem do Kumarii. Tu oddali ją pod opiekę policji zapewniając stróżów bezpieczeństwa, że będą mieli się z pyszna, jeśli Metysa spotka jakakolwiek krzywda.

Nad inną rzeką peruwiańską, Putumayo, płynącą w północno-wschodniej części kraju, w kilka lat po pierwszej wojnie światowej komisja brytyjska wykryła i udowodniła cały system okrucieństw nad Indianami, włącznie z licznymi zabójstwami. Czynne tam kompanie eksploatacji kauczuku najbrutalniejszymi środkami terroryzowały całe szczepy indiańskie. Gdy Indianin nie przynosił kauczuku w dostatecznej – według żądań oprawców – ilości, by wykupić z niewoli swą żonę lub dzieci, więzione jako zakładnicy, bywało, że na jego oczach za „karę” rozstrzeliwano mu rodzinę. Proceder widocznie popularny u tych „kulturtregerów” XX wieku, bo identyczny system istniał w Afryce, w Kongo, stosowany przez belgijsko-międzynarodowe kompanie kauczukowe. Do pospolitych kar należało także rzucanie związanego „winowajcy” na mrowisko, by go mrówki zżarły.

Wyżej wspomniany, a głośny swego czasu raport brytyjskiej komisji o nadużyciach nad Putumayo zawdzięczamy – jak to stwierdzają czynniki poinformowane – tylko ostrej walce konkurencyjnej między zwalczającymi się wzajemnie kompaniami: chodziło o skompromitowanie rywali.

Tak się składało, że wracałem z Kumarii do Iquitos na „Libertad”, statku zażywego seniora Delgado. Ja wiozłem kilkadziesiąt żywych zwierząt, Delgado wiozł jedną młodą Indiankę, krępą, grubawą i jak na Kampkę dość brzydką. Nikt pozornie o nią się nie troszczył; dziewczyna sypiała gdzie bądź na pokładzie. Z jej twarzy nie znikał bezmyślny uśmiech, dobrze mi znany uśmiech Indian, porwanych niedawno z lasów i ogłupiałych wśród wrogiej cywilizacji.

Indianka zaprzyjaźniła się z moimi zwierzętami, z czego bardzo się cieszyłem, gdyż pomagała mi je karmić i utrzymywać w porządku. Najchętniej przebywała wśród klatek, jak gdyby przyciągał je wspólny los.

Wieczorem po kolacji paliliśmy z kapitanem papierosa przy czarnej kawie. Delgado niezłą francuszczyzną marzył o powrocie do Europy i Genewy, gdzie spędził najpiękniejsze lata swego życia.

– A czy pan nie obawia się – zauważyłem – że w Europie jest Liga Obrony Praw Człowieka i może panu wleźć za skórę?

Na to Delgado uśmiechnął się, rozbawiony, zrobił pogardliwy ruch ręką i odpowiedział tylko:

– *Oh, mon Dieu!...*

Brzmiało to prawie jak światopogląd.

35. ZGRZYT

UKAJALSKIEJ „ROMANTYKI

O niespełna dwieście kilometrów powyżej Kumarii poczyna się Ukajali ze spływu dwóch głębokich, dzikich rzek, Urubamby i Tambo, przepływających z dalekiego południa, spośród niebotycznych Kordylierów.

Tu u zbiegu tych rzek leżała hacjenda „La Huaira”, należąca do człowieka tak sarno nieokiełznanego jak burzliwe nurty wód, nad którymi żył. Pancho Vargas, przezwany ongiś królem Górnego Ukajali i Urubamby, do dnia dzisiejszego wyciskał piętno na tych

ustroniach sięgając swymi wpływami aż poza granice Boliwii i Brazylii.

Była to kraina puszczy wyjątkowo zasobna w drzewa hevei. Za czasów gorączki kauczukowej brzegi tutejszych rzek, Górnego Ukajali, Tambo, Urubamby, Mądre de Dios i Beni, słynęły z obfitych zbiorów. Pomimo olbrzymiej odległości od rynków zbytu (przeszło dwa tysiące kilometrów od Iquitos, a trzy tysiące od Manaos przez rzekę Madeirę) przybywali tu liczni awanturnicy, ci najzuchwalsi z zuchwałych, by na kauczuku zdobywać fortuny, winczesterem pisać prawo, rewolwerem zapędzać Indian do roboty, a często wzajemnie się mordować. Do tej niedostępnej do niedawna puszczy, krainy jaguarów, tapirów i koczujących plemion, spływały olbrzymie majątki, lał się pieniądź; tu sławą rozbrzmiewały orgie pijackie, ba, usługującym pośrednikom warto było przywlekać w leśne ubocza skrzynie szampana i najdroższych win, sprzedawanych na wagę złota. Powstawali różni magnaci kauczukowi, a wśród nich bogactwem, bezwzględnością i brutalnością słynął Pancho Vargas.

Do „La Huairy” i jeszcze wyżej w górę Urubamby docierały liczne parowczyki skupujące kauczuk. Kapitanowie pędzili w górę rzek jak wariaci, by jeden przed drugim dorwać się do skupisk cennego produktu. Aby unieszkodliwić konkurencję, dopuszczali się wszelkich łajdactw i nie stronili od zbrodni. Znanym złośliwym „figlem” było wykupywanie wszystkich nagromadzonych po brzegach rzeki zapasów drzewa opałowego i wrzucanie go do wody, ażeby nie dostało się następnym statkom: bez opału parowce nie mogły iść dalej.

Jeszcze zacieklejszy bój wiedli między sobą leśni potentaci. Były to krwawe wojny, w których szło nie tylko o tereny kauczukowe. Potęgą eksploatatorów polegała na tym, że harowały dla nich liczne rzesze Indian, spędzanych do pracy bądź wódką i namową, bądź terrorem. W puszczy ten najszybciej się dorabiał, kto najwięcej posiadał roboczych rąk, więc każdy z prowodyrów starał się odbić Indian rywalom i ściągnąć ich do swego obozu. Gdy obietniczki i intrygi nie skutkowały, po prostu z bronią w ręku wykradano sobie ludzi, a gdy i to się nie dało, wybijano bez skrupułów robotników konkurencji. Wraz z pieniędzmi i szampanem szły tu wielkie transporty najnowocześniejszej broni. Każdy zaufany Indianin dostawał do ręki winczester, a brygady robocze były zarazem oddziałami uzbrojonych po zęby band.

Parowce, śpieszące po leśne skarby, często tonęły w wirach i wielu poszukiwaczy kauczuku ginęło, ale luki szybko się zapełniały: gorączka kauczukowa zwabiła inne statki i nowe zastępy zawadiaków.

Wśród hersztów kauczukowych obok Pancho Vargasa wybijali się Karol Scharf i Fitzcarrald. Każdy z nich panował nad armią robotników dochodzącą do paru tysięcy Indian. Między tymi trzema kacykami wrzała nieustanna wojna, która skończyć się musiała klęską i śmiercią dwóch na korzyść trzeciego. Tym trzecim okazał się Pancho Vargas,

Fitzcarrald jadąc parowcem po rzece Urubamba wyprawiał właśnie ucztę dla swych przyjaciół, gdy przekupiony pilot najechał na skałę. W powstałym wirze statek tak szybko zatonął, że prawie wszyscy ludzie, znajdujący się na pokładzie, zginęli, a między nimi Fitzcarrald.

Gdy pewnej nocy drugi z tej trójki, Karol Scharf, obozował nad brzegiem rzeki Urubamba, oddział nasłanych zbirów podkraść się i dokonał napadu. Scharf i wszyscy jego towarzysze polegli, z wyjątkiem dwóch czy trzech niedobitków. Wieść o śmierci Scharfa wywołała ogromny popłoch w lasach. Indianie jego – a było ich do trzech tysięcy

– ogarnięci przerażeniem, porzucili pracę i rozproszyli się po takich pustkowiach, że przepadli dla zbieraczy kauczuku.

Usunięcie Scharfa nie wyszło Vargasowi na użytek. Przeciwnie. Każdy z tych bogaczy posiadał przyjaciół i możliwych wspólników nie tylko nad rzekami, lecz w Iquitos i nawet w Limie; także i Scharf miał wielu, którzy postanowili zemścić się na Vargasie. Widać, nie były to czcze pogrozki, bo kacyk z „La Huairi” uznał za wskazane, by zniknąć na dłuższy czas z widnokręgu. Ukrył się w tambach – chatach zaprzyjaźnionych Indian ze szczepu Pirów, z których przeważnie składały się jego oddziały.

Gdy wreszcie mógł bezpiecznie wytknąć nos z kryjówki, wiele zmieniło się na świecie i w samej puszczy. Gorączka kauczuku opadła. Kauczuk staniał, w miastach portowych niechętnie go kupowano. Więc niepożyty Pancho Vargas przerzucił się na inny proceder: połów ludzi i handel niewolnikami.

Oddani mu Indianie byli wrogami szczepu Kampów, Kampowie zaś, jak wiadomo, stanowili na hacjendach upragniony towar ludzki. Zabijacy Vargas, doświadczeni w krwawym rzemiośle, przyprowadzali bogaty łup w postaci zagrabionych dzieci i młodych kobiet.

Na niektórych hacjendach nad Ukajali żyli Kampowie pracujący tam z własnej woli, zwłaszcza jeśli hacjendado był dla nich „ludzki”. Za takiego uchodził Dolci, właściciel Kumarii. U niego przebywała grupa Kampów z kuraką-wodzem Carlosem na czele. Pracowali tu może lepiej niż gdzie indziej, a gdy tego i owego nachodziła leśna tęsknota, zmykał do puszczy na kilka dni nie pytając nikogo.

Osobiście miałem dla Kampów Dolciego wiele sympatii, bo ci niezrównani myśliwi znali w kniei bogate w zwierzynę ostępy, skąd przynosili mi rzadkie ptaki. Polowali na nie z łuku strzałami o drewnianych gałkach na końcu. Słynęli jako zręczni łucznicy i nieraz w mej obecności popisywali się niewiarygodnymi sztuczkami. Na przykład niektórzy strzelali nie wprost do celu, lecz w górę, a strzała, opatrzona ciężkim grotem, zataczała w powietrzu półkole i od góry wbijała się w cel. Prawie nigdy przy tym nie chybiali. W puszczy, w której najczęściej strzela się na małą odległość, łuk był ciągle odpowiedniejszą bronią na średnią i małą zwierzynę niż strzelba z jej hukiem.

Ongiś Kampowie byli licznym szczepem, skutecznie opierającym się hiszpańskim najeźdźcom. Pełno o nich w kronikach XVII wieku, z których wynika, że naród ten zamieszkiwał znacznie większe tereny niż dzisiaj, sięgając aż po lasy w pobliżu Cuzco.

Wielu dzisiejszych historyków i antropologów dopatrywało się w nich potomków dawnych Inków lub przynajmniej przypisywało im pochodzenie od bezpośrednich poddanych inkaskich, którzy po podboju Peru przez Pizarra uciekli w lasy i tu zdzicześli. Tym także tłumaczyłaby się wyjątkowa odporność Kampów na wszelkie zakusy Hiszpanów.

Już w XVII wieku nieugięty szczep dał im się we znaki, a w roku 1742, roku wielkiego powstania chłopów peruwiańskich, Kampowie – lepiej wówczas znani pod nazwą Czunczów (Chunchos) – mając za wodza Juana Santosa Atahualpę z rodu Inków, wycieli w pień wszystkich białych panów na swym obszarze i na szerokim jego pograniczu.

Damian Schiitz-Holzhausen, sumienny badacz dorzecza Amazonki w połowie XIX wieku, opisując w swym dziele Indian, uważał Kampów jeszcze wówczas za najwaleczniejszy szczep w Peru.

W roku 1915 kapitan Julio Delgado nie dopłynął na swym statku „Libertad” do

samych źródeł Ukajali. Widząc, co się dzieje w miejscowości Chicoza, puszczonej z dymem przez Kampów, chciał napadniętym udzielić pomocy, ale sam raniony wołał wycofać się ze statkiem i zawrócić. Uciekając co pary w kotłach w dół rzeki, puścił na alarm syrenę, wyjąca bez przerwy dniem i nocą. Gdy przepływał obok osiedli hacjendadów, krzyczał do brzegu:

– Uciekajcie! Indianie napadają! Uciekajcie!

Indianie napadli. Pod wodzem Tasulinczi wyszli z Grań Pajonalu, by pomścić krzywdy. Zebrali się nad rzeką Unuini, wpływającą do Ukajali powyżej Chicozy, i wydali wojnę białym. Posuwając się w dół Ukajali napadali po drodze na wszystkie hacjendy. Na pierwszy ogień poszła osada Chicoza, gdzie wybili blisko pięćdziesięciu mieszkańców. Następni hacjendadowie byli już ostrzeżeni i uciekali w dół rzeki, ale tam gdzie Kampowie ich doganiali, ginęli mężczyźni, a młode kobiety szły do niewoli. W ciągu kilku dni *makany*, miecze z twardego drzewa, łuki i strzelby wyludniły doszczętnie brzegi Górnego Ukajali na przestrzeni dwustu kilometrów. Dopiero gdy Kampowie ujrzeli w Kumarii pierwszą zorganizowaną obronę białych, zaprzestali walki i przepadli w lasach.

Przez kilka lat nie było hacjendadów nad Górnym Ukajali. Później zaczęli powoli napływać nowi poszukiwacze szczęścia i robić to samo co poprzednicy: uprawiać bawełnę, trzcinę cukrową i *barbasco* i szukać tanich rąk roboczych.

A do dnia dzisiejszego gdzieś w głębi Grań Pajonalu białe kobiety były żonami czerwonych wojowników i rodziły im dzieci. Kiedyś jedną z nich, żonę wodza-kuraki, napotkali w puszczy ludzie z hacjendy Dolciego i chcieli ją zabrać ze sobą. Nie wahała się ani chwili: odmówiła im.

I do dnia dzisiejszego nie zgnębiono opornego szczepu. Od czasu do czasu na hacjendadów padał blady strach, gdy słuchy o zbliżaniu się Indian-mścicieli docierały do nich i płoszyły im sen z powiek. Wtedy to niepokojące wieści mknęły z hacjendy na hacjendę jak lawina. Wieści nie zawsze wyssane z palca.

Tak na przykład w październiku 1931 roku zatrzęsło się od niepokoju wśród białej ludności nad Górnym Ukajali. Do Kumarii, w której wówczas jeszcze przebywało sporo polskich kolonistów, zaczęły napływać wystraszone rodziny szukając tu ochrony. Indianie w istocie ruszyli z Grań Pajonalu, gdy zapowiedzieli, że wystąpią tylko przeciw tym, którzy wyrządzili im krzywdę. Dolci, znający doskonale ich zwyczaje i przez zaufanego kurakę Carlosa mający dokładne wiadomości, zapewniał, że nikomu innemu nic nie groziło prócz tych, z którymi Kampowie mieli na pieńku. Popłoch i ogólne przerażenie wykazało, że większość mieszkańców nad rzeką miała nieczyste sumienie.

Jednak tym razem Indianie nie uderzyli. Podeszli tylko pod samą hacjendę „Vainilla” niedaleko Kumarii: właściciel hacjendy, sędzia pokoju Trigoso, przed niedawnym czasem zranił ze strzelby leśnego Kampe, który namawiał pracujących tam współpracowników do opuszczenia „Vainilli”. Skończyło się na demonstracji i na przestraszeniu białej ludności.

36. ZNÓW PADAJĄ DESZCZE

Słońce na zimę, jak wiadomo, wędruje na południe (mówmy ściślej: pozornie wędruje). Hula sobie wtedy zdrowo nad Ameryką Południową i pilnie przysmaża cały kontynent. Nagrzane nad ziemią powietrze rozrzedza się tworząc barometryczne minimum. Korzysta z tego Atlantyk i na łeb, na szyję posyła w głąb kraju przeciągle,

morskie, wilgocią przesycone wiatry. Dotarłszy do ściany Andów wiatry ochładzają się i skraplają w ulewne deszcze, które padają przez trzy kwartały w roku. Stąd wspaniała puszcza w dorzeczu Amazonki i stąd czarna melancholia człowieka, siedzącego w rozmokłej chacie nad Ukajali.

Były to złośliwe deszcze. Nie padały z góry, jak to być powinno, lecz na ukos, prawie poziomo, rzucane silnymi podmuchami wichrów. Dach nad głową mało od nich chronił, bo woda lała się do środka chaty z boków przez ściany bambusowe. To doprowadzało człowieka do rozpacz.

W chacie suszyły się moje cenne zbiory przyrodnicze, które powinny były wyschnąć jak najszybciej, jeżeli miałem je zawieźć do Warszawy w użytecznym stanie. Spreparowane skórki z ptaków ukajalskich, motyle, chrząszcze i inne owady, wynik mozolnej pracy kilku miesięcy. Tymczasem skórki nie tylko nie schnęły, lecz zachodziły coraz większą wilgocią i obrastały pleśnią.

– Patrz! – wołała Dolores z radosnym błyskiem w roześmianych oczach. – Jakie cudowne kolory! Ach! co za kolory!

Kolory owe miała obrzydliwa pleśń, która pokryła na brzuchu piórka spreparowanej przed tygodniem kukulki. Były to w istocie kolory tęczne, o blasku metaliczno-fosforyzującym. Ale jeśli nazajutrz nie pojawi się choćby na kilka godzin słońce i nie wysuszy mi skórki, pleśń zniszczy doszczętnie rzadką kukulkę.

– Jesteś głupia! – warknąłem zły na Dolores. – I nigdy nic nie rozumiesz.

Dolores rozumiała, że wilgoć to brzydka rzecz. Ale Dolores była Metyską i urodziła się w deszczach nad Ukajali. Deszcze nic jej nie szkodziły. Dziewczyna płonęła zapalem i wesoło się śmiała. Od czasów wspólnych polowań na kolibry spoufaliła się ze mną i mówiła do mnie „ty”.

Na mnie za to deszcze działały fatalnie. Kiedyś poznałem szarugi jesienne na fieldach norweskich w Namdalen i sądziłem, że już nie spotkam nic smutniejszego. Spotkałem oto nad Ukajali. Ulewy zamieniały tutejszy bujny świat – prawem kontrastu – w jakieś niesłychanie ponure cmentarzysko. Palmy *aguache*, rosnące w pobliżu chaty, palmy – jak już wspominałem – najpiękniejsze podobno ze wszystkich palm peruwiańskich, teraz w czasie deszczu były brzydkie i przykre i napawały wstrętem. Pomroka i ślota kładły na dolinę rzeki tragiczną beznadziejność; nitka wody, spadająca z dachu do środka chaty, działała jak trucizna, deszcz stawał się potworem, niebo jątrzącą się raną. Goniłem resztkami cierpliwości. Obawa utraty zbiorów, zupełne odcięcie od świata, świadomość własnej bezbronności, stale wilgotne ubranie, konieczność bezruchu, brak książek i wymiany myśli – dopełniały udręki.

Do tego dochodziła Dolores. Dolores krzątała się ochoczo w deszczu, pośpiewywała, chciała się gwałtem przysłużyć i działała mi na nerwy. Podczas gdy ja, Europejczyk, chorowałem, Dolores miała wyraźną przewagę.

Za chatą, niezależnie od wzbierającej rzeki, powstały z deszczów jeziora, gdzie przedtem były pastwiska. To osławione tałampy. Pełno ich było również w głębi lasu. Na przeciąg wielu miesięcy tałampy zamykały dostęp do puszczy amazońskiej. W porze suchej wsiąkały w ziemię i ginęły. Ale nie wszystkie: w wielu miejscach pozostawiały rozległe bagniska.

Tuż u wejścia do chaty tworzyła się kałuża, przez którą trzeba było przeskakiwać. Była to niewielka kałuża, miała zaledwie dwa kroki w kwadracie, ale niestrudzona Dolores pewnego dnia odkryła w niej kilka małych rybek. Rybki wesoło się uganiały i

polowały na mniejsze jeszcze kijanki, które również pojawiły się w wodzie. Dolores nie mogła wyjść z podziwu:

– Tycie, żywe, malusieńkie rybki! Prawdziwe rybki z płetwami! Ale jak tu się dostały? Może za sprawą Nieczystego?

– Hej, Dolores, czyś zabobonna?

– Nie jestem zabobonna!... No, dobrze, w takim razie był to cud!... A może w cuda nie wierzysz? – pytała dziewczyna zaczepnie.

– Oj, wierzę, wierzę tylko nie z takimi drobnymi błahymi rybkami.

– To prawda! – westchnęła Dolores. – Cud dzieje się tylko w ważnych sprawach, ale nie w błahostkach.

– Jesteś mądra, jak Salomon, Dolores!

Dziewczyna z błyskiem nieufności badała moją twarz. Nie chciała tracić swej obronnej postawy, więc natarła:

– Jeżeli nie cudem, jak twierdzisz, to właściwie jak się tu dostały rybki? Wiesz czy nie wiesz?

– Nie wiem.

– Może z powietrza? – dowcipkowała dziewczyna,

– Nie wykluczone, że z powietrza: ikra przeniesiona na skrzydłach dzikich kaczek...

Dolores rzuciła ku mnie urągliwy uśmiech, pełen powątpiewania i cichego triumfu:

– W takim razie jednak był cud! Wyszło na moje!

Potem o rybkach zapomnieliśmy. Następnego dnia była pogoda i kałuża wyschła. Na trzeci dzień padał od nowa deszcz. Kałuża znów się wypełniła wodą i – o dziwo! – znów pojawiły się te same rybki. Teraz z kolei ja zacząłem się zapalać: oczywista, że dowcipne rybki po prostu spały w czasie posuchy w ziemi i czekały na deszcz. Cieszymy się z odkrycia, Dolores! To nie byle jakie ryby: to mądre urwisy, które doskonale umiały sobie radzić w przeciwnościach życia, pomimo że za świat swój wybrały maleńką kałużę przed naszą chatą.

Niekiedy słońce przedzierało się zza chmur i nagle robiło się bardzo jasno, aż oczy bolały, i bardzo gorąco. Poprzednio, podczas deszczu, termometr spadał prawie do dwudziestu stopni ciepła i trzęsło nas chłodem. Teraz nagle świat doznawał cudownych zmian. Puszcza, od ziemi do wierzchołków drzew nasiąknięta jak gąbka wodą, iskrzyła się w słońcu miliardem brylantów i tęcz. Wyglodzone ptactwo rzucało się na żer. Z liści buchała para. W powietrzu roznosiły się krzyki i śpiewy stworzeń i zewsząd tajemnicze odgłosy bulgocącej wody. Było uderzająco rojnie i gwarnie, i przy tym nienaturalnie jasno od refleksów. Od razu wszędzie dudniło życie tak gorączkowym tętnem, jak gdyby chciało rozsadzić wszelkie więzy i kształty. Żarliwy wybuch na cześć światła! Ale znienacka zjawę gasiła następna chmura i znów padał deszcz.

Pewnego dnia wyruszyłem na polowanie do lasu, lecz drogę zamknęła mi nagle szeroka rzeka, tocząca wzburzone nurty pomiędzy drzewami. Dnia poprzedniego przechodziłem tędy suchą nogą. Dziś pienily się dzikie masy wód, szumiały wśród wirów i trzęsły pniami rozłożystych drzew. Nowa rzeka nie czerpała swych wód ani z Ukajali, ani z jej dopływów Binul lub Kumarli. Płynęła wprost z głębi puszczy. Lecz skąd? Jak powstała, gdzie pękły nieznane tamy, jakie sprzęgły się żywioły, że oto były nagle poprzez gęsty las tak rozhukane fale? A woda wciąż jeszcze przybierała. Trzeba było szybko wracać, ażeby jakie rozgałęzione wylewisko nie odcięło mi odwrotu. W mokrej puszczy czały się niezmierzone rezerwuary wody; stale groziły ludziom niepewnym jutrem.

Znów padały deszcze. Pożerała mnie coraz czarniejsza rozpacz » i dławiła najboleśniej ze wszystkich chorób wędrowca: udręka osamotnienia i bezbronności. Strugi deszczu zasłaniały mi nie tylko świat ukajalski, lecz i tamten, z którego pochodziłem, mój świat. Odsuwały go tak daleko, że w osłabionych nerwach legło się pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek go ujrzę. Nieprzebyta obcość tkwiła we wszystkim dokoła: w dachu nade mną z palmy *jariny*, w ścianie z bambusu kania brawa, w wrogim zapachu ziemi, i nawet w Dolores z jej hiszpańskim szczebiotem.

W chwili największego przygnębienia przypominałem sobie, że Tfidusz Wiktor w Iquitos dał mi na drogę kilka numerów

„Światowida”. Dobyłem je teraz z dna walizy i przeglądałem. Przeglądałem stronicę po stronicę, powoli i coraz uważniej, aż w końcu drżała mi ręka.

Zobaczyłem w „Światowidzie” cuda niewiarygodnej egzotyki: wysokie, murowane domy, proste ulice, asfalt, zobaczyłem ubranych po miejsku ludzi, krajobrazy z topolami i wiele białych kobiet. Tak wiele białych kobiet!

– Do czego się tak uśmiechasz? – spytała mnie zaciekawiona Dolores. – Co tam masz?

– Obrazki z mego kraju! – odpowiedziałem, lecz z trudem, bo coś ścisnęło mi gardło.

Były nawet nowiny z mej parafii. Przynosił je uroczy rzeźbiarz Ludwik Puget. Wielki czarodziej i dostojny cygan w dowcipnym felietonie wieścił najrozkoszniejsze plotki o „Różowej Kukulce”, artystycznym kabarecie w Poznaniu, o malarzach wielkopolskich, o obrazach i bliskich sercu rzeczach. Pisał także o wesołym balu w Szkole Zdobniczej i o tym, jak szczęśliwe bractwo hulało do rana. Gdy człowiek siedział w chacie nad Ukajali, a ryby wylażyły z ziemi, to dziwnie wielkiej wagi nabierał daleki bal w Szkole Zdobniczej i tańcząca do rana studenteria.

A w Dolores jakby piorun uderzył. Po raz pierwszy w życiu ujrzała ilustrowane czasopismo i spoglądała na gwiazdy filmowe. Wpadła w uniesienie na widok Greta Garbo, Marii Bogdy, Joan Crawford. W biednej indiańskiej główce nie mogło się pomieścić, że gdzie indziej świat był tak piękny i żyło tyle czarownych kobiet.

– Skąd mają takie boskie stroje? – pytała się.

Sto razy oglądała ilustracje i zakochiwała się kolejno we wszystkich aktorach.

Po kilku dniach Dolores się uspokoiła, ale oczy jej błyszczały nadal jak w gorączce i płonęły policzki. W ciągu tych kilku dni jakoś wyrosła, wypiękniała, lecz już nie śmiała się tak swobodnie jak dawniej. Prosiła mnie, abym ją zabrał ze sobą w świat. Gdy ją ubiorę, będzie tak samo wyglądała jak tamte z obrazków. Uśmiechałem się, lecz ona skoczyła na skrzynię i przybrała taką postawę, w której uwydatniały się najlepiej jej wdzięki. (Tego, szelma, już nauczyła się z obrazków).

– Czy jestem ładna? – pytała się.

– Jesteś tak samo piękna, jak tamte, może nawet piękniejsza! – odrzekłem. – Ale z czym chciałabyś iść w świat? Nic nie umiesz!

– Nauczę się preparować ptaki! – wołała z zapalem.

Biedne dziecko. Zapal niebawem ostygł. Pozostała tylko wielka, szarpiąca tęsknota do szerokiego świata i do jego blasków. Tak wielka tęsknota, że już nawet ryby nie bawiły Dolores.

A ja coraz częściej siedziałem nad kałużą przed chatą i z coraz większą przyjemnością śledziłem rybki.

Przeczytałem bowiem inny uroczy felieton Pugeta „O Feli i czterdziestu Wyczółach”:

o Feli Ziełińskiej, ulubionej kierownicze wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych w Poznaniu, i o czterdziestu obrazach Wyczółkowskiego.

CZEŚĆ IX

O MOTYLACH I MAŁPACH

37. GDY PŁYNĘLIŚMY DO CLAUDIA...

Myśl o niezwyklej małpie nie dawała mi spokoju. Spotkałem ją niedaleko Kumarii podczas wycieczki w puszczy. Wychodziłem właśnie ścieżką na niewielką czakrę – pole wśród lasu, wycięte pod uprawę – gdy z przeciwnej strony ukazało się troje Indian Kampów: mężczyzna, kobieta i chłopiec. Obok nich biegła swobodnie jak piesek małpa-czepiak, śmieszne stworzenie, u którego wszystko było nadmiernie wydłużone i zbyt cienkie. Długie nogi i ręce, długa szyja i nawet tułów, a główka mała. Angielscy zoologowie słusznie nazwali ten rodzaj *spider monkey*, małpą-pajakiem.

Zwierzę było bardzo oswojone, bo gdy przeraziło się moim widokiem, nie uciekało w las, lecz do Indianki ukrywając się w jej sukni. Wśród ogólnego rozbawienia zbliżyliśmy się do siebie; ja podszedłem do małpy. Była wielkości średniego psa. Wtulając się pod Indiankę stała na dwóch nogach. Gębę miała zadziwiająco ludzką. Była to twarz małego człowieka, a bezsporny przebłysk inteligencji w wylęknionych oczach jeszcze potęgował wrażenie czegoś ludzkiego.

– Nie przyzwyczajona do obcych – tłumaczył łamaną hiszpańszczyzną Indianin.

Był to Claudio, Kampa, należący do hacjendy Dolciego, ale mieszkający o kilka kilometrów poniżej Kumarii, nad brzegiem Ukajali.

– Czy sprzedałbyś mi tę małpę? – spytałem.

Claudio pogadał z kobietą i półgębkiem odrzekł nijako, ni tak, ni nie, zwyczajem tutejszych Indian.

– Namyśl się – prosiłem – chętnie ją nabędę.

Gdy podczas rozmowy przystąpiłem do małpy, by ją pogłaskać, ona zaniósła się komicznym lamentem. Nie szalała ze strachu, nie darła się wniebogłosy, lecz przyłożywszy ręce do policzków kiwała głową w prawo i w lewo, wydając żalosne jęki przeciw krzywdzie, jaka ją spotykała. W tym śmiesznym zachowaniu się było coś nad wyraz wzruszającego. Czepiak wydawał mi się wyjątkowo uczuciowy.

Uzgodniłem z Claudiem, że w domu namyśli się co do sprzedaży i za dwa dni przyplynie do mnie, by powiedzieć, co postanowił. Niestety, słowa nie dotrzymał; ani za dwa dni, ani w następnych dniach nie zjawił się, wobec czego postanowiłem odwiedzić go w jego siedzibie.

Pewnego dnia wczesnym rankiem wsiadłem na łódkę z Valentinem, małym Czikinio i młodym Indianinem Julio z hacjendy, wypożyczonym mi przez Dolciego. Rzeka uspokoiła się od kilku dni, opadła i równocześnie zniknęły z jej powierzchni płynące pnie drzew. Za to na brzegach wylaniały się z wody zamulone gałęzie i pnie.

Płynęliśmy w dół Ukajali, z prądem kanoe mknęło szybko. Gdy wschodzące słońce padło na wierzchołki drzew, mieliśmy już połowę drogi poza sobą. Nagle Julio przerwał milczenie i naradzał się z Valentinem w języku Kampów, po czym skierował łódkę na środek rzeki.

– Dlaczego? – zapytałem.

Na środku rzeki łatwo było wpaść w wiry. W pobliżu brzegu człowiek czuł się pewniej.

– Barranco – odpowiedział Indianin wskazując przed siebie.

Brzeg, wznoszący się około trzech do czterech metrów ponad wodą, w tym miejscu był srodze podmyty. Pod drzewami utworzyły się głębokie pieczary, a obnażone korzenie wyzierały z nich jak kłębowiska węzów. Kilka drzew, stojących na samej krawędzi, przechylało się mocno ku rzece. Lada chwila mogły się zwalić, ale trzymały je grube liany, które, wyprężone jak struny i połączone z innymi drzewami, chroniły je na razie od upadku.

Rzucała się w oczy rozpaczliwa solidarność roślinna wobec wspólnego wroga. To jak gdyby żarłoczna rzeka upatrzyła sobie leśne ofiary, ale jeszcze nie mogła ich pochłonać: szczęśliwsze towarzyszek broniły je od upadku za pomocą lian niby dziesiątkami pomocnych rąk. Zawzięta walka – kto mocniejszy? – trwała jak pełen napięcia dramat.

Podmulone drzewa, nienaturalnie przechylone, miały groźny wygląd, można było powiedzieć, że wzniesione do boju pięści. Ale nie, to był tylko pozór. Skazane na zagładę, wkrótce miały runąć do wody. Nikomu już nie groziły; chyba przepływającym wiosłarzem.

Okazało się, że rzeka zabierze nie tylko drzewa przybrzeżne; zabierze ich znacznie więcej, zapewne porwie z brzegu cały szmat ziemi. Odnoga rzeki wdarła się daleko w ląd i podmywała go w wielu miejscach tworząc wyspę. Widziałem nieraz takie oderwane połacie brzegu, płynące z prądem rzeki. Słyszałem o jednym z miasteczek nad Ukajali, zdaje się Contamania, które zagrożone nurtami ze wszystkich stron, zapadnie się któregoś dnia w głębi rzeki.

Przeplłynęliśmy obok barranco w przyzwoitej odległości. Podobno gdy zwał się brzeg, powstawały tak wielkie fale, że zatapiały nawet odległe łodzie.

Wtem w gałęziach drzew, skazanych na zagładę, spostrzegłem osobliwy ruch. Kazałem chłopakom zaprzestać wiosłowania i przypatrzeć się brzegowi.

– Małpy! – oznajmił Valentin.

Było ich całe stado. Z odległości nie dało się dokładnie odróżnić, jaki to gatunek. Wydawało się, że wyjce. Wędrowały powoli z drzewa na drzewo wzdłuż brzegu rzeki. Prowadził je brodaty samiec, nie spuszcający z nas baczного oka. Niektóre samice dźwigały na plecach swoje dzieci, widocznie silnie uczone matczynej sierści, skoro trzymały się pomimo karkołomnych skoków z gałęzi na gałęzie.

Była w małpim pochodzie budząca podziw siła zbiorowego życia, przejawiająca się w czujności samca i w macierzyństwie samic, ale równocześnie był i niezrozumiały zanik zdrowego instynktu wobec grożącego niebezpieczeństwa: przecież małpy znajdowały się na drzewach, które lada chwila mogły runąć do wody. Ale chłopacy inaczej tłumaczyli sobie zjawisko.

– Małpy! – zawołali uradowani i szybkimi uderzeniami wiosł skierowali łódź wprost na barranco.

– Czy nie boicie się? – spytałem zaniepokojony nagłośnią ich zwrotu.

– Nie! – odrzekł Valentin. – Barranco nie grozi!

– Skąd to wiesz?

– Małpy pokazują... Małpy wiedzą, kiedy barranco wpadnie do wody. Małpy nigdy się nie mylą...

Jak było do przewidzenia, stado, widząc zbliżającą się łódź, znikło nam z oczu. Więc

zdaliśmy się na zwierzęcy instynkt i płynęliśmy niedaleko podmytych drzew. Gdyby chłopacy mieli więcej doświadczenia, wiedzieliby, jak zawodny może być czasem instynkt zwierzęcy. Ale milczałem, bo stchórzyłem: nie chciałem uchodzić w ich oczach za strachajła. Przepłynęliśmy bez wypadku.

Podczas dalszej jazdy przyglądałem się bacznie Juliowi, wiosłującemu przede mną na czubie łódki. Indianin miał nie więcej niż osiemnaście lat, ale skóra jego pokryta była tu i ówdzie wrzodziskami, przykrymi dla oka. Na plecach widniały dwa jątrzące się wzniesienia. Zwróciłem uwagę Valentina na jego chorobę skórą.

– To nie choroba – tłumaczył Metys. – To gusanos. Gusanos oznaczało dosłownie: larwy, gąsienice. A więc to tutejsze pasożyty tak dopiekały młodemu Indianinowi. Jakieś diabelstwo z rodziny muszej zniosło na jego plecach, jajka, z których pod skórą wylęgły się larwy. Dopóki larwy całkowicie nie wyrosną, co potrwa jeszcze parę tygodni, nieborak musiał cierpliwie znosić dręczycielki i ból. Podobno gusanos zbyt wcześnie usunięte powodowały niebezpieczne powikłania.

Moje zaciekawienie bolączką Julia rozwiązało towarzyszym języki. Pytlowali, ile wlażło; prześcigając się wzajemnie wyliczali wszystkie rodzaje pasożytów, gnębiących tutejszych mieszkańców. Julio po hiszpańsku nie umiał; Valentin musiał tłumaczyć. Chłopacy zachłystywali się przechwałkami, a robaczymi okropnościami zarzucali mnie, *gringa*, do tego stopnia, ażeby mi włosy dęba stały na wieść, jaki to groźny kraj.

Ich wysiłki były zbędne, bo sam wiedziałem aż nazbyt dobrze. Pcheł ziemnych było tu mało, nieporównanie mniej niż w Brazylii, widocznie klimat zbyt wilgotny im nie służył. Ale innego paskudztwa – hoho! Na przykład komarów: w niektórych latach było ich tyle, że ludzie dochodzili do szału.

– To jest ich jeszcze więcej niż tego roku? – pytałem.

– Proszę zapytać się *seniora* Dolciego (Dolci w Kumarii był wyrocznią!), on powie, że w tym roku nie ma prawie wcale komarów.

„Nie ma prawie wcale”, a tymczasem co dzień pod wieczór tysiączne ich chmary napadały na ludzi i wściekle kłuły.

Ale były jeszcze inne utrapienia: *manta blanca*. Maleńka muszka, napadająca przez cały dzień, wlażała natarczywie we włosy na głowie i ohydnie cięła.

Pium: inna mała muszka; ostro gryzła i przez kilka dni pozostawiała na skórze ciemną cętkę nieznośnie świerzbiącą.

Isangue: kleszczyki, siedzące licznie na żdźbłach chwastów dokoła każdej tutejszej chaty. Wystarczyło raz tylko przejść przez zielsko lub choćby z lekka potrącić je, a isangue wlażyły na ciało i wżerały się w skórę. Były jaskrawoczerwone, ale tak małe, że gołym okiem prawie niewidoczne, za to sprawiały takie swędzenie, że w nocy nie można było wytrzymać. Zabite wcieranym w skórę alkoholem, jeszcze przez kilka dni dokuczały piekącym bólem. W Kumarii te maleństwa były chyba najgorszą plagą. Chatę Baranowskiego, w której mieszkalem, oblegały gęstym kordonem.

– A czy *usted* widział rybkę *canero*? – wymachiwał Valentin ręką.

To postrach kąpiących się w rzece, jeśli ktoś odważyłby się na kąpiel. Rybki nie dłuższe niż palce, cienkie jak mały ołówek, były dość pospolite i wciskały się głęboko w otwory ciała. Trudno je było wydobyć, bo miały ostre, haczykowate skrzele, uniemożliwiające ruch wstecz. Często powodowały śmierć. Rokrocznie w okolicy Kumarii ginęło od tych rybek kilka sztuk bydła.

Tak to chłopcy zasypywali mnie gradem strasznych historii, więc i ja oddałem im

pięknym za nadobne, bo mogłem czymś się popysznić. Podniosłem nogawki spodni i pokazałem im na nogach miejsca, gdzie wżerały się kleszcze isangue. Już wytępione alkoholem, a przecież pozostały bolesne ślady.

– Oo! – odezwał się Valentin z uznaniem. – To i *usted* ma ich niezłą porcję!

– A mam, mam! – zgrzytnąłem z żartobliwą złością.

Często z bólu, jaki sprawiały isangui, nie sypiałem po nocach, a za dnia chodziłem jak nieprzytomny. Szelmy szczególnie upodobały sobie moje przeguby kolanowe: z lewego dały się łatwo wytępić, na prawym walka wciąż trwała i nie wiedziałem, jak się zakończy. (Po kilku tygodniach ostatecznie wyparłem kleszcze także z prawego przegubu, ale mimo to przez wiele lat pozostały mi pod kolanem widoczne ślady owej wojny z ukajalskim robactwem).

Wnet dopłynęliśmy do szalasu Claudia. Niestety pech: nikogo nie zastaliśmy w chacie. Claudio z rodziną znowu wędrował po chaszczach. Był wczesny jeszcze poranek, więc postanowiliśmy poczekać tu godzinę. Mając ze sobą dubeltówkę na ptaki poszedłem do puszczy popróbować szczęścia.

Trzymałem się ścieżyny, jaką tu wydeptano. O sto kroków od chaty natrafiłem na wspaniały okaz palmy paciuba. Było to po prostu cudo obronności, obwarowanie się przed wrogami tak skuteczne, że widok tej palmy zawsze wprawiał mnie w zachwyt. I teraz od nowa podziwiałem. Korzenie paciuby wystawały około dwóch metrów ponad ziemię i dopiero w górze łączyły się tworząc tam pień palmy. Korzenie były proste jak tyczki, ale uzbrojone wszędzie w tak ostre, długie i niezmiernie twarde kolce, że nie sposób było dotknąć drzewa. Natomiast pień palmy, w przeciwieństwie do korzeni, był gładki jak papier i – zdaje się – miękki. Ile palma musiała wycierpieć od wszelakich czworonożnych amatorów słodkiej kory, że tak się naczupurzyła!

Gdziekolwiek rzuciłem okiem z leśnej ścieżki, na której kroczyłem, wszędzie dokoła widziało się zaciętą walkę na śmierć i życie. To już nie tylko wyścig o słońce i światło; rośliny zatruwały się wzajemnie, zadławiały, przydeptywały. „To nie las, lecz bitwa; nie ma w nim liryki, jak w przytulnych lasach Europy, jest tylko okrutny i okropny epos, straszliwy dramat roślin” – pisał niepośledni znawca tej puszczy, niemiecki autor R. A. Bermann.

Nagle od strony chaty rozległy się donośne okrzyki. Valentin i Julio wołali na mnie. Popędziłem w ich stronę. Dobiegłszy do skraju puszczy zobaczyłem ich uwijających się gorączkowo przy naszej łódce. Właśnie do niej wskakiwali i szybko wiosłowali do maleńkiej zatoki tuż w pobliżu chaty Claudia.

– Ryby! – wołali ujrzawszy mnie.

Spostrzegłem i ja. Zatoczka, wrzynająca się w brzeg dwudziestokilometrowym klinem, cała burzyła się i kipiała. Przypląnęła tu tak gęsta ławica ryb, że odnoga wodna jak gdyby nie mogła ich pomieścić. Cała srebrzyła się od łuskowatych ciał, wypychanych przez inne na powierzchnię wody.

Chłopacy pośpiesznie dopłynęli. Krzatali się jak diabły. Gwałtownie bili wiosłami po wodzie, wrzucali do łódki ryby ogłuszone i nie ogłuszone, ba, w zamieszaniu, jakie powstało, wiele wyskakujących z wody ryb samych wpadało do czółna. Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie dałbym wiary, że może być tak wariacki plon. Ławica składała się z setek pdlomet, jak je Valentin nazywał, ryb mniej więcej dwukilogramowych. Gdy po kilku minutach połów ustał, a ławica uszła z zatoki, łódka, na całym dziobie napełniona zdobyczą, zawierała kilkadziesiąt ryb. Chłopcy, spoceni,

sapali i śmiali się do siebie i do mnie.

Po małej chwili nie było już ani śladu ławicy w zatoczce. Rybna rzesza powędrowała dalej, ku innym tarliskom.

Mając taki łup, łatwo ulegający zepsuciu, ruszyliśmy czym prędzej do domu. Wiosłowaliśmy teraz wszyscy trzej, ażeby raźniej płynąć pod bystry prąd.

Na wysokości niebezpiecznego barranca wywiązał się między chłopakami spór o pogodę. Niebo było na razie czyste, ale Valentin twierdził, że będzie niebawem deszcz, podczas gdy Julio wyrażał odmienne zdanie: pogoda się utrzyma. Każdy z nich inaczej tłumaczył sobie lot stada kań jaskółczych.

Ptaków tych unosiło się w powietrzu dwadzieścia kilka. Śliczne: wyglądały jak wyolbrzymione do paradoksalnych rozmiarów jaskółki, a nie ptaki drapieżne. Miały wysmukłe, długie skrzydła, widlaste ogony i nawet ich lot był jaskółczy, pełen zwiewności i błyskawicznych obrotów. Jak gdyby przyroda wyróżniła owe ptaki pod każdym względem, dała im jeszcze uderzającą szatę: były białe jak śnieg, skrzydła zaś i ogon miały kruczoczarne. Urzekające zjawisko!

Kanie jaskółcze, jak je Niemcy nazwali (Schwalbenweihe), a kaniuki białe w polskim słownictwie – żywią się wszelkim stworem, zarówno chwytają sposobem jaskółek owady w powietrzu, jak porywają z ziemi węże, jaszczurki, żaby. Czasem wzbijają się wysoko i wtedy wiadomo, że pogoda dopisze. Gdy natomiast siadają na drzewach albo bujają nisko ponad ziemią, lepiej nie wychodzić z chaty, by nie narazić się na ulewę. Kaniuki, które widzieliśmy w pobliżu barranca, nie fruwały ani zbyt wysoko, ani zbyt nisko; krążyły kilkanaście metrów ponad wierzchołkami drzew: bądź, człeku, teraz mądry z tego, co na dwoje babka wróżyła – więc moje rozognione młodziki klóciły się głośno i każdy chciał mieć rację.

Widok tych dorodnych ptaków sprawiał zawsze zaskakujące wrażenie. Spotkałem je już kilka razy. Przyroda tutejsza, mówmy szczerze, była nieraz przygnębiająca. Człowiek, istota krucha, pełzł jedynie na brzegu puszczy i z trudem tylko docierał do miłych nastrojów. Czy przeżycia podczas wycieczki do Claudia nie były znamienne? Dzika rzeka, złowrogie barranco, rozmowa o pasożytach, odpychające kolce palmy paciuba, wszędzie nieubłagana walka; nawet rojna ławica ryb ukrywała w sobie piętno rozpasania, czegoś spazmatycznego. A tu nagle wylaniało się piękno, na niebie wykwitał czar, wytworny taniec ptaków. Spływała od nich radość i w niepamięć szły poprzednie zgrzyty i uderki.

Wycieczka skończyła się pozornym niepowodzeniem. Claudia nie zastaliśmy. Ale nie żałowałem straconego czasu. Jak już wiele razy w tej puszczy, wracałem przepojony wzruszeniami. Przyroda nad Ukajali nie poskąpiła człowiekowi okruszyny swego twórczego bogactwa.

38. MOTYLE

Motyle i dzieci należą do siebie. Motyle tak samo jak dzieci są bezbronne i lubią słońce, słodycze i igraszki na polanie. Dzieci kochają motyle.

Mnie nauczył kochać motyle mój ojciec. Był to niezwykle człowiek. Wielki romantyk, świetny znawca przyrody, człowiek gorącego serca i mądry uczył mnie kochać rzeczy takie, obok których inni ludzie przechodzili obojętnie. Gdy miałem siedem, osiem lat, wyprowadzał mnie w las, nad wodę i na łąki. Dwóch przyjaciół – duży i mały – zdobywało sobie przyrodę, a w tej przyrodzie ważnymi istotami były latolistki cytrynki,

rusalki pawiki, modraszki i mieniaki tęcniki.

Wieczorami, po powrocie z wycieczek, snuliśmy razem piękne marzenia. Ojciec opowiadał mi o gorącym słońcu, o dalekiej, bujnej puszczy pełnej lian i drzewiastych paproci, o olbrzymiej rzece i wielkich, cudownych, błyszczących motylach. Szczegółowo układaliśmy sobie wielki plan wspólnej w przyszłości wyprawy.

– Gdy dorośniesz – mówił do mnie ojciec – pojedziemy razem nad Amazonkę.

Niestety, śmierć pokrzyżowała nasze zamiary. Ojciec umarł i pozostałem sam z marzeniami.

Potem miałem córkę, Basię. Gdy podrosła do sześciu, siedmiu lat, zabierałem ją ze sobą na kwieciste łąki nad Wartą. Wiele tam było śmiechu, wesołych odkryć i serdecznej wrzawy. Zawieraliśmy przyjaźń ze wszystkimi motylami. Odwiecznym prawem powrotnej fali działa się zupełnie to samo co przed dwudziestu pięciu laty: w młodym sercu budził się wielki, radosny zapał i dwoje przyjaciół zdobywało sobie przyrodę.

Gdy wracaliśmy do domu, musiałem opowiadać Basi o jeszcze piękniejszych łąkach i bujniejszych lasach, o najpotężniejszej rzece i egzotycznych, wspaniałych, błyszczących motylach.

– Gdy dorośniesz, Basiu – mówiłem – pojedziemy razem nad Amazonkę.

Jako odpowiedź Basia mocno ścisnęła mi rękę, tak bardzo na to się cieszyła. Wiedziałem, że będę miał dzielną towarzyszkę.

Niestety, śmierć i tym razem zniweczyła nasze plany. Któregoś wiosennego dnia młode serduszek Basi przestało uderzać, i znów pozostałem sam jeden.

Musiałem sam jechać nad Amazonkę. Jechałem w celach naukowych, ażeby w bogatej puszczy zbierać okazy fauny i przywieźć dla polskiego muzeum zbiory przyrodnicze, głównie ptaki i motyle. Praca, wykonywana wśród ciężkich nieraz warunków, wymagała hartu, napiętej woli i często zaciśniętych uporczywie szczęk. Jednak gdy stawałem oko w oko ze światem motyli, czegoś z tego hartu nagle ubywało. Jakże mi było zachować zimną rzeczowość zbieracza, gdy oto gdzieś głęboko na dnie duszy budziła się przeszłość i odgrzebywała dawne marzenia ojca?

Chociaż śmiałe i zuchwałe były dziecięce marzenia, to przecież przyroda nad Amazonką stworzyła jeszcze śmielszą i zuchwalszą rzeczywistość. Oniemiały człowiek patrzył i trudno mu było objąć rozumem to, co widział: taką bujność. W końcu nie wiedział, gdzie w tej puszczy ustawała jawa, a rozpoczynała się baśń. Piękną baśń roily motyle nad Amazonką, takie były barwne i tak ich wiele.

Od dwóch dni świeciło gorące słońce. Rzeka opadła i z wody wyłoniła się ława piaszczysta. Około południa, gdy było najcieplej, całą ławę obsiadały niezliczone chmary motyli, jeden przy drugim, a ława miała blisko sto metrów długości i pięćdziesiąt szerokości. Ile było tam motyli – tysiące, dziesiątki tysięcy? Były to przeważnie motyle o odcieniu żółtym, różne gatunki dwóch wielkich rodzin papilionidów i bielinków. Niektóre wielkie okazy rodzaju catopsilia były koloru jaskrawopomarańczowego i z daleka wyglądały jak dojrzałe, żółte owoce.

Motyle wysysały z wilgotnego piasku pożywne soki – rzecz niezmiernie charakterystyczna i często spotykana w tropikach. Wypadało przejść przez ławę piaszczystą i spłoszyć pijacką kompanię, a wzbijała się w powietrze gęsta, żółta chmura i powstawało fantastyczne widowisko. Kiedyś machnąwszy przez taki obłok siatką chwyciłem przeszło sto motyli z dwudziestu gatunków. W Europie nie starczyłoby całego dnia lipcowego na tak obfity połów.

Wysychająca kałuża na ścieżce zwabiła kilkadziesiąt motyli calicore. Wygrzewały się na ziemi i piły błotnistą wilgoć. Niewielkie były, lecz pyszne, o metalicznym połysku zielonym lub niebieskim. Wszystkie gatunki tej rodziny miały na tylnej stronie skrzydeł rysunek przedstawiający mniej lub więcej wyraźnie dwie ósemki. Dlatego nasi koloniści nazywali je „osiemdziesiąt osiem”. Nagle sto calicor zerwało się i otoczyło głowę przechodnia ruchliwym, lśniącym wieńcem; widocznie chciały go urzec. Niezwykle piękno zjawiska istotnie urzekło go.

Wtem rozległy się głośnie trzaski w powietrzu, jak gdyby ktoś trząsał mocno z palców. To motyle z rodzaju *ageronia*. Siadały przeważnie na pniach drzew, ubarwieniem swym podobne do kory, i były chyba największymi psotnikami wśród stworzeń. Od kilkadziesiątu lat wodziły za nos najtęższych uczonych i entomologów świata i nie chciały im zdradzić tajemnicy tych trzasków. Poświęcili im wiele lat badań i mozółu wybitni uczeni, jak Hahnel, Godman i Salwin. Daremny trud. Mechanizm trzaskający w motylach ciałkach, nie większych niż trzy złożone obok siebie zapalki, pozostał zagadką. Ageronie do dziś terkoczą sobie filuternie „trak rak rak” od Meksyku aż po granice Argentyny i – o ile mi wiadomo – figlarze wciąż jeszcze drwią sobie w żywe oczy z ludzkiej dociekliwości, z mikroskopu i pincety.

Oto heliconius. Znakomity, rozpowszechniony i wielce wpływowy szczep, liczący przeszło czterysta gatunków. Było w puszczy publiczną tajemnicą, że heliconie są niestrawne, a ciało ich ma przykrą woń i gorzko smakuje. Wiedziały o tym ptaki i za nic nie ruszyłyby nadobnych śmierdzieli. W poczuciu swej nietykalności heliconie miały powolny, wszystkim wrogom widoczny lot i wprost wyzywająco obnosiły w puszczy wydłużony kształt skrzydeł i swe barwy, przeważnie bardzo uderzające: brązowe, żółte, czarne, czerwone.

I oto działa się rzecz niezwykła: sekret heliconiów podpatrzyły inne motyle, dotychczas zupełnie bezbronne, i na gwałt zaczęły urabiać sobie skrzydła, dopóki nie stały się one podobne kubek w kubek do skrzydeł heliconiów. Różne gatunki bielinków i danaid, wyrzekając się swego rodowodu, przebrały się w płaszcze heliconiów, nieraz tak podobne do wzorów, że trudno było rodzaje od siebie odróżnić. Tajemnica mimikry fascynowała na każdym kroku w tym podniecającym lesie.

Strach ma wielkie oczy i – przeciwnie – wielkie oczy wywołują strach. Dlatego tu wiele motyli, a szczególnie z rodziny *Saturnidae*, ze strachu namalowało sobie na skrzydłach groźne oczy, mające przerazić owadożerne ptaszki. Szczyt naśladownictwa osiągnęły motyle *caligo*: tylna strona ich skrzydeł to najprawdziwsza głowa sowy z dwojgiem wybałuszonych oczu, z ostrym dziobem i z wyraźnym rysunkiem piór. Motyle *caligo* – rzecz знамениenna – latają o zmierzchu, wtedy gdy i sowy-ptaki właśnie budzą się z dziennego snu.

Kiedys strzelałem do motyla zawisaka naśladowującego lot kolibrów – sądząc, że to ptaszek. Podobną przygodę miałem z innym motylem, ponoć największym na świecie, z tą tylko różnicą, że w czas spostrzegłem pomyłkę i ognia nie dałem.

Gdy pewnego razu przedzierałem się w towarzystwie polskiego kolonisty Cieślaka zapuszczoną ścieżką przez las o gęstym podszyciu, z krzaków zerwał się niby ptak. Był koloru i niemal rozmiaru naszej kuropatwy, tylko wolniej uderzał skrzydłami i leciał zupełnie bez szelestu. Takich ptaków o cichym locie i powolnym uderzeniu skrzydeł było mnóstwo w puszczy. Zdarłem dubeltówkę z ramienia i złożyłem się do strzału, gdy towarzysz krzyknął:

– To przecież motyl!

Nie strzeliłem. Teraz sam poznałem omyłkę. Oczywiście był to motyl, ćma. Entomolodzy nazwali ją *Thysania agrippina*. Ludzie leśni opowiadali mi już o niej, ale mimo to widok olbrzyma wprowił mnie w osłupienie, jak zawsze gdy natykałem się na szaleństwa płodności tutejszej przyrody.

Sięgnąwszy po siatkę na motyle pogoniłem za agryppiną, ale ćma miała się na baczności. Siadła niedaleko na pniu, wszakże słysząc mnie przedzierającego się przez krzewy ponownie zamigotała skrzydłami wśród drzew – fantastyczny dziwotwór – i już na dobre przepadła w gmatwaninie zieleni. Żałowałem, że przedtem nie strzeliłem.

Najpiękniejsze na ziemi motyle – to *morphidy*. Chyba niebieska toń wszystkich oceanów stłoczyła się, lazur całego nieba spłynął w ich skrzydła, tak urzekającym promieniem blaskiem i tak olśniewająco się mienia. Większość podróżników w Ameryce Południowej przyznawała, że widok żywego motyla morpho stawał się dla nich za każdym razem radosnym objawieniem.

Bywało, że często wracałem z polowania wyczerpany upałem i dusznym powietrzem ledwo włączając nogami. Lecz gdy w takich chwilach pojawiał się wśród drzew lecący motyl morpho, błyszczący w słońcu jak niebieska gwiazda, doznawałem wyraźnego uczucia fizycznej ulgi i orzeźwiającego chłodu, jak gdyby powiało miłym wietrzykiem od dalekiego morza. I wtedy już rażniej kroczyło się dalej. Przyroda puszczy amerykańskiej wyhodowała w morphach najwyższą formę piękna tropikalnych owadów.

Od kilku dni przyjaźniłem się z rozkosznym motylem. Spotykałem go co dzień w tym samym miejscu na ścieżce w lesie. Gdy podchodziłem zrywał się do lotu, zataczał nade mną kilka kręgów w powietrzu i ulatywał w las. Z biegiem czasu jak gdyby wywiązała się między nami pewna zażyłość. Motyl wyzbywał się płochliwości i pozwalał mi podejść do siebie zupełnie blisko. Był z rodzaju *catonephele* o uderzającym ubarwieniu. Na pluszowoczarnym tle rysowały się dwie pomarańczowożółte plamy. Obydwa soczyste kolory, czarny i żółty, tworzyły nadzwyczajną harmonię.

Motyl ten stał mi się drogi, gdyż przypominał mi Basię. Ongiś, gdy z Basią uwijałem się po rogalińskich łąkach nad Wartą, przeżywaliśmy taką samą przygodę, tylko z cytrynką, i kumaliśmy się z nią przez kilka dni. Obecnie, nad Ukajali, tym bardziej ceniłem skrzydlatego znajomego i gdy zbliżałem się do miejsca spotkania, serce wzbierało mi ciepłem i jednocześnie niepokojem o życie pupilka. Przecież nietrudno zginąć takiemu pędrakowi w puszczy.

Była jeszcze druga przyczyna sympatii. W Liverpoolu poznałem kiedyś młodą Angielkę. Przypominałem sobie dokładnie, jak ślicznie wyglądała w sukni z czarnego aksamitu, ze złotą wstęgą w odcieniu pomarańczowym. I oto w moim motyłu znalazłem teraz to samo doskonałe zestawienie kolorów. Słowem, miałem wiele ciepła dla powabnego *catonephele*.

Pewnego dnia towarzyszyła mi na polowaniu Dolores. Jak zwykle zabrała ze sobą siatkę na motyle. *Catonephele* był rzeczywiście pysznym okazem i Dolores na jego widok aż sprężyła się z łowieckiej pasji. Chciała go koniecznie zdobyć. Przemocą powstrzymałem ją ratując życie motyla.

– Czemu nie pozwalasz mi go schwycić? – zawołała Dolores zdziwiona.

Gdy Dolores się pytała, trzeba było jej odpowiedzieć. Gotowa była długo nalegać i nie odstępować. Wy tłumaczyłem jej delikatną sprawę możliwie jak najprzystępniej, chociaż to było trudno. Dolores rozumowała na swój sposób i w końcu stwierdziła tylko jedno: że

motyl przypominał mi jakąś kobietę, dla której żywiłem niepowседневnie uczucie.

Następnego dnia rano, przed wyjściem na polowanie, przeżyłem niezmiernie bolesną chwilę. Przyszła Dolores i rzuciła mi na stół mego czarno-żółtego przyjaciela, martwego. W dodatku, ażeby nie było wątpliwości co do jej pobudek, Dolores podarła motyla na strzępy.

Zdaje się, że Dolores przestała już być dzieckiem, pomimo że miała dwanaście lat: dzieci kochają motyle.

39. GORĄCO

Od czterech dni świeciło bardzo białe słońce i dokuczał nam upał, z każdym dniem nieznosięjszy. Cierpieliśmy wszyscy, ludzie i zwierzęta. Żar kładł się kamieniem na mózg i mięśnie. Najchętniej leżałoby się całymi dniami bez ruchu. Co dzień wstawałem później i w coraz gorszym humorze. Na piąty dzień gorąca spałem tak długo, że obudziło mnie dopiero przybycie Dolores, Bolała mnie głowa. Ponurym okiem obrzuciłem intruza i w duchu życzyłem dziewczynie, by poszła sobie do diabła. Lecz ona nie ustępowała i przypominała cichym, stanowczym głosem:

– Już bardzo późno, słońce wysoko na niebie.

– Która godzina? – warknąłem.

– Już po siódmej.

– Do ciężkiego licha! Czemu tak późno przyszedłeś? – wymyślałem dziewczynie, by dać sobie upust choćby w ten sposób.

Ona tłumaczyła się łagodnie, że miała daleką drogę z domu, że było dziś bardzo skwaro i że widziała w lesie ogromnie wiele ptaków.

Podczas mego ubierania się patrzyła na mnie z naiwną ciekawością, jak gdyby przyglądała się ważnej ceremonii. Na widok czyszczenia zębów wpadła jak zwykle w głośny zapal:

– Słuchaj! – prosiła. – I ja potrzebuję takiej szczotki do zębów...

Rozśmieszyła mnie jej zachcianka. Nie wiedziałem, czy Dolores w ogóle czyściła swe zęby, w każdym razie miała białe jak śnieg, a usta zawsze czyste. Gdy się uśmiechała, drobne zęby lśniły jak u drapieżnego zwierzątka.

Podczas śniadania głowa przestała boleć i przyszedłem do siebie. Zrobiła się tymczasem późna godzina, wpół do dziewiątej. Nie miałem dziś wiele ochoty do pracy. Spytałem się Dolores, czy warto jeszcze wyjść na polowanie. Naturalnie, że warto, odpowiedziała zawsze z tym samym zapalem i dlatego ją lubiłem. Więc zgoda, idziemy! Ja ze strzelbą, ona z siatką na motyle.

Na dworze buchnął na nas straszliwy żar. Dziś było jeszcze goręcej niż wczoraj.

Miedzy chatą a lasem musieliśmy przebyć kilkadziesiąt metrów krzewiastego gąszczy, przez który wycięto ścieżkę do lasu. Nagle, na skrócie ścieżki, stanąłem oko w oko przed jaszczurem, długim może na jeden i ćwierć metra. Wygrzewał się na słońcu. Nieoczekiwane spotkanie przeraziło go więcej niż nas. Gad zerwał się i pomimo krótkich nóg uciekał ścieżką w susach godnych rumaka. Po kilkunastu krokach przystanął i obejrzał się zaciekawiony. Na swoją zgubę.

Z hukiem wystrzału podskoczył w górę i padł w śmiertelnych drgawkach. Otworzył pysk, uzbrojony w szereg ostrych zębów, i chciał mnie pochwycić. Lecz podczas tego wysiłku zdechł. Piękny to był okaz jaszczurki *Tupinambis teguixin*. Na skórze pokrytej

tarczami koloru niebieskawooolowianego z białym, wyrazistym rysunkiem.

Zdobycz przewiesiliśmy na krzaku w cieniu drzewa, by później zabrać ją w drodze powrotnej. Weszliśmy do lasu. Zewsząd słyhać było odgłosy wielu ptaków. Tuż na pniu grubego drzewa spostrzegłem czarnego dzięcioła, wielkiego jak wrona. Zawzięcie uderzał dziobem w korę, cały pochłonięty tą pracą. Nie widział nas. Strzeliłem. Ptak przerwał uderzenia i trwał nieruchomo, wciąż przyczepiony do pnia. Po długiej dopiero chwili oderwał się w drgawkach i spadł wydając ostry krzyk śmierci, tak gromki, jak gdyby to był bojowy okrzyk życia.

Któż odróżni jedno od drugiego: w lesie nad Ukajali jakoś zawile płatała się śmierć z życiem.

Upolowanego ptaka zawiesiliśmy języczkiem na patyku i zabierając go ze sobą kroczyliśmy dalej w las. Coraz wyżej wznosiło się słońce. Od ziemi, krzewów, pni, z dołu i z góry ziało straszliwym żarem. Rozpalone powietrze stawało się coraz dokuczliwsze.

Moje ubranie myśliwskie, mokre od potu, przylepiło się do mnie jak plaster. Zabawna to historia: gdy machnąłem raz lub dwa razy ręką, przyskałem obfitymi kroplami potu, jak gdyby wyssanego – dosłownie – z palców.

Nie mniej pociła się Dolores. Płócienna sukienka przylegała jej szczelnie do ciała. Nie krępowało to bynajmniej dziewczyny. Żywo uganiała się za motylami.

W płucach moich zaczynały dziać się przykre rzeczy. Nie mogłem oddychać. Chciałbym wciągnąć głęboko powietrze, lecz jakaś nieodparta siła sznurowała mi klatkę piersiową i zaledwie do połowy napełniałem płuca. Puls walił przyśpieszonym tętnem w skroniach; wzrok zasłaniała mi mgiełka. Ogarniało nas coraz większe znużenie; często odpoczywaliśmy.

Las, niezbyt gęsty w tej stronie, składał się przeważnie z drzew o drobnych liściach, nie dających wiele cienia. Słońce przeświecało do ziemi plamami tworząc – zwłaszcza nad ścieżką – rażące wyspy światła. Przejsie przez te otwarte miejsca, nie większe niż kilka kroków, było katuszą. Promienie słońca działały w rozpalonym lesie jak ostre strzały i powodowały na ramionach, poprzez koszulę, dotkliwe ukłucia.

Ptaki już się schowały. Jeszcze przed godziną wyprawiały rwetes; teraz umilkły, zmożone snem południowym.

Lecz puszcza nie wymarła. Oto powstało przed nami nowe widowisko: przebudzał się świat owadów. Jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, prawie w ciągu jednego kwadransa pojawiły się dokoła nas setki, tysiące owadów. Chrzaszczy, szarańczaków, pluskwiaków, sieciarek, motyli, cała niezmierna, jakaś wzburzona, coraz liczniejsza falanga. Owady łąziły niespokojnie po zielskach i krzewach, nerwowo wspinały się na gałęzie, biegały jak ośleple po ścieżce, pełno ich też było w powietrzu. Wszystkie gatunki ogarnęło wspólne podniecenie.

– Matko Boska z Guadelupy, patrz! Jak łatwo je złapać! – wołała Dolores pełna zdumienia w roziskrzonych oczach i zgarniała pośpiesznie najbliższe owady do szklanki z trucizną.

Miała słuszość. Szał owładnął wszystkimi owadami i wypędził je z kryjówek. W puszczy stało się coś niezwykłego. Może to skutki nadmiernego gorąca, że przepływała przez las tak gwałtowna fala namiętności, jak gdyby zwierzęcego obłędu? Wstrząsnęła zmysłami leśnych owadów i wznieciła nagle ich rozrodcze instynkty.

Podobnego wzburzenia nie widziałem ani przedtem, ani potem. Dokoła nas wybuchła nieposkromiona gonitwa ciał. Groźny na pozór chrząszcz z rogiem nosorożca napadł na

pękatego skarabeusza, należącego do zupełnie innego rodzaju; po chwili dopiero poznał pomyłkę i biegł dalej. Obok kraśniał wielki piewik wszystkimi kolorami tęczy na przezroczystych skrzydłach. Był to samczyk świerszczy, przeraźliwie wypuszczając powietrze z tchawek. Namiętny głos jego był jak wzywanie tonącego o pomoc. A niedaleko na tym samym krzaku kilka podrażnionych szarańczy wędrowało skocznie po gałęziach i macało dokoła drżącymi różkami.

Wszędzie rozedrgane skrzydełka i ciała poszukiwały się wzajemnie. Niektóre owady znajdowały się, przywierały do siebie w kurczowym uścisku i zamierały bez ruchu na długi czas. Skojarzeń takich było coraz więcej. Zaścielały zielska i gałęzie krzewów. W powietrzu unosiły się splecione motyle morpho i wpadały, łatwy a cenny łup, do siatki Dolores.

Osobliwie zachowywała się wielka samiczka modliszki, siedząca na gałęzce. W miarowych odstępach czasu, mniej więcej co dwie sekundy, rozpościerała swe zielone skrzydła podobne do liści i zaraz je zamykała. Rozwierając je pokazywała szeroki, spłaszczony odwłok, który w tej chwili wykręcał się do góry nerwowym skurczem.

Ostrożnie podsunąłem jej muchę na końcu żdźbła trawy. Lecz rozbójnica, zwykle tak żarłoczna, nawet nie spostrzegła smacznej zakąski. Muchy teraz nie potrzebowała. Rozkładała bezustannie skrzydła i – co szczególnie nas przejęło – zbliżająca się w oparach trucizny śmierć nie stłumiła wcale jej podniecenia: modliszka, włożona do trującej szklanki, wciąż gwałtownie poruszała skrzydłami i wyginała odwłok. Cyjanek potasu w końcu obezwładniał jej ruchy, a ona, zapamiętała w swym popędzie, wciąż kogoś wabiła, posłuszna tajemniczemu pragnieniu aż do końca. Poniosła śmierć z wykrzywionym odwłokiem.

Przejął nas widok tych orgii. Byliśmy świadkami rzadkiego zjawiska przyrody. Przede wszystkim stwierdziłem osobliwą rzecz: że owady, pojawiające się tak licznie i podlegające tak zbiorowej pasji, opanowały życie puszczy. W tej chwili byli to jedyni władcy lasu. Owady w nim ton nadawały, one tu dzierżyły prym. Las był teraz ich żywiołem i do nich należał, a nie do ptaków, nie do ssaków, a najmniej do człowieka o przyśpieszonym pulsie i utrudnionym oddechu.

Naraz owady zaczynały szybko się chować. Słońce zaszło za czarną chmurę, nastał półmrok, pędziła ku nam hucząca ściana deszczu. Zastała nas przygotowanych. W pobliżu stało okazałe drzewo cedrowe. Ukryliśmy się pod jego konarami.

Dolores chwyciła mnie oburącz za ramię przyciskając się do mnie jak najbliżej, by uchronić się od deszczu. Oczy jej świeciły fosforem, jak u kota. Zrobiło się nagle chłodno.

Po chwili ulewa przechodziła i niebo się wyjaśniło.

– Bardzo mało ubiliśmy ptaków! – odezwiała się Dolores.

– Nic dziwnego, skoro tak późno wyszliśmy na polowanie! – odrzekłem.

– Za długo sypiasz! Należy rychlej wstawać. Deszcz ustał. Wyjaśniło się zupełnie.

Po chwili wyszło słońce i naraz lała się z góry spiekota, może gorsza i dokuczliwsza niż poprzednio, bo przesycona wilgocią. Ulga chłodu trwała krótko. Owady już się nie pojawiły. Wracaliśmy.

Podchodząc do miejsca, w którym trzy godziny temu powiesiłem na krzaku zastrzelonego jaszczura, nagle stanęliśmy jak wryci. Nieżywy pozornie gad odzyskał w tym czasie przytomność i zlaźł na ścieżkę. Zaciekle szczyrzył ku nam zęby, sycząc, świdrował nas oczyma. Zdumiony niebywałą żywotnością, strzeliłam po raz wtóry i wreszcie uśmierciłem go na dobre.

Tej nocy męczył mnie sen. Majaczył mi się gorący las, rozpasany makabryczną orgią, pełen wybuchów zmysłowości i równocześnie zgrzytów nienawiści. Potem muskał mnie językiem i gryzł po twarzy oszalały jaszczur, którego nie sposób było zabić. Niełatwo tu pełnić powinność zbieracza.

CZĘŚĆ X GODNE PIÓRA MAETERLINCKA

40. PAPUGI ZIELONE I ARARY SZKARŁATNE

W czasie świtania, gdy słońce wschodziło ponad ziemię Ameryki Południowej, lecz tarcza jego ukrywała się jeszcze poza ściany lasów, nagle ostre, przenikliwe wrzaski przeszywały powietrze. Choćby nie wiem jak głęboko spał mieszkaniec puszczy, obojętnie gdzie, czy nad Amazonką, czy nad rzeką Parana, zrywał się wtedy ze snu i zlorzeczył przez zaciśnięte zęby:

– *Papagaios desgraciados* – przeklęte papugi!

Zbudziły go papugi. Od tej chwili przez cały dzień aż do wieczornego zmierzchu, z wyjątkiem może najgorętszych godzin południa, krzyki lecących papug rozlegały się bezustannie w puszczy i były najznamienniejszym zjawiskiem życia zwierzęcego we wszystkich lasach podzwrotnikowych.

Lecące papugi! Gdy patrzyło się na śmigłe zielonki, prujące przestrzeń z szybkością strzały, trudno było uwierzyć, ażeby leciały tam te same ptaki, z którymi stykaliśmy się u nas w niewoli, niedołężne, niemrawe, ospałe pociechy naszych ciotek. Tam na wolności są zupełnie inne: szybkim lotem i wielkim krzykiem przyczyniają się wybitnie do ożywienia przyrody i są bezsprzecznie jej ozdobą.

Przede wszystkim papug było bardzo wiele. Spotykało się je na każdym kroku. Były to niespokojne duchy i przez cały dzień wałęsały się z miejsca na miejsce. Wystarczyło zatrzymać się gdzie bądź w lesie i posłuchać przez chwilę, a ucho na pewno złowiło krzyk papug, przelatujących gdzieś ponad wierzchołkami drzew.

Ów charakterystyczny wrzask, przenikający do kości, wydawały papugi podczas lotu. Wiedziały, że wtedy były widoczne i narażone na niebezpieczeństwo, i zapewne chciały krzykiem odstraszyć jastrzębia lub innego wroga.

Papugi amerykańskie mają przeważnie upierzenie koloru zielonego, zapewniającego najlepszą ochronę w leśnym morzu roślinności. Lecz czy zawsze były zielone? Pewnie nie zawsze, jak tę tajemnicę zamierzchłych wieków zdradza do dziś jeszcze szczególnie sposób ubarwienia piór. Mianowicie tylko widoczna ich część jest zielona, natomiast zakryte części piór mieniają się u wielu papug najpiękniejszą jaskrawą barwą, czerwoną, niebieską, pomarańczową.

Ponieważ takie kolory są w przyrodzie na to, ażeby rzucały się w oczy, a nie były ukryte, nasuwa się przypuszczenie, że kiedyś papugi musiały być całe wyzywająco kolorowe. Widocznie jednak nadszedł później czas, gdy rozmnożyli się ich wrogowie, i wówczas przewidująca przyroda zakryła krzyczące barwy piór płaszczem ochronnej zieleni, tak jak to sobie poradzili ludziska z zielonoszarym mundurem swych żołnierzy. Powyższą drogę ewolucji potwierdza wyjątek, jaki stanowią arary. Ubarwienie arar jest

do dziś uderzające i przepyszne, lecz arary mogą sobie na to pozwolić: są to największe i najsilniejsze ze wszystkich papug na ziemi i łatwo im podjąć walkę z jastrzębiem lub słynnym zbójem, ryjkonosem.

W miarę poznawania papug nabierałem coraz większego szacunku dla dzielnych istot o wyjątkowych wprost zaletach, wysuwających je ponad wszystkie inne ptaki. Człowiek obwołując orła królem ptaków właściwie trochę się skompromitował, gdyż mimo woli przyznał, że w jego pojęciu królem musi być zawsze największy z drapieżników. Jeżeli natomiast wagę mają zalety takie, jak inteligencja, wierność, nieustraszona odwaga i zdolność do szczytnej przyjaźni, natenczas pierwszeństwo przyznać trzeba bez zastrzeżeń papugom. W niewoli ptaki te okazywały często złośliwość i inne wady. Tam, w puszczy, był to ród szlachetny, znamienity i nader ciekawy, godny pióra Maeterlincka.

Przysłowiową była wierność małżeńska papug, dochowywana aż do śmierci. I rzeczywiście, gdy papugi stadami przelatywały nad moją głową, zawsze odróżnić mogłem poszczególne pary, trzymające się oddzielnie.

Pewnego razu spostrzegłem parę, siedzącą na drzewie i obsypującą się czułymi pieścizotami. W zachowaniu jej przebijało tyle tkliwości, że nie mogłem strzelać. Okazywanie pieścizot jest częstym zjawiskiem wśród wielu zwierząt, lecz tylko na tle popędu płciowego; natomiast papugi, które obserwowałem, pieściły się w czasie pozagodowym, z wielkiej przyjaźni, pod wpływem najczystszej, bezinteresownego uczucia. A to rzadko się zdarza nawet u ludzi.

Gdy przebywałem w południowej Brazylii nad rzeką Ivai, kilka stad papug, zwanych tam bajtaka, miało zwyczaj powracania co wieczór na ten sam nocleg w lesie, przy czym ich lot przecinał ścieżkę, na której często polowałem. Któregoś wieczoru, gdy bajtaki leciały dość nisko, ustrzeliłem jedną z powietrza. Kilka dni później przechodziłem tą samą drogą, o tej samej porze, i już z daleka widziałem pierwsze papugi, nadciągające zwykłym szlakiem. Lecz i papugi dostrzegły mnie również, a co najciekawsze, poznały strzelca. Najbliższe ptaki zawróciły gwałtownie, ostrzegając piekielnym wrzaskiem dalsze towarzyski. Tymczasem nadleciało drugie stado i – zatrzymane – wywołało zamieszanie w powietrzu. Po krótkim krążeniu papugi podjęły na nowo lot w pierwotnym kierunku, lecz przezornie omijając mnie półkolem w bezpiecznej odległości. I tak czyniły wszystkie następne bajtaki.

Ostatnie stado, składające się z dziesięciu papug, zabawiło na żerowisku dłużej niż poprzednie i przelatywało z półgodzinnym opóźnieniem. Oczywiście musiało stracić wszelki, kontakt wzrokowy z poprzednimi papugami, które już dawno pochowały się na odległym noclegu. Toteż trudno opisać moje zdumienie, gdy i spóźnialskie, pomimo że mnie widzieć nie mogły, wymijały precyzyjnie półkolem miejsce, na którym stałem ukryty. Taka wspaniała służba informacyjna wzbudza podziw i świadczy zarówno o inteligencji, jak i niezwyklej solidarności papug.

Innym razem podszedłem w gęszczu całe stado papug z gatunku marakan i strzałem na bliską odległość; dwie z nich strąciłem. Reszta zerwała się przerażona, lecz widząc konające towarzyski nie uciekła i chciała pomścić ich śmierć. Zataczała nad moją głową złowieszcze kręgi wyprawiając straszliwy harmider. Mogłem łatwo powystrzelać całe stado; odwaga tych ptaków była większa niż lęk śmierci. Na widok wywołanej rozpacz ogarnęła mnie skrucha i przyrzekłem sobie nie strzelać już nigdy do zielonych bohaterów; zbyt dzielne były w nich serca. Tymczasem marakany nie dały za wygraną i długo mnie prześladowały lecąc za mną z uporczywością.

Przyrzeczenia niestety nie dotrzymałem. Życie w puszczy nie było sielanką. Twarda konieczność często zmuszała mnie i towarzyszy do zdobywania w przyrodzie pokarmu i żywienia się smacznym mięsem papuzim.

Gorąca dolina Amazonki jest właściwą ojczyzną najpiękniejszych papug, jakie w ogóle istnieją: arar. Są to wspaniałe, majestatyczne istoty, a ich krzyżące barwy – lazur, oranż, ognista czerwień – stanowią w otoczeniu zielonej puszczy jak gdyby wieczną prowokację. Gdy arary, podniebnym lotem, o skrzydłach rozpiętych na blisko półtora metra, przelatują ponad Amazonką z jednego brzegu na drugi, widok wysmukłych lotniczek staje się dla człowieka głębokim przeżyciem. Nie ptaki tam lecą w obłokach, lecz marzenia w piękny kształt przyobleczone. Brzmi to może przesadnie, a jednak stateczni agenci okrętowej „Booth Line” w Liverpoolu, zachwalając podróż nad Amazonkę, podają przelot arar jako jeden z cudów tej bajecznej krainy.

Najzawziętym wrogiem papug jest człowiek. Poluje na nie z pasją, bezlitośnie je tępi i powiada, że są desgraciados, czyli przeklęte, gdyż nachodzą jego pola uprawne i śmiało bezczelnie dzielić się z nim darami przyrody. A człowiek tego bardzo nie lubi.

Gdy kiedyś zajechałem do kolonii Candido de Abreu w brazylijskim stanie Parana, cała okolica z przejęciem śledziła wojnę, którą prowadził z papugami na swym polu kukurydzy pewien osadnik. Był to stary Niemiec rosyjski znad Wołgi, przybyły do Brazylii przed trzydziestu laty, trochę dziwak i postrzeleniec. Liczne stada papug nawiedzały jego pole i w końcu zrozpaczony kolonista nie mógł z nimi dać sobie rady. Straszenie i wypłaszanie nie odnosiło już skutku. Rozzuchwalone papugi przyprawiały osadnika o ciche szaleństwo. Biedak zupełnie zbaraniał i nie umiał już o niczym innym mówić, jak tylko o papugach. Jego opowiadania brzmiały jak komunikaty z placu boju i wszyscy byliśmy ciekawi, kto wygra wojnę: człowiek czy papugi.

Któregoś dnia osadnik oznajmił nam z triumfem, że on wygrał, albowiem przez cały dzień nie przyleciał na jego pole ani jeden ptak. Ale gdy sprawę zbadaliśmy na miejscu, stwierdziliśmy, że papugi nie przyleciały, ponieważ na polu, całkowicie wyjedzonym, nie pozostało już w ogóle kukurydzy i zabrakło ziarna na przynętę.

Podczas mej pierwszej wyprawy do Brazylii szacowny a szczodry fazendeiro Manuel de Laserda podarował mi papugę, którą zabrałem do Polski. Papuga chowała się świetnie. Należała do dość rzadkiego rodzaju, zwanego w Brazylii peita roxa. Gdy mi ją darowano, oświadczone, że odznacza się wielką inteligencją, darem mówienia i wielu innymi cnotami. I rzeczywiście, papuga często wołała: *corra!* – co znaczy: idź precz! – i jeszcze umiała szczekać jak zły piesek. Lecz na tym, niestety, kończył się zapas jej wyrazów i cnót. Bo Kora – tak ją nazwaliśmy – była skończonym nieukiem, nicponiem i darmozjadem. A poza tym była to prawdopodobnie pięćdziesięcioletnia staruszka.

Razem z tą papugą przywiozłem rozkoszną małpkę kapucynkę, młodego samczyka. I oto co się stało. Pomimo europejskiego, chłodnego klimatu papuga poczuła w swych żyłach wiosnę.

Pocziwe, gderliwe ptaszysko zapalało macierzyńską miłością i cały swój afekt skierowało ku pięknemu małpishonowi. Przywiązanie papugi do kudłatego syna było bezgraniczne, a namiętność jej nie pozbawiona komizmu. Gdy pojawił się na jej widnokręgu, ona, ociężała dotychczas staruszka, sunęła w lekkich podskokach ku niemu i zasypywała ptasimi pieścizotami.

Na te dziwne zabiegi małpishon patrzył z wielkim zakłopotaniem nie wiedząc, jakie

stanowisko zająć wobec takiego uwielbienia. Przyznam się, że i my, ludzie, też nie wiedzieliśmy, co z tym począć. Podobne ekstrawagancje uczuciowe często spotyka się u papug. Dopiero po śmierci małpki Kora ochłonęła z zapału.

Niechaj mieszkańcy brazylijskiej puszczy miotają przekleństwa na papugi, niech koloniści australijscy alarmują cały świat napadami tych ptaków na ich pola, ludzie nie zmieniają tak łatwo oblicza i duszy przyrody: papugi pozostaną nadal prawdziwą ozdobą tropikalnych krain, pięknym symbolem gorącej puszczy i pozostaną nadal w państwie zwierząt rodziną szlachetną, wyróżnioną, godną – powtarzam – pióra wielkiego poety i natchnionego przyrodnika.

41. PRZYJAŻŃ ZWIERZĘCIA

Miałem stale w pamięci nieudaną wycieczkę do Claudia po rozkoszną małpę czepiaka. Musiałem ją dostać.

Dowiedziawszy się od ludzi, właśnie co przybyłych z dołu rzeki, że Claudia widzieli w chacie, czym prędzej zwołałem mych chłopaków, Valentina i Julia, i wypłynęliśmy na tym samym kanoe co za pierwszym razem. Zabrałem ze sobą najlepsze sztuki materiałów na handel wymienny, a najśłodsze banany dla małpy.

Zwawo wiosłowaliśmy z prądem. Gdy po godzinie wyłoniła się przed nami znajoma chata, już z daleka z radością stwierdziliśmy obecność rodziny na miejscu.

Claudio przywitał nas nieco stropiony. Małpa była, owszem, miała się dobrze, ale... Indianin niezbyt się palił do jej sprzedaży. Mówił, że żona, bardzo przyzwyczajona do zwierzaka, za nic nie chciała rozstać się z ulubieńcem. Podeszła żona, potwierdziła jego słowa i nawet widok kuszących tkanin nie uczynił na niej żadnego wrażenia.

Staliśmy wszyscy nad brzegiem rzeki, nie opodal chaty. Nie widziałem nigdzie czepiaka. Spytałem, gdzie on. Indianie rozglądali się dokoła i wreszcie, rozbawieni, wskazali na róg chaty: spoza jej węgła widać było jeno brązowy czubek głowy i wystraszone oczy czepiaka, śledzące nas z wytężoną uwagą; reszta ciała chowała się za ścianę. A tuż za czepiakiem – inna małpa, czarna, o większej, okrągłej głowie, tak samo wybałuszała na nas ślepska z ukrycia. Wypisz, wymaluj: dwoje dzieci, wylęknionych przybyciem obcych ludzi, ale niezdolnych zwalczyć swej ciekawości.

Indianie przywoływali małpy do siebie, jednak one z początku nie ruszały się z miejsca, jak gdyby głuche. Potem czarna, większa, przewyciężyła lęk i pierwsza powoli wyszła spoza chaty.

Poznałem ją. Był to piękny okaz małpy o wełnistej sierści, z rodzaju *Lagothrix*, zwany tutaj harrigudo, czyli grubobrzuchem. Małpa, należąca do największych w Ameryce Południowej, odznaczała się – w przeciwieństwie do wysmukłych, nerwowych czepiaków – krępą, masywną budową ciała i ustatkowanymi ruchami. Cokolwiek czyniła, zawsze wkładała w to niezwykłą godność; sprawiała wrażenie, jak gdyby nigdy nie robiła nic nieprzemyślanego. Sierść miała ciemną, prawie czarną.

Teraz posłusznie wyszła zza ściany, ale niepewnym, powolnym krokiem. W połowie drogi przystanęła na dwóch nogach i głowę obracała w stronę chaty, gdzie pozostał jej towarzysz. Dostojnym, szerokim ruchem ręki starała się dodać mu odwagi i zapraszała go, aby przyszedł do nas. Był w tym wezwaniu niewysłowny komizm, znowu przypominający gest ludzki: tak samo aktor po skończonym akcie zaprasza swą

koleżankę, by wyszła zza kulis i przyjęła oklaski widowni.

Staraliśmy się zwabić małpy pieszczotliwym słowem i kiwaniem rękoma, ale one uznawały tylko realne wartości: dopiero gdy rzuciłem na ziemię dwa złociste banany, był skutek. Czepiak, bojaźliwie opuszczając kryjówkę, przyskoczył do barriguda i obaj razem podeszli do nas. Każdy dobrał się do swego banana: czepiak łapczywie i podniecony, barrigudo z umiarem, flegmatycznie. Jaka uderzająca różnica temperamentów! Owoce znikły w szczękach. Snadź smakowały, bo zwierzaki chciały więcej.

Przysadzysty barrigudo miał na twarzy czarną, pomarszczoną skórę, brwi wystające, czoło niskie. Jeszcze bardziej niż czepiak przypominał człowieka czy to ruchami rąk, czy skupieniem, z jakim wkładał owoc do ust. Podobnie jak ludzie reagował na wrażenia z zewnątrz. Miał spokojne, niezmiennie pocziwe oczy i w nich ze wzruszającą wyrazistością odbijały się wszystkie doznania.

Trzymając w wyciągniętej ręce banan zbliżałem się do małp. Czepiak, owładnięty trwogą, szybko cofnął się o kilka kroków; zwykły, roztrzęsiony dzikus. Barrigudo natomiast pozostał na miejscu. Wlepił we mnie przenikliwy wzrok. Na wrażliwej twarzy zwierza czytałem wszystko, co odczuwał: niepokój, ufność, bojaźń, ciekawość. Widziałem jego natężenie woli, by nie pójść za przykładem czepiaka i wytrwać. Bezwiednie chwycił się za tył głowy i głaskał włosy odruchem człowieka, pragnącego opanować swe nerwy.

Podąłem mu banan. Wziął go ostrożnie w palce i delikatnie włożył do ust. Wtem czepiak, uniesiony nagłą zazdrością, doskoczył i wyrwał barrigudzie smakołyk z gęby. Ograbiony nie myślał użerać się z łakomcem ani go gonić. Patrzył na uciekającego z pobłażliwością, potem zwrócił na mnie zakłopotane oczy i wymownym spojrzeniem prosił o więcej. Dostał nowy banan. Wtedy ja zdębiałem na widok rzeczy, jakiej nigdy jeszcze nie doznałem w długoletnim doświadczeniu z leśnymi zwierzaki.

Żarłoczność ich jest zasadniczym popędem, więcej, koniecznością bytu. Wszystkie zwierzęta, z jakimi się stykałem, były łakome i samolubne, w najlepszym wypadku nie przeszkadzały innym w jedzeniu. Tymczasem barrigudo otrzymawszy owoc nie spożył go, lecz zaniósł towarzyszowi i zdobywając się na akt niewiarogodnego samozaparcia wręczył mu banan ruchem, jak gdyby chciał powiedzieć: Jeśliś taki obżarty, to masz jeszcze!

Oto gest, oto ofiarność, oto przyjaźń!

Barrigudo wrócił do mnie i znowu prosił. Dostał. Podczas gdy on z przyjemnością wcinął owoc, dotknąłem palcami jego głowy, czemu wcale się nie sprzeciwił. Podąłem mu dłoń. On ujął ją silnym, szczerym chwytem i tak trzymał.

Zmarszczki na jego twarzy sprawiały wrażenie starcze, ale widać było, że to taka osobliwa uroda, bo barrigudo wydawał się w pełni sił. Co mnie najwięcej w nim uderzało, to wyraz dobroduszości, idącej w parze z rzadką, nawet u małp, bystrością umysłu. Ileż on miłszy był od czepiaka, nieokrzesanego raptusa? Czy Claudio i jego mi odmówi?

Indianie przyglądali się moim karesom z zaciekawieniem.

Podeszli i Claudio chrząknawszy odezwał się wskazując na barriguda:

– Dobre mięso...

Nie rozumiałem, o co mu chodziło, ale Valentin natychmiast mi wytłumaczył: mięso barrigudów słynęło jako wielki przysmak, dlatego mieszkańcy leśni gorliwie polowali na te małpy. Toteż pomimo że w głębokiej puszczy żyło ich stosunkowo wiele, w pobliżu siedzib ludzkich stały się rzadkie, bo wytępione.

– A tego tu – spytałem zgorszony – także chowają na mięso?

Claudio, jak zwykle, nie dał jasnej odpowiedzi, z czego wynikało, że mogli go zjeść albo nie zjeść. Indianin i jego żona rzucali coraz pożądlwsze spojrzenia w kierunku dwóch kolorowych sztuk kretonu, które poprzednio rozłożyłem na pniu przed chatą jako zapłatę za czepiaka. Teraz Claudio tam mnie poprowadził i dotykając dłonią jednej z tkanin, czerwonej, łypnął ku mnie okiem.

– Czy dasz to? – bąknął niepewnym głosem.

– Za co? – spytałem.

– Za niego – skierował oczy na barriguda.

– Dam ci obydwie sztuki – pośpiesznie zawołałem.

Przez chwilę oniemiały Claudio myślał, że z niego żartowałem. Następnie on z kolei pośpiesznie wyrażając zgodę kazał żonie co tchu odnieść materiały do chaty: a nuż pożałuję swej hojności i odstąpię od targu?

W drodze powrotnej chłopcy czynili mi wymówki, że grubo przeplaciłem, bo zwierzę tyle nie wart, a sztuki materiału były bardzo piękne. Dowiedziałem się, dlaczego małpa taka oswojona: przez dłuższy czas chował ją u siebie pewien sąsiad, zanim ją odstąpił kumowi Claudiovi na spożycie.

Potem Julio dokładnie a rzeczowo obmacał zasepionego barriguda, uwiązanego na dziobie łódki, i rzekł do Valentina:

– Ma sporo mięsa... Wiesz, a może *gringo* nie przeplacił go tak bardzo?...

Po przybyciu do Kumarii sprawa zjedzenia małpy jeszcze się nie skończyła. Pedro, obejrzawszy zwierza, poważnie mi radził, ażebym go na noc zabierał do siebie do chaty i pilnował: nie wiadomo, czy ktoś z ludzi hacjendy Dolciego nie zechce złakomić się i porwać go.

Tak oto zdobyłem barriguda i zawarłem przyjaźń z najmilszym stworzeniem, kiedykolwiek spotkanym, przyjaźń należącą chyba do najgłębszych, jakie mogą łączyć człowieka ze zwierzem. Gdy wspominam o nim, cisną się na myśl gorące, czułe słowa, brzmiące jak przesada. Trudno było określić, co u niego najmiłsze i na czym polegał jego urok: czy na zgodliwości i dobroci charakteru, czy na niezmiernie pogodnym usposobieniu, na łagodności obejścia, powiedziałbym: wytworności manier, czy na zdolności bystrego myślenia, doznawania różnych uczuć?

Przyjaźń wywiązująca się między mną a nim była inna niż do reszty zwierząt. Było w niej niewątpliwie coś z atawizmu, pozostałego z dawnych, zamierzchłych epok, kiedy człowieka łączyło ze zwierzętami bliższe pokrewieństwo niż dzisiaj. W tej naszej przyjaźni nie było sentymentalizmu; ani ja nie lubiłem zbytnej wylewności, ani barrigudo nie lubił.

Przywiązanie, prawie tak wielkie jak do mnie, okazywał on wszystkim dokoła, mojemu gospodarzowi Baranowskiemu, Pedrowi, Valentinowi, Dolores. Jedynie boczył się trochę na Julia: gdy lepiej poznałem przenikliwość barriguda, gotów byłem przysiąc, że mądra bestia, wtedy podczas naszego powrotu od Claudia do Kumarii, wyczuł, dlaczego Julio tak go obmacywał – dla zbadania jego jadalności – i tego widocznie nie mógł mu teraz wybaczyć.

W trzy dni po przywiezieniu go do Kumarii przeciąłem mu więzy i puściłem na wolność. Nie uciekł. Całymi dniami baraszkował w pobliżu chaty, serdecznie witał się z każdym napotkanym człowiekiem, a wieczorem przychodził spać do mej kwatery. Chętnie, choć z pewną godnością, bawił się z innymi zwierzętami, szczególnie z małpami,

których swawolne figle znosił z zabawną wyrozumiałością. W przeciwieństwie do hałaśliwych istot, on zawsze milczał.

Wnosząc z jego krępej, przysadzistej postaci i powolności ruchów sądziłem, że jest ociężały i niezgrabny. Nic podobnego. Jeśli chciał, umiał wykonywać nieprawdopodobne skoki, a na najwyższe gałęzie drzew wspinał się ze zręcznością, jakiej mógłby mu pozazdrościć każdy długonogi czepiak. Pomagał sobie chwytym ogonem, którym lubił zawieszać się na gałęzi. W takim położeniu, ciałem zwisając na dół, z głową ku ziemi, pocieszenie się kołysał i słodyczne zjadał ze swobodą, jak gdyby to było w położeniu normalnym.

Gdy zaczynałem zbierać się do wyjazdu z Kumarii, zarysowała się pierwsza troska w naszej przyjaźni, co prawda na razie niewielka.

- Chce pan go zabrać do Polski? – pytał mnie Baranowski.
- Oczywiście.
- Podobno małpy te przeważnie zdychają na morzu.

Doświadczeni w tych sprawach Peruwiańczycy jeszcze bardziej mnie przestrzegali. Twierdzili, że barrigudy rzadko kiedy dopływają żywe do Belem, ginąc zazwyczaj na środkowej Amazonce, gdzieś koło Manaos.

Mimo to dojrzewała we mnie wariacka myśl. Zachęcony tegim zdrowiem tych kilkudziesięciu różnych zwierząt, jakie chowałem w Kumarii, owładnięty niedorzeczną ambicją, postanowiłem przewieźć cały zwierzyniec, nie tylko barriguda, do Polski. Jakże przydadzą się – mówiłem sobie – w naszych ogrodach zoologicznych złowione papugi, tukany, czaple, węże, olbrzymie jak wielkie talerze żaby, wszelakie małpy, mrówkojady, ryjkonosy, młody tapir i masa innego stworzenia!

Po starannym spakowaniu zbiorów muzealnych i zbiciu kilkudziesięciu klatek załadowałem pewnego dnia mój dobytek na parowiec i popłynąłem w dół rzeki niby ukajalski Noe. Chociaż ciasno było na małym statku, pierwszy etap, do Iquitos, odbyliśmy szczęśliwie, bez strat.

Gorzej działało się na drugim etapie, od Iquitos w dół Amazonki do Belem. Pojemny statek pozwalał wypuszczać zwierzęta z klatek i trzymać je na pokładzie uwiązane na sznurach. Mimo to wiele z nich zaczynało chorować, a razem z nimi – i moje nerwy. Coraz wyraźniej widziałem i odczuwałem całą niewłaściwość szalonego pomysłu. Co dzień narastało we mnie zrozumienie krzywdy, wyrządzanej zwierzacom. Już koło Tabatingi, na pograniczu peruwiańsko-brazylijskim, śmierć sprzątała pierwsze ofiary.

Zwierzęta trzymałem w zacisznym kącie na dolnym pokładzie. Pasażerowie i marynarze mieli do nich dostęp o każdej porze dnia i nocy. Ludzie, ożywieni życzliwą ciekawością, często do nich zaglądali.

Gdy pewnego poranku, jak co dzień, zszedłem do mego zwierzyńca, by go nakarmić, spostrzegłem brak młodego tapirka. Odwiązał mu się w nocy sznur. Zwierzaka daremnie szukałem po pokładzie. Zniknięcie ulubieńca przejęło mnie smutkiem. Czyżby z pokładu nie chronionego barierą, skoczył do wody i przepadł? Barrigudo, widząc, jak badam rozwiązany sznur tapira, podszedł do mnie i chwyciwszy za rękę, mocno i nieprzerwanie nią potrząsał. Nigdy tego nie czynił. Oczy jego, zwykle tak łagodne, miały podniecony blask i patrzyły we mnie ostro, jakby chciały coś powiedzieć.

Ponieważ potrząsanie trwało i trwało, w końcu odwiązałem go od słupa. Barrigudo jak gdyby na to czekał. Porwał się i prowadził mnie wzdłuż pokładu do miejsca, gdzie leżał stos skrzyń. Obok jednej z nich przystanął, miał wylęknioną twarz i wyszczerzaj

zęby. Co za cios: za skrzynią odkryłem część skóry zdartej z mego tapira!

Domyśliłem się, co zaszło. Ktoś w nocy wykradł zwierzaka, by go zabić i zjeść. Tapiry, jak barrigudy, stanowią poszukiwany przysmak tutejszej ludności.

Od tego poranka przebywałem przez cały dzień w pobliżu zwierzyńca, na noc zaś zabierałem barriguda ze sobą do kabiny. Coraz większy czułem niesmak do siebie, coraz większą niechęć do klatek i sznurów.

Całe szczęście, że barrigudo nadspodziewanie dobrze znosił rzeczną podróż. Był to zdrowy, wytrzymały samiec. Ów ciężki okres jeszcze bardziej zbliżył nas do siebie.

Gdy rano razem schodziliśmy na dolny pokład, głodne po nocy zwierzęta już z daleka witały nas podnieconą wrzawą i zamieszaniem. Szczególnie małpy, wszystkie uwiązane na sznurach w jednym kęcie, tak się między sobą zaplątywały, że trudno mi je było rozwikłać, a tym trudniej, że skakały przy mnie jak histeryczki. Wtedy usłużny barrigudo przychodził mi co tchu z pomocą. Stawał obok mnie i jak surowy nauczyciel co niesforniejszą brać karmił szturchańcem lub zębami. Wnet wprowadzał porządek i już łatwo mogłem rozplatać małpy. Jego starania, by mi ułatwić życie, były rozczulające.

W drugiej połowie amazońskiej podróży zwierzęta jeszcze częściej zdychały. Powstał we mnie rozpaczliwy zamiar wypuszczenia na wolność całego zwierzyńca gdzieś na jednym z postojów, ale nie doszło do tego.

Barrigudo nadal cieszył się zdrowiem. Tymczasem istnienie jego stawało się dla mnie coraz trudniejszym problemem. Właśnie dlatego, że tak się lubiliśmy, że tak oddanym był przyjacielem, dlatego nie wolno mi było go krzywdzić. Myśl uwolnienia go – i zarazem uwolnienia siebie od niego – opanowywała mnie coraz uporczywiej, stawała się manią prześladowczą.

Podczas postoju w małym porcie nad Dolną Amazonką, już poniżej Santarem, wyszedłem z barrigudem na przechadzkę do pobliskiej puszczy. Oddaliliśmy się od rzeki o parę kilometrów. Korzystając z tego, że małpa zapuściła się w gąszcz i zginęła mi z oczu, uciekłem od niej. Pośpiesznym krokiem wróciłem sam do portu. Parowiec dał syreną znak rychłego odjazdu. Już ściągali z lądu pomost, gdy wtem czarna kula pędziła na łeb na szyję ku nam. Marynarze poznali barriguda i jeszcze raz rzucili pomost, po którym wpadł na pokład zdyszany zwierz. Spojrzeniami pełnymi wyrzutu obrzucał mnie przez cały dzień.

Trzeci etap podróży, morzem z Belem do Rio de Janeiro, przemienił się w koszmar i katastrofę. Płynęliśmy wzdłuż wybrzeża Brazylii, a chłodny wichur świszczał po olinowaniu statku i zaziębiał na pokładzie moje zwierzęta. Komendant odmówił pomieszczenia ich w schronieniu, na domiar żądał za nie tak wygórowanego frachtu, że przekraczało to moje środki. Chcąc nie chcąc rozdarowałem zwierzyńiec pasażerom i załodze statku zachowując dla siebie jedynie barriguda i kilka ptaków. Z nadukajalskiej świetności pozostały niedobitki. Barrigudo, twarda bestia, wciąż zachowywał niezmiennie zdrowie.

W Rio, znów na lądzie, odetchnęliśmy swobodniej. W ciepłych promieniach słońca przyszliśmy do siebie. Ale dość już miałem tragicznej zabawy w hodowcę czy dręczyciela zwierząt. Ani mi się śniło zabierać kochanego stwora przez Atlantyk do Polski i patrzeć na jego rychłe konanie.

Na szczęście znalazłem w Rio szlachetnych ludzi. Profesor Tadeusz Grabowski przyjął barriguda do swego domu z pięknym ogrodem, a jego przemiła małżonka przyrzekała otoczyć zwierza troskliwą opieką.

Rano w dzień mego wyjazdu z Rio pobieglem pożegnać się z przyjacielem. Zostałem go w ogrodzie uwiązanego na długiej linie. On domyślał się, że jakąś niesamowitą przenikliwością zgadł, o co chodziło. Chwycił mnie kurczowo za rękę. Ażeby się uwolnić, musiałem wlec go kilka kroków ze sobą i potem przemocą wyrwać się z jego objęć, gdy skończył się powrót. Tak silnie parł ku mnie, że pętla na szyi wrzynała mu się głęboko w ciało – bolesny obraz czy symbol, który nie wygaśnie w mej pamięci.

Gdy odszedłem kilka kroków, stała się osobliwa rzecz. Barrigudo nigdy dotychczas nie dobywał żadnego głosu, był całkiem niemy. Teraz wyrwał się z jego zduszonej krtani po raz pierwszy głos, niby płaczliwy skrzek:

– Czaaa!

Wyjeżdżając sam do Europy myślałem, że będę wolny od wyrzutów sumienia. Nie, nie byłem wolny. Razem ze mną przepływało przez Atlantyk dręczące widmo klatek i więzów, które nazwałbym zmorą ukajalską. Coraz dosadniej uświadamiałem sobie, jak źle postąpiłem z barrigudem. Trzeba było jednak zwrócić mu wolność i oddać go puszczy nad Amazonką, chociażby przemocą. Złowrogi powrót, ściskający go za gardło w ostatni dzień, śnił mi się po nocach.

Ale w dwa miesiące po moim powrocie do Polski otrzymałem list od uroczej opiekunki barriguda w Rio de Janeiro. W liście tym przepraszała za wypadki, jakie zaszły, i starała się je wytłumaczyć. Po moim wyjeździe barrigudo dziwnie się zmienił. Spochmurniał, stał się odludkiem, z dnia na dzień coraz bardziej dziczał. Zbliżających się ludzi usiłował gryźć. I oto pewnej nocy udało mu się zsunąć z szyi postronek i zbiec. Ludzie przez kilka dni widzieli go na górze koło Pao d’Azucar, zarośniętej puszczy, ale nie dał się złapać. Potem przepadł. Widocznie zbiegł z miasta w okolice mniej zaludnione...

Wieczorem tego dnia, w którym otrzymałem list, mych przyjaciół ogarnęło zdumienie: nigdy nie widzieli mnie tak wesołego i szczęśliwego.

Notatki

[← 1] *K. Hagenbeck (1844–1913) – znany na cały świat handlarz zwierząt, założyciel wielkiego ogrodu zoologicznego pod Hamburgiem. Firma jego nadal istnieje.*

[← 2] *Wbrew błędnej często interpretacji, wyraz Kreol oznacza białego człowieka bez domieszki krwi innej rasy, lecz urodzonego już w Ameryce (przyp. autora).*

[← 3] *Nie dotrzymał. O Wintomie słuch również zaginął (przyp. aut.).*